POLITYKA ZAGRANICZNA OD KULIS

Jaka brzydka katastrofa – Ziemkiewicz o konferencji irańskiej w Warszawie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 8/311 18–24 LUTEGO 2019

Gdzie jest prezydent – pyta Warzecha

PRZEWROTNIE O FILMIE „FAWORYTA" – FAWORYCIE W WYŚCIGU PO OSCARY

Zagrożona pamięć św. Jana Pawła II

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 79 tys. egzemplarzy

ŚLEDZTWO „DO RZECZY"

Kim jest Gerald Birgfellner?

CZŁOWIEK, KTÓRY NAGRYWAŁ JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

Na koncert Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

Zaprasza Mecenas

LOTOS

GDAŃSK POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019 r. GODZ. 20.00

eprasa.pl 50a923b935

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Klapa w Warszawie

Według jednych konferencja poświęcona Bliskiemu Wschodowi w Warszawie pokazała wzrost znaczenia i powagi Polski, według innych, przeciwnie, stała się dowodem słabości naszej polityki zagranicznej. Bardzo bym chciał, żeby prawdziwa była ta pierwsza opinia, nijak jednak nie jestem w stanie się zmusić, żeby owe domniemane sukcesy, zyski i korzyści, które mają dla Polski wyniknąć, zobaczyć.

Pierwsza strata jest oczywista. Biorąc pod uwagę prosty fakt, że o tym, kto będzie gospodarzem szczytu, poinformował amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo, a nie przedstawiciel Polski, od razu zostaliśmy skazani na dość osobliwą rolę, powiedzmy eufemistycznie, pomocnika. Wyglądało to tak, jakby Amerykanie decydowali, jaką konferencję urządza Warszawa.

RYSUNEK TYGODNIA

Po drugie, wbrew twierdzeniom polskiego MSZ, które mówiło o tym, że „Iran nie jest tematem konferencji", a są nim „tematy horyzontalne" (kto potrafi, ten niech rozumie, ja nie umiem), cel konferencji jasno zdefiniował izraelski premier Beniamin Netanjahu, według którego „Izrael i kraje arabskie chcą przybliżyć swój wspólny interes – wojnę z Iranem". Albo zatem polskie MSZ nie wiedziało tego, po co jest ta konferencja, albo niczego nie zrozumiał premier Izraela, który zamiast zająć się „tematami horyzontalnymi", po prostu uznał, że chodzi o zdobycie poparcia dla interwencji. Przykro to powiedzieć, ale wszystkie znane mi media światowe tak właśnie interpretowały spotkania i rozmowy: jako formę presji lub wręcz przygotowania do interwencji zbrojnej na Bliskim Wschodzie. Polska z dnia na dzień została zapisana do zwolenników twardej rozprawy z Iranem.

Po trzecie wreszcie, okazało się, że nagle problemem podczas spotkań stała się znowu historia relacji polsko-żydowskich. Najpierw Mike Pompeo wezwał „polskich kolegów", żeby zajęli się zwrotem mienia po Holokauście. Można było uznać, że to forma nacisku na Polskę w sprawie tzw. mienia bezspadkowego – skandalicznego roszczenia amerykańskich organizacji żydowskich. Potem dała popis reporterka dwóch amerykańskich telewizji mówiąca o „polskim i nazistowskim reżimie", przeciw któremu rzekomo wybuchło powstanie w getcie. Dopiero po licznych protestach przeprosiła za swoje słowa. Jeszcze bardziej zaskakiwać musiało to, co działo się wokół słów premiera Izraela Beniamina Netanjahu. Jak informował „The Jerusalem Post", premier Izraela miał zaznaczyć, że naród polski współpracował z nazistowskim reżimem w procederze zabijania Żydów w ramach Holokaustu. Dziennik donosił, że szef izraelskiego rządu stanowczo stwierdził, iż Polacy pomagali Niemcom zabijać Żydów. Następnego dnia informację izraelskiej gazety zdementowała ambasador Izraela w Polsce. Nie wiadomo teraz, czy była to prowokacja „The Jerusalem Post", czy takie słowa padły. Gdyby faktycznie premier Izraela powiedział to, co mu się przypisuje, byłby to przejaw niebywałej ignorancji i buty.

Straty wizerunkowe i, powiedzmy, polityczne są zatem widoczne. Dlaczego się na nie godzimy? Odpowiedź jest zawsze taka sama: nie wolno drażnić Amerykanów. A ci stoją murem za Izraelem. Za wszelką cenę trzeba doprowadzić do wzmocnienia ich obecności wojskowej w Polsce, bo tylko tak zapewnimy sobie bezpieczeństwo i dlatego z różnymi upokorzeniami należy się godzić. Tylko czy to rozumowanie może przekonać? Po pierwsze, obietnice zwiększenia obecności amerykańskiej są cały czas dość enigmatyczne. Po drugie zaś – o tym już pisałem i powtarzam – zawsze jest kwestia ceny. Im mocniej pokazujemy, jak bardzo nam na amerykańskiej pomocy zależy, im bardziej zgadzamy się, żeby USA miały poczucie, że mogą sobie w stosunku do Polaków pozwolić na bardzo dużo, tym bardziej nasza wartość spada! Tak było, jest i zawsze będzie w relacjach międzynarodowych, gdzie tak ważny jest element siły i gry.

To Amerykanie powinni zabiegać o dobre relacje z Warszawą i o zwiększenie swojej obecności nad Wisłą. To Amerykanie powinni pilnować, żeby w Warszawie nie drażnić Polaków, skoro zależało im na powodzeniu konferencji. W przeciwnym razie cena będzie rosła, a obecność bądź nie wojsk amerykańskich nad Wisłą będzie skutecznym narzędziem dyscyplinowania Warszawy. Jak widać, niektórzy żydowscy politycy doskonale to wyczuwają i wykorzystują. Co to ma wspólnego ze wzrostem polskiego bezpieczeństwa – nie pojmuję. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI, ANDRZEJ NIEWIADOWSKI
AUSTRIAK WE MGLE
Kim jest przedsiębiorca od taśm

22 PIOTR GOCIEK
CEL: KACZYŃSKI

KRAJ

26 ŁUKASZ WARZECHA
GDZIE JEST PREZYDENT?
Wybory Andrzeja Dudy

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
JAKA BRZYDKA KATASTROFA

32 ROZMOWA Z ANNĄ ZALEWSKĄ
BEZ RODZICÓW NIE ZMIENIMY SZKOŁY

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MECENAS KALISZ

38 ROZMOWA Z DR. JAROSŁAWEM SZARKIEM
OKRĄGŁY STÓŁ BYŁ LABORATORIUM PIERESTROJKI

KULTURA

44 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KRÓLICZKI KRÓLOWEJ ANNY
„Faworyta" przed Oscarami

46 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PIJMY ZDROWIE RYMKIEWICZA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM
POLSKA ZOSTAŁA UPOKORZONA
Przy Okrągłym Stole skonstruowano państwo teoretyczne

59 PIOTR MÜLDNER-NIECKOWSKI
PRZESTROGA DLA INTELIGENTNYCH

60 MAREK BUDZISZ
ZAPASY HEGEMONÓW

62 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ZAGROŻONA PAMIĘĆ ŚW. JANA PAWŁA II

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
PO PIERWSZYM BREXICIE
Brytania – pomnik rzymskiego dziedzictwa

68 ROZMOWA Z MARKIEM WALICKIM
HARCERZ UCIEKA Z KLATKI

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z PETREM BYSTRONIEM
AFD JEST ZASZCZUWANA
Były szef AfD w Bawarii, deputowany do Bundestagu, zdradza całą prawdę o demokracji w Niemczech

74 MACIEJ PIECZYŃSKI
CZARNY KOŃ UKRAIŃSKICH WYBORÓW – CLOWN CZY SŁUGA NARODU?

76 JACEK PRZYBYLSKI
IRAŃSKA TEOKRACJA – REŻIM Z SIWĄ BRODĄ

EKONOMIA

78 STEFAN SĘKOWSKI
NIE TAKIE BLOKI STRASZNE
Ile żyje wielka płyta?

80 ROZMOWA Z ZAŁOŻYCIELEM UK INDEPENDENCE PARTY
BREXIT TO NIEPODLEGŁOŚĆ

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM PINKASEM
LUDZIE MAJĄ WOBEC SIEBIE OBOWIĄZKI
Główny inspektor sanitarny: na większość chorób pracujemy sami

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (67), WARZECHA (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 50a923b935

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list odnoszący się do tekstu o potwornym fanie muzycznego geniusza. Do działu „Listy" najprościej trafić, pisząc e-mail na adres: listy@dorzeczy.pl, do czego jak zawsze zachęcamy.

„Hitler, władza, opera" – Piotr Semka, „DRz" 5/2019

Szanowny Panie,
z uwagą przeczytałem pańskie omówienie wystawy niemieckiej w Norymberdze. Istotnie, jak dostrzegł dawno temu historyk Paul Johnson, Niemcy niezwykle cenią muzykę, mają w niej wielkie dokonania, nic zatem dziwnego, że Hitler był dla nich „krwią z krwi i kością z kości", czyli po prostu prawdziwym Niemcem. Miłował muzykę, a zwłaszcza Wagnera, i umiał ją niestety zdyskontować do swych niecnych celów. Przyszło mu to nad podziw łatwo, bez masakr na masową, bolszewicką skalę, przy zdobyciu władzy nad narodem: wystarczyło po prostu poparcie wyborcze w demokratycznych wyborach w Niemczech w 1932 r. Niemcy zapłacili za to straszną cenę, ale rachunek musiała też zapłacić niemal cała Europa – i był to summa summarum rachunek horrendalny w dziejach. I Niemcy zniszczonym przez siebie państwom – także Polsce oraz Grecji – muszą ten rachunek zapłacić.

Tego wątku jednak wystawa nie dotyka nawet nawiasem. Koncentruje się na tonach muzycznych, gemütlich, o których czyta się miło, łatwo i przyjemnie. Jednym z nich jest zamiłowanie Hitlera do muzyki, a zwłaszcza Wagnera. Szczególną estymą darzył „Śpiewaków norymberskich", która to opera niemal zawsze uświetniała coroczne zjazdy NSDAP.

Miał swoich ulubionych śpiewaków, takich jak Max Lorenz, Josef Greindl, Benno Arnold czy Jaro Prohaska (ten ostatni był owym Czechem, który pozostał na scenach niemieckich po 1933 r. i na festiwalu w Bayreuth 1943 r. wykonywał główną rolę Hansa Sachsa). „Pierścień Nibelungów", czyli cztery dramaty muzyczne (nie opery!) Wagnera, także niestety były przez Hitlera wielbione, ale raczej przez wzgląd na mitologię germańską, nie muzykę, zapewne zbyt trudną dla miłośnika-dyletanta, nie mówiąc już o „Parsifalu". Ostatnim wykonanym na scenach opery w Norymberdze dramatem wieńczącym tetralogię był „Zmierzch Bogów", nie ich „Gniew". Sam gniew na pewno wystąpił, tyle że nie w operze akurat.

Napisałem powyżej „niestety", mając na myśli ogromne szkody, które wynikły dla Wagnera i jego niezrównanej muzyki z powodu admiracji Hitlera i innych profanów z Niemiec rodem. Do dziś trudno wykonywać jego dzieła w Izraelu, o czym także przekonał się dyrygent Daniel Barenboim, będący admiratorem muzyki Wagnera, a z pochodzenia Żydem.

Tyle że to wszystko nie uzasadnia pisania o Hitlerze jako uczniu Wagnera – jak zatytułował autor ostatnią część swego artykułu. „Śpiewacy norymberscy" opiewają niemiecką sztukę, która ich zdaniem jest święta, ale i oni czynią rozróżnienie między Rzeszą Niemiecką a jej sztuką. Sama mitologia germańska, która urzekła Wagnera, jak również Hitlera, to zbyt mało jak na uzasadnienie. Żaden wyznawca Wagnera – tak określa się jego wielbicieli – nie jest w stanie zaważyć na ocenie muzyki tego mistrza, czyli zohydzić jej innym.

Myślę, że jedyną cechą wspólną tego wielkiego Niemca oraz karła Hitlera była nienawiść do narodu wybranego. Niestety, tu obaj szli al pari – i na domiar złego poszli za nimi Niemcy. To bardzo, bardzo przykre. Ale to oni źle wybrali.

Z poważaniem
Tomasz Dąbrowski

Oczywiście określenie „uczeń Wagnera" było bardzo dużą metaforą. Ma pan rację, że to określenie może troszeczkę zgrzytać w uszach. Dziękuję za trafną uwagę.

Piotr Semka

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Marek Budzisz**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Michał Dyjuk/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 79 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 50a923b935

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

PiS – wielki niemowa

Władze Sosnowca zachęcają do kupna działki w centrum miasta, nawiązując do taśm Kaczyńskiego ujawnionych przez „Gazetę Wyborczą". „Wybuduj sobie wieżowiec. Złoty, srebrny, jaki chcesz. Zgoda prezesa niewymagana" – przeczytać można na grafice urzędu miasta.

Najzabawniejsze w tej reklamie jest to, że w wypadku sprawy planów stawiania wieżowca przez spółkę Srebrna – kluczowa była nie żadna „zgoda prezesa", lecz motywowana politycznie zgoda Platformy wydającej w Warszawie „wuzetki" po uważaniu. Jednak tekst ogłoszenia urzędu miejskiego z Sosnowca to sygnał, że w sprawie „taśm Kaczyńskiego" kwestia upolitycznienia przez PO wydawania zgód na budowę w Warszawie intratnych inwestycji nie przebiła się do opinii publicznej. Nie przebiła się, bo PiS nie potrafił znaleźć skutecznego sposobu, aby ten wątek sprawy nagłośnić.

Równie niefrasobliwie PiS odpuścił sobie reakcje na konwencję z 3 lutego Roberta Biedronia, na której lider Wiosny, obiecując koniec wojny polsko-polskiej, faktycznie ogłosił nowy konflikt światopoglądowy.

I ostatni – najbardziej zdumiewający przykład indolencji. Konferencja bliskowschodnia w Warszawie. Nie uczyniono nic, aby wytłumaczyć Polakom, dlaczego angażujemy się w politykę dotyczącą tego odległego od nas obszaru, w imię czego wchodzimy w spór z Iranem i czego w zamian zażądamy od Amerykanów. Oczywiście, nikt takich rzeczy nie opowiada wprost, ale są sposoby, aby odpowiedni przekaz trafił do mediów.

Gdy zapytałem parę dni temu o ten stan paraliżu jednego z polityków PiS, ten zadeklarował: „Naszą odpowiedzią będzie konwencja PiS 23 lutego."

Ta riposta pokazuje tylko skalę skostnienia medialnego, w jakie wpadła rządząca partia. W warunkach medialnej aktywności przez 24 godziny na dobę – pomysł odkładania riposty na dotkliwe ciosy opozycji politycznej i medialnej do czasu kolejnej hucznej konwencji brzmi jak PR z czasów króla Ćwieczka. Na ciosy przeciwnika odpowiada się bowiem wypowiedziami czołowych polityków partii rządzącej. Wystąpienia dobrze przemyślane, zawierające w sobie jakiś bon mot czy wyrazistą tezę, która potem wypływa na czołówki gazet i portali.

Problem w tym, że w PiS nikt się dziś nie pali do tej roli. Prezes Jarosław Kaczyński udziela wypowiedzi rzadko, a jeszcze rzadziej zdobywa się na konferencje prasowe. Premier Mateusz Morawiecki zastygł w roli dobrego gospodarza i o wiele rzadziej niż kiedyś przechodzi do ofensywy. A reszta? A reszta boi się wyjść przed szereg, bo nie wiadomo, czy spodoba się to na Nowogrodzkiej.

PiS stał się więźniem swojego wygładzonego wizerunku. Od początku roku ani razu nie wszedł na połówkę boiska przeciwnika. I zaczyna jawić się jako wielki niemowa. A z zawiązanym na supeł językiem nietrudno dać się przegadać. Wiosna Biedronia i coraz pewniejsza siebie Platforma mocno zawyżają ostatnio poprzeczkę w tych zawodach. ©℗

FOT. SIPA USA/EAST NEWS

ŚWIETNE RAKIETY DLA POLSKIEJ ARMII

Do 2023 r. amerykański producent Lockheed Martin ma dostarczyć do Polski jeden dywizjon nowoczesnych wyrzutni rakietowych HIMARS, czyli 20 wyrzutni, wraz z ok. 300 pociskami oraz systemem kierowania ogniem.

Sprawdzony w boju system umożliwia rażenie kluczowych obiektów militarnych, takich jak elementy logistyczne i dowodzenia, elementy ugrupowania bojowego pododdziałów przeciwlotniczych oraz artylerii.

Polska za nowy system rakietowy zapłaci 414 mln dol. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 50a923b935

Pożegnanie premiera Jana Olszewskiego

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Przez dwa dni obowiązywała żałoba narodowa ogłoszona po śmierci Jana Olszewskiego, byłego premiera (1991–1992), obrońcy opozycjonistów w procesach politycznych, doradcy prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

W ubiegły piątek rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe. Trumna z ciałem byłego premiera została wystawiona w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Nieśli ją m.in. byli współpracownicy Jana Olszewskiego.

Hołd zmarłemu oddali m.in. premier Mateusz Morawiecki, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz przedstawiciele prezydenta. Sala z trumną Olszewskiego otwarta była także dla wszystkich, którzy chcieli pożegnać byłego premiera i wpisać się do księgi kondolencyjnej.

Już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy" – na piątkowy wieczór – zaplanowano mszę żałobną w kościele św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży w Warszawie. Następnie trumna miała zostać wyprowadzona z KPRM i kondukt z nią przejść miał do Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej.

Główne uroczystości pogrzebowe zaplanowano na sobotę. Rozpocząć miały się przemarszem konduktu z Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej do archikatedry św. Jana Chrzciciela na mszę żałobną. Stamtąd kondukt miał przejść na pl. Krasińskich, przed pomnik Powstania Warszawskiego, gdzie Olszewskiego – byłego powstańca – mieli pożegnać powstańcy warszawscy. Następnie uroczystości pogrzebowe miały zakończyć się na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, gdzie spocznie ciało byłego premiera. ©℗ ***(luz)***

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

NEKROLOG

Z głębokim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Jana Olszewskiego

urodzonego 20 sierpnia 1930 roku w Warszawie.
Podczas okupacji niemieckiej harcerza
Szarych Szeregów w Obwodzie Praga
Armii Krajowej
oraz uczestnika Powstania Warszawskiego.
Od 1964 roku obrońcy w procesach politycznych
działaczy opozycji antykomunistycznej.
We wrześniu 1976 roku współzałożyciela
Komitetu Obrony Robotników.
We wrześniu 1980 roku inicjatora utworzenia
ogólnopolskiej zjednoczonej struktury
związków zawodowych,
współautora statutu NSZZ „Solidarność".
W okresie stanu wojennego obrońcy
w sądowych procesach politycznych,
w grudniu 1988 roku współtwórcy
Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".
W latach 1991–1992 Prezesa Rady Ministrów.
W latach 1991–1993 i 1997–2007
posła na Sejm I, III i IV kadencji.

Był człowiekiem niezłomnym i prawym!
Całe życie służył Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 50a923b935

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szejming Kalego

Straszna krzywda dzieje się – krzyczą media totalnej opozycji – pani Podleśnej i innym uczestnikom napaści na Magdalenę Ogórek: pokazano ich w telewizji i ujawniono nazwiska. Już jest dziwnie, bo przecież jeśli ktoś demonstruje, to właśnie po to, aby go zobaczono. W wielu krajach nawet wręcz zakazuje się demonstrantom zasłaniania twarzy, uznając to za wymówienie zasad legalnego, pokojowego zgromadzenia.

Gdy osiągnęła swój cel i stała się „ikoną" protestów, labidzi, że została ofiarą hejtu

Pani Podleśna i jej gromadka to zresztą ludzie, którzy dotychczas bardzo się starali, aby ich udział w antypisowskich demonstracjach – a uczestniczyli we wszystkich, obojętne, czy w obronie Internetu, Wałęsy, dzików, koni, drzew, konstytucji czy sądów, przeciwko miesięcznicom smoleńskim, pomnikowi Kaczyńskiego i Marszowi Niepodległości, byle pokrzyczeć i poszarpać się z policją – był odnotowywany. Bynajmniej nie kryli swych personaliów, udzielając licznych wywiadów zaprzyjaźnionym mediom. Pani Podleśna świadomie budowała wokół siebie męczeński kult „dzielnej kobiety, która stanęła na drodze faszystom" po tym, jak wmieszała się w Marsz Niepodległości i usiadła idącym na drodze, pajacowała przed kamerami w ortopedycznym gorsecie, który już nazajutrz zdjęła.

I oto gdy osiągnęła swój cel i stała się „ikoną" protestów, labidzi, że stała się ofiarą hejtu, że codziennie dostaje liczne e-maile, SMS-y i inne wyrazy dezaprobaty i grozi jej utrata pracy. Rozumiem, że nie tak miało być – zapewne sądziła, że oplucie Magdy Ogórek i inne ekscesy uczynią ją uwielbianą przez wszystkich celebrytką. A tu potępienie. No, szok!

Szczególnie wzruszyły mnie rozdzierające lamenty nad losem ujawnionych tygodnika „Polityka". Tego właśnie, w którym po przegranych dla jego formacji wyborach jakiś cymbał z Waszyngtonu nawoływał, by z „reżimem" walczyć „nejmingiem and szejmingiem", czyli żeby „ujawniać" i publicznie „zawstydzać" stronników PiS oraz członków ich rodzin (!). Po to właśnie przyszli pani Podleśna i inni pod TVP – żeby nękać, „zawstydzać" jej pracowników.

Okazało się, że „ujawniać i zawstydzać" to może Kali – niejako zza węgła, anonimowo. Kiedy bowiem presję i „szejm" poczuli rykoszetem sami wrogowie „reżimu", wtedy w płacz, lament i oburzenie. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dramat w Borkowicach

Kiedy państwo nie działa? Na przykład wtedy, kiedy obok szkoły i szkolnego boiska, na którym bawią się dzieci, ulokowano olbrzymie ilości silnie toksycznych substancji powodujących m.in. uszkodzenia nerek i wątroby, a urzędnicy przerzucają się pismami, zamiast podjąć niezbędne działania.

Do takiej sytuacji doszło we wsi Borkowice, w której cwaniacy z mafii śmieciowej – na nieruchomości wynajętej pod „hurtownię second hand" od jednego z lokalnych gospodarzy – ulokowali składowisko 1,3 tys. ton odpadów zawierających rakotwórczy trichloroetan.

Od wykrycia toksyn mija pół roku, a kupa toksycznego paskudztwa nadal leży w środku wsi, chociaż wojewódzki inspektor środowiska w piśmie, którym dysponuje „Do Rzeczy", alarmował, że może to stwarzać „bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia i życia ludzi".

Zgodnie z przepisami – odpady powinien usunąć na swój koszt – właściciel działki, ale Bogu ducha winny człowiek, który również padł ofiarą oszustów, nie ma pieniędzy, by pokryć szacowany na kilka milionów złotych koszt utylizacji toksycznego świństwa. Powinna to więc zrobić gmina, ale ta – dysponując w budżecie zaledwie 1,7 mln zł na inwestycje – również nie jest w stanie za to zapłacić.

Kiedy mamy państwo z dykty? Gdy zrozpaczeni mieszkańcy i władze gminy proszą w tej dramatycznej sytuacji o pomoc wojewodę – przedstawiciela władz państwowych – i choć od listu mijają dwa miesiące, to nie dzieje się nic. Gdy piszą list do premiera Morawieckiego, odpowiedzią jest milczenie.

Za to gdy na składowisku wybuchnie pożar, wtedy mieszkańcy Borkowic nie opędzą się od wysokich rangą urzędników przed kamerami organizujących „sztaby kryzysowe". A miało być inaczej. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O dyktaturze ciemniaków

Ponad pół wieku minęło od czasu, gdy „Kisiel" z genialną trafnością opisał umysłowość cenzorów i sytuację ludzi pióra w Polsce żałosnego ćwierćinteligenta Gomułki. „Kisiela" niestety już wśród nas nie ma, za to cenzurujący wszystkich i wszystko ciemniacy rozmnożyli się, obrośli w piórka i jako żandarmeria politycznej poprawności trzęsą dziś zachodnią kulturą, sztuką, nauką, a nawet modą.

Dzisiaj świat Zachodu trzyma za mordę rzesza dorodnych, rozbuchanych kretynów i kretynek

Nie chodzi już o anonimowych ciemniaków „Kisiela", dyskretnych strażników doktryny siermiężnego komunizmu. Jest gorzej. Dzisiaj świat Zachodu trzyma za mordę nieprzebrana, świetnie zorganizowana w sieci i mediach rzesza dorodnych, rozbuchanych kretynów i kretynek. W imię dogmatów politpopu, które sami ogłaszają, gotowi są zniszczyć każdego. Boi się ich cały świat.

Luty to w USA i Kanadzie Miesiąc Historii Murzyńskiej (Black History Month). Z tej okazji firma Adidas wypuściła specjalny model butów z literami CBC na podeszwie – skrót od Celebrating Black Culture. Żandarmi politpopu przypuścili szturm na Adidasa, bo buty były białe, co uznali za przejaw rasizmu. I Adidas się ugiął! Wycofał model ze sklepów i przeprosił: „Ten model butów nie odzwierciedla ducha i filozofii, którymi nasza firma chciałaby uhonorować Miesiąc Historii Murzyńskiej".

Firma Prada w grudniu ubiegłego roku wypuściła serię drobiazgów w formie przeróżnych zwierząt. Można je powiesić przy lusterku w samochodzie, używać jako breloczka etc. Żandarmi, zarzucając firmie rasizm, zmusili ją do wycofania kolekcji, bo pośród gadżetów była też brązowa małpka z dużymi ustami. Nie inaczej miały się sprawy z Guccim. Firma musiała ściągnąć z półek i wystaw czarny sweter z golfem. Golf można było naciągnąć do wysokości oczu, Miał dziurę na usta z czerwonym obramowaniem. Naturalnie obie firmy opublikowały przeprosiny i obiecały poprawę.

Że też nie znajdzie się nikt odważny, kto zamiast przepraszać, wdziałby sweterek Gucciego, wzuł buty Adidasa i skopał tym kretynom tyłki... ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Kosmos milczy

Dzień dobry, proszę usiąść wygodnie i zapiąć pasy, za chwilę wezmą Państwo udział w podróży do wszechświata równoległego. Po drodze miniemy galaktykę Krystalicznej Uczciwości, mgławicę Poezji Opozycyjnej, gromadę Politycznej Hipokryzji i obłok Międzynarodowej Nieudolności.

Zaczynamy od redaktora Tomasza Lisa. „Stwórzmy w Polsce wielką wspólnotę ludzi uczciwych. Podam listę trzech ludzi krystalicznie uczciwych i proszę ich, by sami wskazali trzy osoby krystalicznie uczciwe. Moi Ludzie Krystalicznie Uczciwi, w skrócie LKU – Paweł Wroński, Eliza Michalik, Wojciech Czuchnowski. Pls, RT" – z takim oto apelem zwrócił się do swoich czytelników redaktor naczelny „Newsweeka", który dziwnym trafem zmieścił w gronie LKU znaną plagiatorkę, ale nikogo ze swojego tygodnika.

Jak widać, nawet w przypadku poezji trzeba się w tym trudnym opozycyjnym świecie uciekać do wsparcia konkurencji. „Wspólnymi siłami z Tomaszem Lisem opracowaliśmy poetycki zapis ostatnich wydarzeń #TaśmyKaczyńskiego. Duda zniknął/noc ponura/Czy faktura to kapiszon/czy makulatura? Milczy Polski prezesura/W #TVP łże profesura/jak ta suka bura. Polska #PiS to jednak dykta/i tektura" – ubogacił polską literaturę Bartosz T. Wieliński.

Innym człowiekiem, który ubogacił, ale dla odmiany, przestrzeń hipokryzji, okazał się poseł Michał Szczerba. „W dniu św. Walentego tysiące wydarzeń, przedstawień, koncertów. Wszystko odwołane? Trzeba być naprawdę zajętym na stoku, żeby nie sprawdzić dokładnie kalendarza" – skomentował pierwsze informacje o ogłoszeniu żałoby narodowej po śmierci Jana Olszewskiego. Jak widać, są w Polsce żałoby lepsze i gorsze. [Żałoba narodowa obowiązywała jednak od północny z czwartku na piątek do soboty do godz. 19].

Na koniec zapowiedziany obłok Międzynarodowej Nieudolności. „Zorganizowaliśmy szczyt. W świat poszły informacje: będzie wojna z Iranem, Polacy współtworzyli reżim nazistowski, musimy restytuować mienie utracone w trakcie Holocaustu, stalinowski oprawca z UB był bohaterem. Czy to zgodne z założonymi celami? Co my mamy z tego szczytu?" – zapytał Krzysztof Mazur, a zamiast odpowiedzi, jak to w kosmosie, zapanowała cisza. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

CZYM ŚWIECI DODA

Doda w wywiadzie dla „Tygodnika Solidarność" żali się na brak solidarności w swojej branży celebrycko-artystycznej. Uważa, że jest dyskryminowana za to, że jest po prostu szczera. – Niestety, w Polsce wystarczy być szczerym, a od razu otrzymujesz łatkę skandalisty. Nie uważam się za skandalistkę. Nie jestem alkoholiczką, narkomanką. Nie zdradzam męża. Zawsze byłam bezpośrednią osobą i to wystarczyło, żeby przykleić mi taką łatkę – mówi piosenkarka. Dodaje też, że zawsze była wzorem dobrego zachowania. – Pomagam w wielu akcjach charytatywnych i nigdy nie odmawiam wsparcia – zaznacza skromnie. Mówi też, że nie zamierza się zmieniać i pozostanie sobą. – Jest dużo osób, które są ugrzecznione i poprawne na siłę, żeby to się nie obróciło przeciwko nim. Jestem sobą. Mam ten komfort, że jednego dnia świecę cyckami, a drugiego przykładem – podkreśla. Tym pierwszym jakby częściej. I bardziej widocznie. Dużo bardziej.

MINIMALIZACJA STRAT?

Pisaliśmy niedawno o wywiadzie aktorki Anny Muchy dla magazynu „Viva!", w którym opowiadała m.in. o swojej kobiecości, macierzyństwie i nagich sesjach do „Playboya". W tym samym wywiadzie Mucha wyznała też, że o mały włos nie została prawnikiem. Bo taki los szykowali jej rodzice. – Od zawsze była w rodzinie idea, że będę prawnikiem. Ja też tak myślałam – zwierza się aktorka. – Pamiętam, jak podczas którejś Wigilii babcia wzięła mnie na bok i powiedziała: „Aneczko, jesteśmy z ciebie tacy dumni, że pójdziesz w ślady taty i będziesz prawnikiem". A ja już wtedy wiedziałam, że nim nie będę, że nie ma takiej opcji. Nieomal udusiłam się opłatkiem – dodaje. Z dwojga złego, już lepiej jak Mucha siedzi w show-biznesie niż na sali sądowej. Bo tutaj jej gadanina szkodzi głównie jej samej. A to zawsze lepiej niż szkodzić innym.

LITERATURA NA ODWYKU

Ilona Felicjańska, modelka i celebrytka, wielokrotnie opowiadała o swoich zmaganiach z chorobą alkoholową. Tyle że do niedawna zapewniała, iż ten etap ma już dawno za sobą, bo ze swoim uzależnieniem się uporała. Kiedy paparazzi przyłapali ją w jednej z knajp z kieliszkiem w ręku, tłumaczyła się, że po raz pierwszy od siedmiu lat chciała spróbować prosecco. – Nie, absolutnie nie wróciłam do picia – zapewniała. Okazało się jednak, że problem znów jest. Ilona poinformowała bowiem, że wraz ze swoim narzeczonym, Paulem, wybierają się wspólnie na odwyk do specjalistycznego ośrodka na Sycylii. – Paul też odbędzie terapię. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko siebie i nie byliśmy pewni naszej miłości. Ale chcemy, żeby nasz związek był w pełni dojrzały i trzeźwy. Pragnę trzeźwego życia. Świadomego. Celnego. Dojrzałego. Alkohol nie jest mi do tego potrzebny – mówi Ilona. Trochę się boimy tego jej wyjazdu. Poprzednim razem, będąc na odwyku, Ilona napisała swoją debiutancką książkę. Thriller erotyczny. Rozumiecie więc, że nasz strach jest uzasadniony.

JA NIC NIE MUSZĘ!

Joanna Przetakiewicz, projektantka, celebrytka i była wieloletnia partnerka Jana Kulczyka, jednego z najbogatszych Polaków, lubi nas raczyć od czasu do czasu swoimi głębszymi refleksjami. Tym razem znów postanowiła wcielić się w rolę coacha i dać swoim instagramowym fanom cenną życiową radę. „Masz czasem dosyć wszystkiego? Ja nigdy. Pewnie się zastanawiasz, jak to możliwe... Już dawno przestawiłam swoje myślenie. Wszędzie słyszę: »Musisz to, powinnaś tamto«. Ja nic nie muszę. Ja mogę. Od razu przyjemniej, prawda?" – napisała Przetakiewicz. Nic nie musi, wszystko może i wybiera pisanie bzdetów na Instagramie. Jednak dziwny ten świat. ©℗

FOT. PAWEŁ GROMADA

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/FAST NEWS

eprasa.pl 50a923b935

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ogromnie nas wzruszyli uczniowie jednego z warszawskich społecznych liceów, którzy na studniówce zatańczyli Poloneza Równości, solidaryzując się w ten sposób z prześladowanymi członkami społeczności LGBTQWERTY.

Z jednej strony jest to gest wzruszający i stanowiący krok naprzód, za którym pewnie będziemy mogli postawić kolejne kroki. W kolejce czekają bowiem związki poliamoryczne oraz różne inne związki o strukturze większej niż dwuoosobowa. Już za rok, mamy nadzieję, maturzyści wykonają gesty solidarności także w ich kierunku.

Z drugiej jednak strony widzimy problem w nazwie Polonez Równości. Nie po to cała ta akcja się odbywa, iżby promować tańce nazwane od marki kopcącego samochodu, efektu tenkrajowej myśli motoryzacyjnej, z którego już dzisiaj nikt nie korzysta. Na przyszłość więc radzimy, iżby zadbać także o odpowiednie nazewnictwo, a jeszcze lepiej byłoby zrezygnować z poloneza, tylko, nie daj Unio, na rzecz jakiejś polki.

Za nami walentynki. Tradycyjne święto mające na celu uprzykrzanie życia osobom LGBTQWERTY, które są narażone już na kilka dni wcześniej na agresywne kampanie promujące heteronormatywność, i to jeszcze w klasycznym wydaniu związku opartego na dwóch osobach. Próbowaliśmy w naszym korpo unowocześnić te obrzędy, iżby pokazać, zwłaszcza Nowemu z Tarnowa, że inne walentynki są możliwe. W tym celu uruchomiliśmy Tajną Pocztę Walentynkową, którą później przemianowaliśmy na Jawną Pocztę Walentynkową, iż tajna poczta kojarzyła nam się z państwowym aparatem represji. Część naszej załogi, pewnie jakieś kuce z IT, nie dojrzały jednak do postępu i wysłały walentynki do osób płci przeciwnej. Frendziary więc przyszły nam się poskarżyć, iż zostały napastowane.

Podczas ceremonii rozdania Oscarów na żywo nie zostanie pokazane wręczenie nagród w czterech kategoriach. W jednej z nich faworytem do zwycięstwa jest Polak. Musimy wyrazić wdzięczność wobec organizatorów, iż oszczędzą nam dzięki temu eksplozji uczuć nacjonalistycznych. Baliśmy się, iż przeciętny Janusz, który na co dzień w ogóle nie interesuje się kinem, nie jest w stanie wymienić nazwisk trzech reżyserów koreańskiej nowej fali będzie siedział po nocy tylko po to, aby zobaczyć triumf Polaka, a potem z radości się upić i pobić żonę kablem od telewizora – końcówką z telewizorem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 50a923b935

FOT. MSNBC

Andrea non grata

Jacek Przybylski

Podczas powstania w getcie warszawskim Żydzi „walczyli z polskim i nazistowskim reżimem" – taką brednię wypowiedziała w relacji na żywo czołowa amerykańska dziennikarka. A to niejedyna jej wpadka w Polsce

Można by sądzić, że bezczelne kłamstwo na wizji wypowiedziała głupiutka, niewykształcona Amerykanka.

Niestety, autorką skandalicznego popisu niewiedzy lub ordynarnej manipulacji była Andrea Mitchell – mieszkająca w Waszyngtonie szefowa działu zagranicznego NBC News. Stacji telewizyjnej, w której 73-letnia dziennikarka pracuje – z niewielką przerwą – od 1978 r. Od tego czasu pani Mitchell nadawała relacje dotyczące siedmiu kolejnych amerykańskich prezydentów, a także w sprawach międzynarodowych i związanych ze służbami specjalnymi. Przepytywała ministrów, prezydentów i dyktatorów, od Hillary Clinton do Fidela Castro. Wielokrotnie nagradzana reporterka napisała też kilka książek, w tym bestseller „Talking Back".

Jej roczna pensja jest szacowana na 750 tys. dol. Stać ją więc na kupno nie tylko kilku książek historycznych, lecz także kilku mniejszych księgarni. Zwłaszcza że prywatnie pani Mitchell również należy do elitarnego grona. Żona byłego szefa Rezerwy Federalnej Alana Greenspana wychowała się w wykształconej żydowskiej rodzinie w Nowym Jorku. Jest również absolwentką prestiżowego Uniwersytetu Pensylwanii. Tym trudniej jest więc uwierzyć, że stając naprzeciw kamery w stolicy Polski, dziennikarka NBC naprawdę nie wiedziała, przeciw komu wybuchło powstanie w warszawskim getcie.

Amerykańska dziennikarka, zagorzała przeciwniczka Donalda Trumpa, zadziwiająco długo zwlekała też z publikacją lakonicznego wyjaśnienia swoich słów. Opublikowane dopiero następnego dnia na Twitterze sprostowanie – wymuszone prawdopodobnie ostrym stanowiskiem w tej sprawie wpływowego Światowego Kongresu Żydów – również mogłoby być lepiej sformułowane. „Polski rząd nie był zaangażowany w te przerażające czyny. Przepraszam za niefortunną nieścisłość" – to wpis, który znów może być dowodem albo ignorancji, albo arogancji. Przykład tej ostatniej pani Mitchell dała zresztą w 2008 r., nazywając „wieśniakami" wyborców w stanie Virginia. W naszej sprawie nie była to zaś „nieścisłość", lecz ordynarna obelga dla całego narodu. O tym, że działania pani Mitchell mogą być celowe, świadczy zresztą jej kolejne faux pas podczas wizyty w Polsce: przedstawiając osoby, które wzięły udział w uroczystości złożenia wieńców, wskazała na premiera Izraela Beniamina Netanjahu oraz wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a, ale o stojącym pomiędzy nimi premierze Mateuszu Morawieckim nie wspomniała ani słowem. Niewykluczone więc, że kłamstwo sugerujące udział Polaków w mordowaniu Żydów nie było przypadkowe, lecz miało stworzyć grunt pod kwestię żydowskich roszczeń od Polski.

Tak czy owak z niedorzecznych słów amerykańskiej dziennikarki warto wyciągnąć trzy wnioski. Po pierwsze, polityka historyczna jest niezwykle potrzebna. Trzeba więc przy każdej okazji przypominać, że naziści byli Niemcami. W przeciwnym razie za kilka, kilkanaście lat już wszyscy będą przekonani, że naziści to synonim Polaków. A do „polskich obozów koncentracyjnych" zaliczane będą nie tylko takie obozy jak Auschwitz – założone przez Niemców na okupowanych ziemiach polskich – lecz także nawet Dachau.

Po drugie, na kłamstwa należy nie tylko publicznie reagować – tak jak w przypadku „show" pani Mitchell zrobili prezes IPN oraz posłowie Kukiz'15. Aby dać motywację do nauki historii, warto czasem ukarać autora słów szkalujących dobre imię Polaków. Niekoniecznie ścigając go z kodeksu karnego (choć dziennikarka zapewne z premedytacją naruszyła art. 133 Kodeksu karnego) czy uznając ją za persona non grata i wyrzucając z terenu kraju, lecz korzystając z tego, iż nieograniczona wolność słowa niesie za sobą odpowiedzialność cywilną. Trzeba więc wymóc na stacjach NBC i MSNBC stosowne sprostowanie na antenie, a nie tylko na Twitterze. Warto też rozważyć pozwanie pani Mitchell do sądu. Gdyby przegrała proces przed amerykańskim sądem i musiała wypłacić sowite odszkodowanie za znieważenie całego polskiego narodu, to sprawa taka mogłaby zdziałać więcej dla naszej racji stanu niż dziesiątki kolejnych interwencji naszych dyplomatów. W środowiskach polonijnych bez trudu można znaleźć chętnych na sfinansowanie takiego pozwu czy współfinansowanie najlepszych adwokatów. Udowodnienie dziennikarce, że wygaduje głupoty lub celowo manipuluje odbiorcami, mogłoby też sprawić, że pani Mitchell zostałaby uznana za persona non grata nie tylko w Polsce, lecz także w mediach w USA.

Po trzecie wreszcie, warto wzorem państw zachodnich nie tylko karcić, lecz także edukować członków obcojęzycznych elit. Departament Stanu od dawna finansuje wycieczki np. polskich dziennikarzy do USA, aby zwiedzali Amerykę i po powrocie opowiadali o tym, jak piękny i różnorodny jest to kraj. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby podobny program wprowadzić również w Polsce.

Sojusznikami nie do przecenienia w walce o dobre imię Polaków mogą być też nasi fantastyczni programiści. Stworzone przez Polaków gry wideo trafiają na czołówki list sprzedaży zarówno w Ameryce, jak i w Azji. Może więc warto zachęcić twórców tego typu bestsellerów do stworzenia gry przedstawiającej prawdziwą historię II wojny światowej. Łatwiej byłoby wówczas demaskować kłamców pokroju Mitchell.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O KONFERENCJI IRAŃSKIEJ PISZEMY NA STRONIE 30

eprasa.pl 50a923b935

Szukanie Boga

Eric Harris i Dylan Klebold marzyli o rozgłosie i swoje chore ambicje zrealizowali. Dokonali jednej z najstraszniejszych masakr przeprowadzonych na terenie szkoły w historii Stanów Zjednoczonych i wstrząsnęli całym światem. Przygotowywali się do niej rok, gromadząc broń i konstruując ładunki wybuchowe, a cały proces opisywali i uwieczniali na nagraniach. W kwietniowy wtorek 1999 r. uzbrojeni po zęby weszli do swojej szkoły w niewielkiej miejscowości Columbine. Zastrzelili 13 osób, a 24 ranili. Ładunki wybuchowe nie eksplodowały. Na koniec mordercy popełnili samobójstwo.

Film „Moja miłość" to opowieść nie tylko o tym tragicznym wydarzeniu, lecz także o życiu Rachel Joy Scott, która była pierwszą ofiarą sprawców, i jej poszukiwaniu Boga. O głębokiej wierze do końca, mimo tak młodego wieku (zginęła, gdy miała 17 lat). Oryginalny tytuł filmu – „I am not ashamed" („Nie wstydzę się") – to przesłanie wybrzmiewające z obrazu, również ze sceny zbyt wczesnego, tragicznego końca życia dziewczyny. – Gdzie teraz jest twój Bóg? Czy nadal w niego wierzysz? – pyta z obłędem w oczach szkolny kolega Rachel, mierząc do niej z broni. – Wiesz, że tak – odpowiada dziewczyna. – Więc idź do niego! – krzyczy Eric Harris i strzela w głowę Rachel.

Ten poruszający, oparty na faktach dramat powstał dzięki zapiskom w pamiętnikach, które za życia prowadziła Rachel. To z nich poznajemy historię dziewczyny, od dzieciństwa w rozbitej rodzinie przez dojrzewanie jej wiary.

– Ta historia, lektura dzienników Rachel najpierw złamała mi serce, by potem przynieść wielką siłę – opowiadał Brad Allen, pomysłodawca i producent „Mojej miłości". Z kolei reżyser filmu, Brian Baugh, wyznał: „Kiedy zacząłem czytać scenariusz, spodziewałem się nudnej opowieści o wierzącej w Boga nastolatce, która po prostu miała w życiu pecha i zginęła, bo znalazła się w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiednim czasie". Kiedy jednak poznał bliżej dzienniki Rachel, zmienił zdanie – uznał dziewczynę za fascynującą, pełną nastoletniego chaosu i wątpliwości postać.

Reżyserowi zależało na tym, by film nie był kierowany jedynie do osób głęboko wierzących. Jak przekonuje, z efektu jest usatysfakcjonowany. „To uniwersalna opowieść o tym, jak dojrzewamy do prawdy i uczymy się, jak ponosić konsekwencje własnych wyborów. Chciałem nakręcić film o kobiecie, którą silna wiara prowadzi przez życie. Moja bohaterka szuka wiary dokładnie tak, jak robi to Susan Sarandon w »Dead Man Walking« czy Sandra Bullock w »The Blind Side«. Tam też wiara w Boga jest drogowskazem i odpowiedzią na każdą życiową wątpliwość. Tak samo było w tragicznej historii Rachel Joy Scott" – podsumowuje reżyser. ©℗ ***(raw)***

Film fabularny „Moja miłość" 25 lutego z „Do Rzeczy"

Ziobro kontra lichwiarze

Minister sprawiedliwości przedstawił w ubiegłym tygodniu projekt wymierzony w lichwiarskie pożyczki. Zbigniew Ziobro zapewniał na konferencji, że nowe przepisy będą chronić Polaków przed nadużyciami firm oferujących pożyczki.

– Chcemy, aby pętla nie zaciskała się na szyi Polaków. Chcemy, aby tego rodzaju nieuczciwe praktyki zostały raz na zawsze ucywilizowane, dlatego proponujemy rozwiązania, które sprowadzają się do zasady, że ma być taniej, bezpieczniej i uczciwiej – powiedział Ziobro.

Nowe przepisy mają położyć kres odbieraniu mieszkań za niespłacone pożyczki o wielokrotnie niższej wartości niż nieruchomość. Zabezpieczenie pożyczki w formie hipoteki nie będzie mogło być większe niż rzeczywisty dług powiększony maksymalnie o 45 proc. Komornicy nie będą mogli egzekwować roszczeń z nieruchomości, gdy ich wartość nie przekracza 5 proc. wartości domu czy mieszkania.

Opłaty przy pożyczkach „chwilówkach" czy zakupach na raty oraz kredytach konsumenckich nie będą mogły przekraczać 45 proc. kwoty pożyczki w skali roku. A lichwiarzom, którzy będą domagać się wyższych opłat, grozić będą kary – od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia. ©℗

Łukasz Zboralski

RZĄD DOŁOŻY DO SAMOCHODU

Musi być nowy, elektryczny i zostać z użytkownikiem na co najmniej dwa lata, a wtedy rząd dopłaci do zakupu takiego samochodu nawet 36 tys. zł – przewiduje projekt rozporządzenia Ministerstwa Energii. Dotacja będzie rozliczana z dealerem samochodowym i stanowić będzie 30 proc. (maksymalnie 36 tys. zł) wartości pojazdu. Projekt zakłada również m.in. wsparcie dla budowy bądź rozbudowy infrastruktury do ładowania aut elektrycznych. Dopłaty mają być dodatkową zachętą do przesiadania się na elektryki, które na razie nie są w Polsce popularne. Według stowarzyszenia producentów samochodowych ACEA w ubiegłym roku w Polsce sprzedano tylko 620 nowych samochodów elektrycznych (w Niemczech niemal 68 tys., we Francji prawie 45 tys., w Szwecji – 28 tys.). Projekt jest w fazie konsultacji społecznych i uzgodnień międzyresortowych. ©℗ ***(raw)***

eprasa.pl 50a923b935

Gintrowski podbił Wrocław

W stolicy Dolnego Śląska zabrzmiał niezwykły duet muzyczno-poetycki. Młodzi artyści przejmująco zaśpiewali utwory Przemysława Gintrowskiego do słów Zbigniewa Herberta

Gdy w grudniu 2018 r. Telewizja Polska wyemitowała premierowy koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie", przed telewizorami zgromadziło się 3 mln widzów. W czwartek 7 lutego ten sam muzyczny projekt (w częściowo rozbudowanej wersji) zaprezentowano na scenie Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. W stolicy Dolnego Śląska zabrzmiały pieśni Przemysława Gintrowskiego napisane do wierszy Zbigniewa Herberta. Organizatorem przedsięwzięcia była Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego.

Dzięki fundacji koncerty, na których artyści (w większości młodego pokolenia) na nowo odczytują muzyczne i ideowe przesłanie barda Solidarności, od kilku lat odbywają się w całej Polsce. Jednak ten wrocławski był wyjątkowy. To właśnie w tym mieście w 2012 r. na zaproszenie ośrodka Pamięć i Przyszłość Gintrowski dał swój ostatni koncert przed śmiercią. – Tu, we Wrocławiu, pamiętamy o tym fakcie i w związku z nim przeżywam olbrzymie wzruszenie – mówił ze sceny Marek Mutor, dyrektor ośrodka Pamięć i Przyszłość Centrum Historii Zajezdnia. Mutor przypomniał też, że w tym roku obchodzimy dwie ważne rocznice: wybuchu wojny i upadku komunizmu. – W tych dwóch datach, podobnie jak w pieśniach Gintrowskiego, zawiera się trudne półwiecze polskich losów. Oraz przesłanie, że człowiek może być wolny, nawet gdy wszystko na zewnątrz się wali i jest zewnętrznie zniewolony.

Katarzyna Gintrowska, prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego, zwróciła uwagę, że jej wuj koncertował raczej w kameralnych wnętrzach. Często tylko przy gitarze, czasem z akompaniamentem fortepianu. – Nikogo nie udawał, nie szukał kamer, blasku i sztucznego zainteresowania – wspominała. Wyjawiła jednak, że prywatnie artysta lubił bogate brzmienia i rozbudowane instrumentarium. Dlatego koncert jego pieśni w nowych aranżacjach Jana Stokłosy, z chórem i orkiestrą symfoniczną, to w jakimś sensie także spełnienie marzeń barda. A jednocześnie hołd złożony Herbertowi. – Bo w opinii Herberta to właśnie Przemek najlepiej interpretował jego poezję – mówiła, otwierając koncert, Katarzyna Gintrowska.

Co ciekawe, współpraca obu artystów nie od razu układała się idealnie. Herbert i Gintrowski pierwszy raz osobiście spotkali się w stanie wojennym. Podobno poeta nie był początkowo zachwycony, że bard chce śpiewać jego pieśni. Uważał, że poezja powinna bronić się sama, że nie potrzebuje melodii. Później jednak zdecydowanie zmienił zdanie. Urzekł go muzyczny kunszt barda Solidarności, ale też gigantyczny sukces, który odnosiły jego wiersze w interpretacjach Gintrowskiego. Bo tak naprawdę to właśnie dzięki muzykowi trafiły one pod polskie strzechy. – Dzięki Przemkowi słowami Herberta zaczęło mówić całe pokolenie – wspominała prowadząca koncert Monika Zamachowska, prywatnie miłośniczka twórczości barda.

Artystyczny duet Herbert-Gintrowski w stanie wojennym dodawał Polakom nadziei i pomagał śnić sen o wolności. Wrocławska publiczność, wśród której nie zabrakło Jacka Sutryka, nowego prezydenta miasta, entuzjastycznie przyjęła nowatorskie aranżacje znanych sobie w większości utworów. Entuzjazm sali wywołał Marek Piekarczyk, lider legendarnego TSA, swoim brawurowym, niemal punkrockowym wykonaniem „Prośby". Łukasz Drapała, wokalista rockowej Chemii, doskonale poradził sobie z „Karolem Levittoux", opowiada-

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
WSPÓŁORGANIZATORZY
centrum historii zajezdnia
Wrocław the meeting place

eprasa.pl 50a923b935

Wykonawcy i Orkiestra Narodowego Forum Muzyki Filharmonii Wrocławskiej

Marek Mutor, Katarzyna Gintrowska i prowadząca koncert Monika Zamachowska

jącym historię uwięzionego przez cara gimnazjalisty, który – nie chcąc wydać kolegów z konspiracji – dokonał bohaterskiego aktu samospalenia. Równie przejmujący był duet Drapały z Renatą Przemyk (zaśpiewali razem słynną „Pieśń o bębnie", która była jednym z najmocniejszych momentów koncertu), a także opiewający żołnierzy wyklętych utwór „Wilki" w wykonaniu tej ostatniej. Nie brakowało też bardziej lirycznych akcentów – choćby „Nike, która się waha" w mistrzowskim wykonaniu Zbigniewa Zamachowskiego czy „Modlitwy o wschodzie słońca", którą nowatorsko zaśpiewała Ola Gintrowska. Ten ostatni utwór wprawdzie nie jest autorstwa Herberta, lecz zmarłego przed trzema trzema laty Natana Tenenbauma, jednak tak bardzo zrósł się z Gintrowskim, że tego wieczoru nie mogło go zabraknąć. – To było kredo Polaków w ponurych czasach stanu wojennego – przypomniała Monika Zamachowska.

W trakcie koncertu dwa utwory wykonała córka barda – Julia Gintrowska. Jej występy na koncertach poświęconych ojcu to już tradycja – dzięki temu z roku na rok publiczność może obserwować jej artystyczne dojrzewanie. Wzruszeń dostarczyła zwłaszcza „Kołysanka", w trakcie której na telebimie pokazano rodzinne fotografie mistrza z małą jeszcze córeczką.

Twórcy koncertu kilka razy wyszli poza kanon Herbertowski. Jakub Wocial przypomniał kultowy utwór „A my nie chcemy uciekać stąd", opowiadający autentyczną historię tragicznego pożaru w szpitalu psychiatrycznym w Świeciu nad Wisłą. Dla duetu Gintrowski-Kaczmarski płonący zakład dla umysłowo chorych stał się metaforą ówczesnej Polski. Z kolei Paulina Grochowska, ekspresyjnie wykonując „Czarne perfumy" do słów Agnieszki Osieckiej, przypomniała, że mistrz komponował też piosenki opowiadające o uczuciach i nie bał się nieco lżejszego repertuaru.

W czasie koncertu artystom towarzyszyli muzycy Orkiestry Narodowego Forum Muzyki Filharmonii Wrocławskiej pod batutą Jana Stokłosy, który był też kierownikiem muzycznym i autorem wszystkich aranżacji. Przed wrocławską publicznością wystąpił także chór pod kierownictwem Danieli Ozdarskiej. Gabrieli Gusztyn-Popławskiej, reżyserce i producentce koncertu, raz jeszcze udało się idealnie pogodzić na scenie różne estetyki i wrażliwości. A przy okazji udowodnić uniwersalny charakter, zarówno wierszy Herberta, jak i twórczości Gintrowskiego.

W 1982 r. ktoś dał Gintrowskiemu wiersz. Ten od razu bezbłędnie rozpoznał pióro Herberta. Później, w czasie rozmowy z poetą, pokazał mu utwór i zapytał: „To pana?". Herbert pokręcił głową. „Utwór owszem niezły, ale nie mój". Gintrowski uznał więc utwór za genialną podróbkę. Gdy wychodził z mieszkania poety, ten dogonił go jednak na klatce schodowej i przyznał się do zatajenia prawdy. „Panie Przemysławie, pomyślę o tym wierszu. Bo może to jednak ja napisałem…"

Tak narodziła się artystyczna przyjaźń genialnego poety i wybitnego pieśniarza, której owocem były utwory, które w okresie stanu wojennego stały się dla Polaków kultowe. Młodzi artyści, którzy wykonali te utwory we Wrocławiu, nadając im świeżość i nową energię, pokazali, że są ważne także dla kolejnych pokoleń. ***(md)***

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNERZY
LOTTO Poczta Polska
PATRONI MEDIALNI
TVP TELEWIZJA POLSKA DO RZECZY Gazeta Wrocławska wprost

eprasa.pl 50a923b935

Dementujemy, i to po dwakroć. Po pierwsze, to nieprawda, że Robik Biedroń chciał bańkę od każdego nowego kandydata na jedynkę w eurowyborach z list Wiosny. Chodziło zaledwie o 900 tys. Po drugie, kwota 900 tys. nie jest już aktualna. Teraz wynosi półtorej bańki. Oferta dotyczy nie tylko członków partii Razem.

Skoro już o pieniądzach. Na marginesie konferencji bliskowschodniej w Warszawie odbyła się rozmowa ważnych dyplomatów z Polski i USA. Amerykanin był zainteresowany tym, kiedy Polska zacznie wypłacać Żydom za Holokaust. „Wrócimy do tego tematu zaraz po tym, jak Niemcy wypłacą nam reparacje" – usłyszał w odpowiedzi.

Nieoczekiwane skutki „taśm Kaczyńskiego". Grzegorz Ludojad Schetyna, który urzędował kiedyś w Pieczarze, zmienił obyczaje. Pieczara to gabinet szefa sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. To tam zawierano liczne deale, nie tylko polityczne. Otóż Grzegorz nie ufa już temu miejscu. Tym bardziej nie ufa ludziom. Teraz swoim rozmówcom proponuje wspólny wypad do sauny. To taki zwyczaj rosyjskich gangusów, którzy są przekonani, że w saunie nie da się nagrywać. Fakt, golas dyktafonu nie wniesie. Są jednak inne metody. Mamy złą wiadomość – znają je nie tylko ruscy.

Drobna rzecz, a śmieszna. Ze względu na trudne do zapamiętania nazwisko na mieście wszyscy mówią o austriackim biznesmenie, który nagrał Kaczora Dyktatora, per „pan Hilfiger".

Tymczasem w sądzie. W miniony czwartek odbyła się kolejna, podobno przedostatnia, rozprawa w sprawie, którą mecenasowi zwanemu Koniem wytoczył Piotr Nisztor za nazwanie go „bandytą i gangsterem". Gazety piszą, że Giertychowi grozi grzywna lub odsiadka, ale pomijają sedno sprawy. Jeśli długi Roman zostanie skazany, nawet tak symbolicznie, to nie będzie mógł jako adwokat reprezentować młodych Tusków oraz starych Birgfellnerów. Czekamy z niecierpliwością, gdyż – jak wiadomo – jesteśmy złymi ludźmi i nikomu nie życzymy dobrze.

Kolejna teoria spiskowa. Uwielbiamy je. Źli ludzie rozpowiadają, że nowe ugrupowanie Roberta Gwiazdowskiego Polska Fair Play to tak naprawdę podstęp premiera Mateusza, który chce mieć własną zaprzyjaźnioną, koncesjonowaną opozycję wolnorynkową. Chęć takiego posiadania rozumiemy, nie rozumiemy, dlaczego premier Mateusz chciałby mieć zaprzyjaźnioną opozycję o poparciu 0,001 proc.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Kukiści rozpowiadają z kolei, że to właśnie im Gwiazdowski ma odbierać głosy. Wolne żarty, Gwiazdowski nie jest w stanie odebrać głosu nawet naszej zaprzyjaźnionej babci sąsiadce (gdyby oczywiście miała wolnorynkowe poglądy).

Inni kukiści mówią, że Robert Gwiazdowski zaproponował im sojusz. Miał polegać na tym, że kukiści rozwiązują swój ruch i razem z Gwiazdowskim zakładają całkiem nowy – Polska Fair Play. Śmiechu było więc co niemiara. Doceniamy to. Potrzeba nam humoru w smutnej polskiej polityce.

Jeśli długi Roman zostanie skazany, to nie będzie mógł jako adwokat reprezentować młodych Tusków oraz starych Birgfellnerów

Grzegorz Ludojad Schetyna też chodzi po mieście i opowiada straszne rzeczy. Na przykład że Tomek Lis, naczelny „Lisweeka", bardzo chciałby kandydować do europarlamentu z list wielkiej koalicji. Tę propozycję również doceniamy. Potrzeba nam jeszcze więcej humoru w smutnej polskiej polityce.

Powyższa plotka składa się ładnie z inną. Otóż Tomek Lis strzelił sobie niedawno piękną sesję zdjęciową w nowym mieszkaniu. Bardzo dbał o to, by w starannie kadrowanych ujęciach widać było dobrze w tle Belweder. Wiadomo, że poważny kandydat na europosła musi mieć poważne zdjęcia na poważnym tle. Jeszcze trochę, a uznamy, że dość już humoru w smutnej polskiej polityce.

Natomiast Borysław Budka w PeŁo też chodzi, ale po Sejmie. I pokazuje kolegom swój pasek wypłaty, pomstując pod niebiosa. Po obniżkach pensji dla posłów zarabia, biedaczyna, ledwie sześć tysiów, co, jak słusznie zauważa, „nie wystarczy mu nawet na dwa porządne garnitury". Jako prawnik Borysław wyciągał pewnie z 10 razy tyle, więc rozumiemy jego żal. Rozumiemy też, dlaczego grozi, że jak PeŁo nie wygra

eprasa.pl 50a923b935

wyborów, a on nie zostanie ministrem, to rzuci w diabły tę całą politykę i wróci do kancelarii.

Skoro już jesteśmy w okolicach resortu sprawiedliwości – ciekawa rzecz przydarzyła się pewnemu sekretarzowi. Otóż ponieważ Ziobro nie chciał gadać z TVN24, reporterzy tejże stacji dopadli sekretarza, który jako człowiek młody i uprzejmy odpowiadał na pytania długo i wyczerpująco. To zasmuciło ekipę, bo nie na to było zamówienie. Po chwili więc podbiegli do gościa ponownie i powiedzieli, że muszą go nagrać raz jeszcze. Na co on, też w biegu, odparł: „Przed chwilą wam wszystko powiedziałem, muszę lecieć, dziękuję bardzo". Jakież było jego zdumienie, gdy w materiale wieczorem ujrzał tylko jedną swoją setkę: „Dziękuję bardzo!" jako dowód rzekomego olewania przez resort Ziobry dziennikarzy.

Z życia polskiego więziennictwa. CBA rozpuszcza plotki, że Bartłomiej M., były rzecznik MON zwany też Haribo, rozpruł się w śledztwie i sypie wszystkich, jak miś trocinami z rozciętego brzuszka. Niestety, to ściema. Haribo trzyma się dzielnie. Nigdy w życiu nie przypuszczaliśmy, że takie zdanie spłynie nam z palców na klawiaturę.

Z życia polskiego więziennictwa cd. Odbyły się zawody strzeleckie o puchar więziennictwa. Wziął w nich udział także minister sprawiedliwości i prokurator generalny. Niestety, zajął dopiero drugie miejsce. Uważamy, że takie zawody byłyby o wiele bardziej emocjonujące, gdyby brali w nich udział także osadzeni.

My jednak nie potrzebujemy trocin z wnętrza sypiącego Haribo, by wiedzieć swoje. A jest to rzecz następująca: obawy przed zawinięciem przez CBA występują ostatnio u paru innych byłych figur z MON. Źli ludzie przebąkują nawet coś o wiceministrach, ale my w to nie wierzymy.

Wszystko wskazuje na to, że największą ofiarą Haribo jest Krwawy Antoni, były wielki hetman koronny. A było tak: po tym, jak Bartek wyleciał z MON, a następnie również z PGZ, Macierewicz zerwał z Bartkiem wszelkie kontakty. Haribo jednak opanował do perfekcji sztukę mrugania oczkiem: „Wicie, rozumicie, z tą dymisją to pic na wodę, fotomontaż, tak naprawdę to ja rządzę Antonim". Dzięki starym kontaktom w MON Haribo wiedział, kiedy byłego szefa nie ma w robocie, i przechadzał się wówczas po korytarzach resortu, budząc podziw przyszłych biznespartnerów.

CBA rozpuszcza plotki, że Bartłomiej M., zwany też Haribo, rozpruł się w śledztwie i sypie wszystkich, jak miś trocinami z rozciętego brzuszka. Niestety, to ściema

À propos biznespartnerów Haribo. Antoni Ptak, właściciel słynnego centrum handlu hurtowego nieopodal Łodzi, jest od pewnego czasu właścicielem podobnej nieruchomości w Nadarzynie. Ptak Expo przędzie tak sobie. Pomysłowi dyrektorzy z firmy Ptak wpadli więc na pomysł, by urządzić tam na stulecie niepodległości Wielką Narodową Wystawę Militarną pod patronatem szefa MON. To z kolei doprowadziło do wielkiej aktywności Bartusia. Sprawę szlag trafił, bo aktywność CBA okazała się równie wielka. Widmowe wystawy za zupełnie niewidmowe pieniądze – czyż nie słodki ten Haribo?

Pisaliśmy niedawno o frakcji antyemeryckiej w rządzie, ale to już nieaktualne. Nowa linia brzmi „emeryci przede wszystkim". To tak à propos konwencji programowej PiS, która odbędzie się 23 lutego. Owszem, będą propozycje dla biznesu, ale jednocześnie nowy mocny punkt prospołeczny, bo jak powiedział nam jeden z ministrów: „Podatki są ważne, ale nie są sexy".

Ujawniamy więc, co ma być celem rozmaitych zmian podatkowych i proprzedsiębiorcowych (chyba właśnie wynaleźliśmy nowe słowo). Chodzi o to, by ulżyć głównie tym, którzy zarabiają od 2 do 4 tysiów. I zrobić to tak, by ujrzeli to wyraźnie na swoim pasku wpłaty. Odetchnęliśmy z ulgą. Już się obawialiśmy, że ktoś będzie chciał ulżyć Borysławowi Budce.

Barbara Nowacka ma nową fryzurę. Zamiast spinać włosy w koński ogon, zaczęła je rozpuszczać i nieco przycięła. Ładnie jej. Niby nic ważnego, ale musieliśmy to napisać, gdyż wydanie rubryki bez elementów seksistowskich uważamy za nieważne. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

śledztwo DO RZECZY

Austriak we mgle

Wojciech Wybranowski

Andrzej Niewiadowski
z Bratysławy

Bohater cyklu publikacji „Gazety Wyborczej" Gerald Birgfellner nie jest wielkim deweloperem ani liczącym się graczem na zachodnim rynku. Uważano go za człowieka do „zadań specjalnych"

eprasa.pl 50a923b935

Gerald Birgfellner (z prawej) w drodze na przesłuchanie w prokuraturze w ubiegłym tygodniu FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Milczenie, odmowa odpowiedzi, brak wiedzy czy wreszcie pogróżki sądowe – to najczęstsza reakcja, z którą się spotkaliśmy, gdy w Polsce, na Słowacji, w Austrii i na Cyprze, w firmach, z którymi był związany Gerald Birgfellner, ludziom, z którymi – jak wynika z dokumentów sądowych i relacji prasowych – współpracował, zaczęliśmy zadawać pytania o biznesowe dokonania Birgfellnera, austriackiego zięcia Jana Marii Tomaszewskiego, kuzyna Jarosława Kaczyńskiego. Birgfellner jest partnerem Karoliny Tomaszewskiej, pracującej dla europosłów PiS. Tomaszewska brała udział w jego rozmowach z prezesem PiS jako tłumaczka. Wiele wskazuje na to, że Austriak, o którym od niedawna głośno jest w Polsce, dużym graczom z branży deweloperskiej nie jest znany, nie był on też nigdy znaczącą postacią w tym biznesie.

Tym ciekawsze jest więc to, jaką rolę miał odegrać w opisywanej przez „Gazetę Wyborczą" sprawie budowy wysokościowca dla spółki Srebrna. I dlaczego nagrał wiele godzin rozmów z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim.

Z nieoficjalnych informacji wiadomo, że nie udało się tego ustalić podczas przesłuchania Birgfellnera w prokuraturze. Pytania, które w tej sprawie skierowało do niego „Do Rzeczy", też pozostały bez odpowiedzi.

W AUSTRII NIEZNANY

– Nie znamy Geralda Birgfellnera i nie mieliśmy z nim żadnych kontaktów. Nie jest nam znana jego aktywność w branży – twierdzi Julia Zychowicz z Polskiego Związku Firm Deweloperskich, największej polskiej organizacji skupiającej działających w kraju deweloperów mieszkaniowych oraz biurowych.

Gerald Birgfellner – jak twierdzi „Gazeta Wyborcza" i jak wynika z ujawnionych przez nią części zarejestrowanych przez Austriaka nagrań – miał być wykonawcą dwóch 190-metrowych biurowców dla spółki Srebrna. Wynagrodzenie Austriaka miało wynosić 3 proc. wartości inwestycji, czyli ok. 39 mln zł. Gdy zarząd spółki Srebrna odmówił zapłaty, Birgfellner poszedł do wojującego z PiS adwokata Romana Giertycha i złożył pozew do sądu. A taśmy z nagrań rozmów Birgfellnera i Jarosława Kaczyńskiego trafiły do dziennikarzy „Gazety Wyborczej" .

Zauważalne zaskoczenie polskich deweloperów, gdy pytamy o biznesową aktywność Birgfellnera, nie jest czymś

eprasa.pl 50a923b935

dziwnym. Chociaż 57-letni Austriak pracuje w tej branży od 27 lat, głównie na kierowniczych stanowiskach, to nawet w Austrii jest mało znany w branży. W tamtejszej Izbie Handlowej jest zarejestrowany w sekcji „dostawcy usług osobistych" – z siedzibą biura w Dolnej Austrii. Według informacji, do których dotarło „Do Rzeczy", jest miłośnikiem maratonów, w których amatorsko uczestniczy.

W austriackich mediach jego nazwisko w ciągu ostatnich 10 lat pojawiło się tylko dwa razy. Po raz pierwszy w 2012 r., gdy wiedeńska firma BETHA Zwerenz & Krause, z którą Birgfellner współpracuje jako kierownik projektu, otrzymała prestiżową nagrodę za innowacyjny projekt architektoniczny Villaggio Fashion Outlet w autriackim Parndorf. To przedsiębiorstwo kończy właśnie budowę największego centrum wyprzedażowego na Śląsku – Silesia Outlet. Wcześniej na jednej z wysp na Odrze postawiło luksusowy butikowiec.

Wiele wskazuje, że Gerald Birgfellner nadal jest pracownikiem tej firmy. Posługuje się jej firmowym adresem e-mail, podaje go też jako swój adres kontaktowy w dokumentach sądowych. Taki podał, np. wpisując do Krajowego Rejestru Sądowego w Polsce firmę Balios Project Management Holding – spółkę komandytową (występuje w niej jako prezes zarządu).

Jednak gdy w wiedeńskiej centrali firmy BETHA Zwerenz & Krause pytamy o Birgfellnera i jego pracę dla tej korporacji, wszystko okazuje się tajemnicą. – Bardzo proszę o zrozumienie, ale nie możemy udzielić panu żadnych informacji na ten temat – słyszymy od Anity Stelzl z biura personalnego i marketingu firmy BETHA Zwerenz & Krause.

Drugi raz nazwisko Birgfellnera pojawiło się w austriackich mediach, w „Die Presse" i „Kurier", na przełomie stycznia i lutego, czyli po ujawnieniu „taśm Kaczyńskiego". Były to krótkie newsowe notatki.

Wiedeński „Kurier" sięgnął po informacje założonej w Niemczech renomowanej międzynarodowej wywiadowni gospodarczej Creditreform, ale i tak informacje, które dostarczyła o Birgfellnerze, były szczątkowe i nie do końca aktualne. Według wywiadowni miał on nie figurować w dokumentach jako dyrektor firmy Nuneaton. Tak podawały też polskie media, ale nie jest to informacja prawdziwa.

Sprawdzając austriacką karierę Birgfellnera, przeprowadziliśmy w Wiedniu wiele rozmów z dziennikarzami, także tymi zajmującymi się branżą nieruchomości, i osobami funkcjonującymi na tym rynku. Z rozmów tych wynika, że austriacki zięć kuzyna Kaczyńskiego nie jest osobą znaną w tamtejszych kręgach menedżerskich, mimo że figuruje w dokumentach dotyczących zarządów różnych spółek.

Zdaniem austriackich dziennikarzy Birgfellner to nie jest „jeden z największych graczy na austriackim rynku nieruchomości", a raczej człowiek do „przeprowadzania różnych interesów" w sieci powiązanych spółek akcyjnych.

Jedną z takich spółek jest zarejestrowana w Wiedniu spółka GIBBON Holding GmbH, której Birgfellner jest współwłaścicielem i współzarządzającym dyrektorem inwestycyjnym. W październiku 2017 r. spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o takiej samej nazwie Birgfellner zarejestrował również w Warszawie – zaznaczając w dokumentach sądowych, że jej udziałowcem (100 udziałów o łącznej wartości 5 tys. zł) jest właśnie GIBBON Holding GmbH.

Gerald Birgfellner posługuje się wciąż e-mailem wiedeńskiej firmy BETHA Zwerenz & Krause. Jednak gdy w centrali pytamy o niego i jego pracę, wszystko okazuje się tajemnicą

Jak ustaliliśmy, 19 lutego 2018 r. Gibbon sp. z o.o., powiązana z austriackim odpowiednikiem, zmieniła nazwę na K-TOWERS sp. z o.o., a 25 czerwca 2018 r. na jeszcze inną – Areion sp. z o.o. To właśnie pod nazwą K-Towers Birgfellner miał realizować w Warszawie budowę biurowców dla Srebrnej.

LUKI W DOKUMENTACH

W Polsce Gerald Birgfellner związany jest także z firmami Nuneaton sp. z o.o. i Nuneaton sp. komandytowa. Kilkanaście dni temu „Gazeta Wyborcza" opublikowała fakturę na kwotę ok. 1,6 mln zł wystawioną 14 czerwca 2018 r. przez Nuneaton spółce Srebrna – rzekomo za pracę Birgfellnera przy realizacji projektu budowy wysokościowca na działce przy ul. Srebrnej 16 w stolicy. Sprawa wywołała natychmiast sporo wątpliwości, m.in. dlatego, że dokumentowi nie towarzyszą żadne materiały wskazujące na rzeczywiste wykonanie prac. W dodatku – jak stwierdził na swoich stronach portal Fakt24.pl – Gerald Birgfellner nie został zarejestrowany przez KRS [organ rejestrujący – przyp. red.] jako właściciel ani członek zarządu spółki Nuneaton. To nie on, ale dwoje innych biznesmenów widnieje w upublicznionych dokumentach spółki.

Sprawdziliśmy, że jako upoważnieni do wystawiania deklaracji i roszczeń majątkowych członkowie zarządu Nuneaton sp. z o.o. w Krajowym Rejestrze Sądowym widnieją Henryk Zimmermann i Steven Wood, a jako udziałowiec renomowana firma Blackstones sp. z o.o., w której Zimmermann i Wood pracują.

Zimmermann i Wood byli członkami zarządu do 13 lutego 2018 r., gdy zostali odwołani, a na ich miejsce wyznaczono Geralda Birgfellnera. Tego też dnia reprezentowana przez nich spółka Blackstones (wbrew temu, co pisze m.in. austriacki „Kurier") przestała być udziałowcem Nuneatona. – Z przyczyn nam nieznanych dane ujawnione w rejestrze przedsiębiorców KRS dla Nuneaton sp. z o.o. nie są aktualne: nieprawidłowy skład zarządu, nieprawidłowy wspólnik, nieprawidłowy adres – poinformował „Do Rzeczy" Henryk Zimmermann, dyrektor departamentu spółek w firmie Blackstones. Pytany o Birgfellnera odpowiada: – Nie współpracowaliśmy ani nie współpracujemy z panem Birgfellnerem w żadnych projektach deweloperskich ani nieruchomościowych.

Dlaczego Birgfellner nie zmienił w KRS danych dotyczących właściciela, udziałowców i zarządu spółki, mimo że takie dane zostały naniesione w rejestrze sądowym w odniesieniu do bliźniaczej spółki Nuneaton? Nie wiadomo.

W tym miejscu warto wyjaśnić, dlaczego obecni na polskim rynku przed wykonaniem inwestycji budowlanych powołują dwie spółki – tak jak Nuneaton – o takich samych nazwach: spółkę komandytową i spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. – To działanie pozwalające na zmniejszenie odpowiedzialności finansowej przy inwestycji. W spółce komandytowej pełną odpowiedzialność za jej działania ponosi komplementariusz, czyli jeśli takim

eprasa.pl 50a923b935

wspólnikiem jest spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z niewielkim kapitałem zakładowym, np. 5 tys. zł, to odpowiedzialność takiej spółki jest niemal żadna. A inwestorzy jako komandytariusze mają tylko udział w zyskach – mówi nam Marcin Wątrobiński, prawnik specjalizujący się w prawie gospodarczym. Zaznacza, że jest to działanie legalne, często stosowane w branży budowlanej, ale budzi zastrzeżenia natury etycznej co do zabezpieczania się przed ewentualną odpowiedzialnością.

NIE TYLKO PANAMA PAPERS

Nazwisko Geralda Birgfellnera występuje także – jak podał portal Niezależna.pl – w kierownictwie spółki, której nazwa pojawia się w głośnej aferze Panama Papers. Chodzi o dokumenty dotyczące firm rejestrowanych w rajach podatkowych, które wyciekły z kancelarii prawnej Mossack Fonseca w Panamie. Grupa dziennikarzy zrzeszonych w Międzynarodowym Konsorcjum Śledczym analizowała i opracowywała pełną listę ponad 200 tys. przedsiębiorstw i raportów dotyczących firm zarejestrowanych w krajach, w których z łatwością można było dokonywać machinacji podatkowych. Do tych danych dołączono także zbiór 100 tys. firm, których nazwy pojawiły się we wcześniejszym wycieku z 2013 r. zwanym Offshore Leaks.

Badający sprawę Panama Papers znany dziennikarz śledczy Kevin G. Hall, związany dziś z McClatchy Newspapers, uczulił nas, że gromadzone i analizowane przez nich materiały związane z Panama Papers nie zawierają nazwisk właścicieli spółek lub osób, których mogłyby dotyczyć. Dlatego prześledziliśmy głównie nazwy przedsiębiorstw i nazwiska osób, które pojawiały się w ich zarządach.

Gerald Birgfellner był – co ujawniła Niezależna.pl – dyrektorem zarejestrowanej w lipcu 2005 r. w cypryjskim raju podatkowym na wyspie Nikozja spółki o nazwie Sofanton Limited, mającej zajmować się tworzeniem i wynajmowaniem nieruchomości. „Sekretarzem" tej spółki była z kolei Cymanco Services Limited, której nazwa znalazła się w wykazie dokumentów z afery Panama Papers. Dlaczego? Bo swoją działalność w rajach podatkowych prowadziła poprzez zarejestrowaną na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych ukraińską firmą European Food Supplies Corp.

To nie wszystko. Spółkę Sofanton Limited, którą kierował Birgfellner, łączą z Panama Papers także nazwiska jego współpracowników. Dyrektorami w Sofanton obok Birgfellnera i zarazem jego najbliższymi współpracownikami byli Arlin Nachikian i Kostas Christoforou – zasiadający także w zarządzie Cymanco Services.

Dawni współpracownicy Birgfellnera – Nachikian i Christoforou – są dziś pracownikami (ten drugi na szczeblu kierowniczym jako dyrektor wykonawczy) potężnej cypryjskiej instytucji finansowej o nazwie Cyproman Services Ltd., mieszczącej się pod tym samym adresem co wcześniej Sofanton Limited i znanej z tworzenia sieci pozwalających na unikanie należności podatkowych wzajemnie powiązanych firm – w rajach podatkowych na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, a także na Kajmanach.

1 marca 2018 r. rumuńska gazeta „România Liberă" pisała, że również jedna z czołowych rumuńskich firm, KPMG România, mogła topić zyski w rajach podatkowych dzięki Cyproman Services Ltd. W artykule czytamy m.in. o morzu szarej strefy, a także że „[...] w ostatniej jurysdykcji na Kajmanach Cyproman Services Ltd. jest notowana w 15 podmiotach [...]".

Kierowana przez niedawnego współpracownika Birgfellnera – Kostasa Christoforou – firma Cyproman Services Ltd. pojawia się w prowadzonej przez Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych bazie Offshore Leaks Database kilkukrotnie, m.in. w związku z zarejestrowanymi w raju podatkowym na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych sieciami wzajemnie powiązanych firm, z firmami Plumage Limited czy Midwood Estate Inc.

Przez wiele dni usiłowaliśmy uzyskać informacje od Kostasa Christoforou na temat Geralda Birgfellnera i ich wzajemnej współpracy w ramach Sofanton Limited, a także ewentualnych związków z Cymanco Services. Wszystkie e-maile pozostały bez odpowiedzi. Ostatecznie udało nam się go nakłonić do krótkiej telefonicznej rozmowy. Kostas Christoforou już na pierwsze pytania o Birgfellnera zareagował nerwowo. – Proszę mnie nie nękać. Nie mogę panu pomóc. Nic nie mam do powiedzenia ani oficjalnie, ani nieoficjalnie. Nie ma żadnej możliwości, bym rozmawiał na temat pana Birgfellnera i jego interesów. Chcecie o nim rozmawiać, idźcie do sądu po nakaz – usłyszeliśmy.

Cypr i Brytyjskie Wyspy Dziewicze uważane są nie tylko za raje podatkowe, lecz także za mekkę dla rosyjskich oligarchów i służb specjalnych Federacji Rosyjskiej. To na Cyprze w 2010 r. zatrzymano „łącznika", który prał pieniądze dla rosyjskich szpiegów w USA, tzw. nielegałów. Z kolei Wiedeń jest ważnym miejscem dla rosyjskiej agentury.

CORAZ WIĘCEJ PYTAŃ

Nazwisko Geralda Birgfellnera pojawia się także – jak napisała „Rzeczpospolita" – w rejestrach sądowych spółki Celtis sp. z o.o. Firma została zarejestrowana w 2007 r., Birgfellner zaś został wpisany do jej zarządu w październiku 2018 r. Firma ma zajmować się handlem nieruchomościami i wynajmem powierzchni mieszkaniowej. Nie ma nawet strony internetowej.

W ubiegłym tygodniu Gerald Birgfellner dwukrotnie zeznawał w warszawskiej prokuraturze. Według jego pełnomocnika Romana Giertycha złożone przez austriackiego biznesmana zeznania miały być wstrząsające. Jednak jak ujawniła Polska Agencja Prasowa, powołując się na nieoficjalne przecieki ze śledztw, Birgfellner ponoć nie potrafił odpowiedzieć śledczym na podstawowe pytania: ile godzin rozmowy z przedstawicielami spółki Srebrna nagrał, w ilu pojawia się Jarosław Kaczyński, na jakim nośniku nagrywał, gdzie takie rozmowy były prowadzone.

Na koniec tygodnia „Gazeta Wyborcza" ujawniła, że Austriak miał zeznawać, iż prezes PiS nakłonił go rzekomo do wręczenia łapówki – 50 tys. zł – księdzu z rady fundacji Instytut im. Lecha Kaczyńskiego. Przy tym podczas zeznań Birgfellnera nie pamiętał, komu wręczył kopertę z pieniędzmi. Za to pamiętał, że tę kopertę miał mieć w ręku Jarosław Kaczyński. Tego samego dnia informacje „GW" sprostował adwokat Austriaka – Roman Giertych. Zaznaczył, że nie można napisać, iż ksiądz z fundacji łapówkę otrzymał. „[...] Informuję, że nie wynika z tych fragmentów, aby mój Mocodawca miał pewność, że pieniądze trafiły do Ks. Rafała Sawicza. A tak sugeruje podtytuł artykułu" – napisał Giertych na Twitterze. I zaraz na Twitterze „erratę" zamieścił też redaktor naczelny dziennika.

Pytania o rolę Birgfellnera w kreowanej na łamach „Gazety Wyborczej" aferze zwanej taśmami Kaczyńskiego są coraz bardziej zasadne. I wciąż przybywa nowych. Na przykład – kto informował nieznającego języka polskiego Austriaka, które fragmenty nagrań są szczególnie istotne, kto dostarczył je do „Gazety Wyborczej". I wreszcie najważniejsze: Jaką naprawdę rolę w tej sprawie odgrywa Birgfellner?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

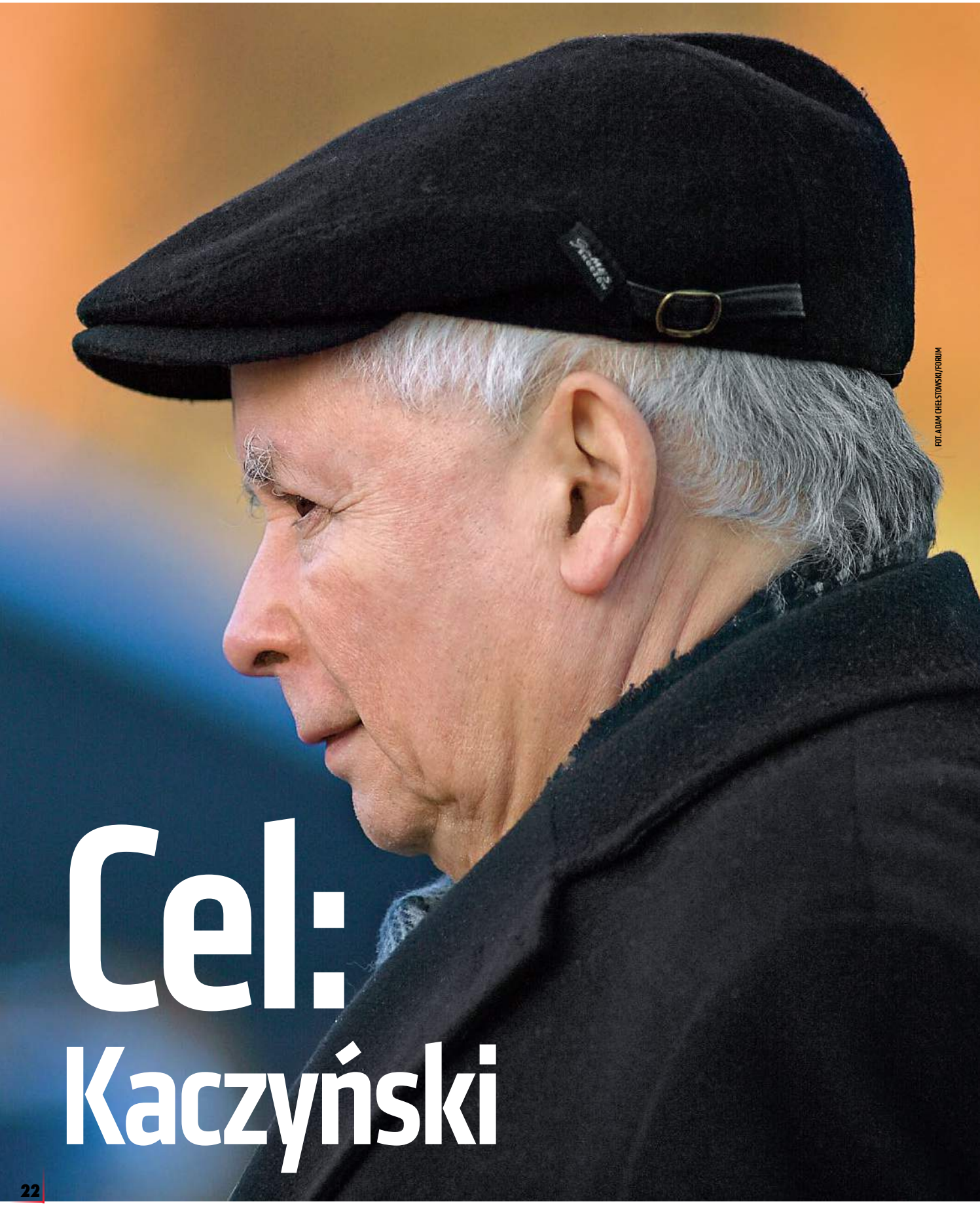

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Cel: Kaczyński

eprasa.pl 50a923b935

Piotr Gociek

Atakowanie pomniejszych polityków prawicy nie przyniosło efektu. Rzekoma „afera spółki Srebrna" ma więc zniszczyć serce i mózg rządów PiS – Jarosława Kaczyńskiego

Wzmożenie antypisowskie przelewa się przez media. Od rojeń Roberta Biedronia o nacjonalizacji majątku PiS tak „jak znacjonalizowano majątek PZPR" i jego zapowiedzi powołania po odsunięciu PiS od władzy „Komisji Prawdy i Pojednania na wzór tej, która powstała w RPA po zniesieniu apartheidu" po rysunkowe żarty „Gazety Wyborczej" pokazujące Jarosława Kaczyńskiego w więzieniu za kilka lat. „Powoli wychodzi na jaw prawda o PiS, czyli o firmie Prezes i Spółka. Wyborcy, otwórzcie oczy!" – wzywa europoseł PO Dariusz Rosati (przez ćwierć wieku członek PZPR, a potem członek rady nadzorczej FOZZ). Sławomir Neumann, poseł PO, zapowiada w Polsat News, że celem opozycji jest nie tylko wygranie wyborów, lecz także uzyskanie większości konstytucyjnej i zmiana konstytucji tak, by na przyszłość „zabezpieczyć Polskę przed innymi Kaczyńskimi".

Zapowiedzi Tomasza Lisa, że oto nadchodzi koniec, że za sprawą „Wyborczej" i jej publikacji nastaje „jeden z najważniejszych dni w osiemnastoletniej historii PiS. A z całą pewnością najprawdziwszy". Niemniej buńczuczne zapowiedzi Jarosława Kurskiego („Niestety, nie zdążyliśmy podnieść nakładu jutrzejszego wydania"), który chyba był przekonany, że jego redakcja ma w rękach dynamit na miarę prawdy o zabójstwie Johna F. Kennedy'ego albo dowodów na istnienie obcych w Strefie 51. I wybijane przez front obrony III RP na paskach informacyjnych, w radiowych headach, w tytułach prasowych jedno słowo. „Kaczyński". Albo „#tasmyKaczynskiego" – bo taki hashtag niemal każdego dnia znajdziemy na froncie „Wyborczej", nawet jeśli w środku nic o nowych taśmach nie ma. Słowo „front" ma tu akurat dwa znaczenia, na Czerskiej prawdziwe frontowe wzmożenie.

SEDNO BEZSILNOŚCI

Cała ta ekscytacja, to przebieranie nogami, histeria, są zrozumiałe nie dlatego, że „Wyborcza" wpadła na trop jakiejś prawdziwej afery, ale dlatego, że w centrum operacji jest Jarosław Kaczyński. Opozycja i wspierające ją media zrozumiały chyba wreszcie, że strzelanie po obrzeżach tarczy nie jest skuteczne, że aby zabolało (nieważne, czy zarzuty prawdziwe, czy nie), żeby narzucić tematy programom publicystycznym i dyskusjom taksówkarzy, walić trzeba w sam środek. A w centrum władzy PiS jest Jarosław Kaczyński.

Owszem, ileż było kampanii rozpętywanych przeciw innym postaciom obozu zmiany przez te cztery lata. Jak nie przeciw prezydentowi Andrzejowi Dudzie, to przeciw Antoniemu Macierewiczowi, jak nie przeciw Zbigniewowi Ziobrze, to przeciw Beacie Szydło, nie wspominając już „PiS-owskich" kandydatów do Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego albo groteskowej wojny marszałka Kuchcińskiego z dziennikarzami i wywołanej tymi działaniami wojny „Super Expressu" z Kuchcińskim.

Wszystkie te kampanie spełzały na niczym. Obiekty ataków ponosiły straty (Szydło nie jest już premierem, a Macierewicz ministrem) albo wychodziły z kampanii bez szwanku („taśma Morawieckiego" okazała się kapiszonem). Notowania Zjednoczonej Prawicy pozostawały na bezpiecznym, wysokim poziomie. Oceny rządu, mimo wymiany szefa gabinetu i dużej części ministrów, nie pogarszały się, a prezydent Duda z burzy o reformę wymiaru sprawiedliwości wyszedł wręcz wzmocniony.

Od czasu do czasu „Newsweek" próbował rozpaczliwym fotomontażem okładkowym przypomnieć, że twarz Dudy to tak naprawdę twarz Kaczyńskiego, a politycy PO czy Nowoczesnej domagali się, by prezes PiS został premierem, skoro i tak o wszystkim decyduje. Jarosław Kaczyński wychodził jednak z tych wszystkich kampanii bezpieczny, kierując obozem Zjednoczonej Prawicy jako „szeregowy poseł". Zarzuty, że unika w ten sposób odpowiedzialności za swoje działania, były także podstawą apeli o postawienie w przyszłości Kaczyńskiego przed Trybunałem Stanu. Tyleż absurdalnych, że przecież TS ma służyć sądzeniu najważniejszych urzędników państwowych, a stanowisko szefa partii politycznej, choćby i największej, pozostaje poza jego jurysdykcją. Oto sedno bezsilności opozycji: Kaczyński za wszystko powinien odpowiadać, wszystko firmuje swą władzą i autorytetem, ale się nie zużywa, bo nie ma go na pierwszej linii.

Różne były fazy „zwalczania kaczyzmu". W czasach pierwszego rządu PiS (2005–2007) ostrzał był wielokierunkowy. Andrzej Lepper i Roman Giertych (naonczas wróg numer jeden „Wyborczej") nadawali się na ofiary medialnych linczów idealnie. Prezydentem, przypomnijmy, był Lech Kaczyński, który ściągał na sobie dużą część wrogości establishmentu samozwańczych właścicieli III RP. Po przegranych przez PiS wyborach to właśnie on stał się głównym celem. PiS, którego notowania spadały już w okolice 20 proc., miał być zneutralizowany na dobre i zmierzać drogą SLD do nieuchronnego upadku. Jedyną przeszkodą w marszu Donalda Tuska po władzę absolutną w Polsce był „ichni" prezydent (wybory samorządowe i parlamentarne były wszak już wygrane). Kilka miesięcy po tragedii smoleńskiej pijany tłum skandujący na Krakowskim Przedmieściu „jeszcze jeden!" (bo zdaniem krzyczących zginęło zbyt mało Kaczyńskich) zwiastował początek owej fali hejtu wobec prezesa PiS. Hejt trwał, ale Kaczyński okazał się silniejszy i wyjątkowo odporny na ciosy.

Operacja „taśmy Kaczyńskiego" ma zakończyć tę teflonowość (czy jak chce opozycja – „bezkarność") prezesa PiS. Stąd uporczywe powtarzanie zarzutów, stąd nieustanne podgrzewanie każdego tekstu na ten temat w TVN24: wszystko w myśl zasady – kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą. Stąd nieustanny atak pod hasłem rzuconym przez Jarosława Kurskiego, wicenaczelnego „Wyborczej": „taśmy będą drążyć tę władzę jak robak". Janczarzy obozu dawnych właścicieli III RP poczuli krew, to ma być decydująca rozgrywka.

KTO ZARZUCAŁ SIEĆ?

Nie wiemy jeszcze, jak wyglądały kulisy tej operacji. Pytań jest wiele. Kto tak naprawdę wpadł na pomysł, by spróbować nagrać prezesa PiS? Miała to być

eprasa.pl 50a923b935

polisa ubezpieczeniowa austriackiego biznesmena, a może element możliwego cichego szantażu? Jeśli ktoś podpowiedział Geraldowi Birgfellnerowi taki ruch – to właściwie kto? Kto podsunął mu myśl, by z tematem udać się akurat do Romana Giertycha, znanego z obsesyjnej niechęci do Jarosława Kaczyńskiego? Kilka miesięcy wcześniej wypłynęły „taśmy Czarneckiego". Czy wrocławski biznesmen zastawił pułapkę tylko na byłego już szefa Komisji Nadzoru Finansowego Marka Chrzanowskiego, czy też z urządzeniami rejestrującymi polował na jakąś grubszą rybę, kogoś z najbliższego otoczenia prezesa PiS (nazwisko Adama Glapińskiego nasuwa się samo).

Nie znamy prawdziwych zleceniodawców, możemy jednak bez trudu zidentyfikować ich cel. Oto w krótkich odstępach czasu zachwiano zaufaniem Jarosława Kaczyńskiego do wspomnianego Glapińskiego, dziś prezesa NBP, ale w dawnych czasach bardzo bliskiego (i lubianego, co wynika z książki „Porozumienie przeciw monowładzy") współpracownika prezesa PiS. Potem zburzono mit jego nietykalności – nagrano go w jego własnym gabinecie. Rzucono cień podejrzenia na rodzinę. Wreszcie przyszedł cios z ujawnieniem przeszłości Kazimierza Kujdy, ważnej figury w dziejach spółki Srebrna.

Informacja o jego współpracy z SB i sposób rozgrywania jej w mediach przez przeciwników PiS to majstersztyk. Jak wyliczał przytomnie Sławomir Cenckiewicz, teczkę Kujdy w zbiorze zastrzeżonym IPN ukryła Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego za czasów rządów SLD. W 2010 r., za czasów PO, czas zastrzeżenia został wydłużony. Ustawową lustrację osób piastujących stanowisko prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej uniemożliwiła decyzja Trybunału Konstytucyjnego w roku 2007, kiedy trybunałem kierował Jerzy Stępień. A mimo to „winę za aferę Kujdy" ponosić ma Jarosław Kaczyński. Tymczasem to przecież dopiero rząd PiS zdecydował o likwidacji zbioru zastrzeżonego.

W tygodniach poprzedzających odpalenie przez „Wyborczą" „taśm Kaczyńskiego" po Warszawie krążyły plotki, że wkrótce pojawi się nagranie niewygodne dla kogoś z najbliższego otoczenia prezesa PiS. Niektórzy sugerowali, że może chodzić o premiera Mateusza Morawieckiego i nagranie, które miałby ujawnić Onet (który przecież opublikował fragment „taśm z Sowy" z udziałem premiera, wtedy jeszcze tylko bankowca). Fakt, że chodzi o Kujdę, pokazuje, jak szeroko zarzucono sieci, przygotowując operację „taśmy Kaczyńskiego", a spinowanie wersji, w której ujawnienie przeszłości Kujdy to zemsta Macierewicza za zatrzymanie Bartłomieja M., jest elementem działań obliczonych na wywołanie jak największego chaosu i niepewności w centrum decyzyjnym PiS.

To ostatnie po części się udało, choć nie tylko z powodu taśm. PiS miał rozpisany na początek roku 2019 scenariusz działań rozpoczynających podwójny maraton wyborczy. Do końca stycznia miały pojawić się nowe propozycje programowe, a mówiąc wprost – nowe obietnice wyborcze. Te plany zostały pokrzyżowane przez zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Poprawiony scenariusz przenosił aktywność Zjednoczonej Prawicy i rządu na kolejny miesiąc. 11 lutego premier Mateusz Morawiecki miał wystąpić na specjalnej konferencji, a po niej przez dwa tygodnie kolejne resorty miały podsumowywać swoje osiągnięcia i wyznaczać cele na przyszłość. Wielką kumulacją miała zaś być konwencja programowa. Miało się to więc odbyć według sekwencji: „Najpierw chwalimy się spełnionymi obietnicami, potem, na finisz, przedstawiamy nowe".

Sugerowanie, że ujawnienie przeszłości Kujdy to zemsta Macierewicza, jest obliczone na wywołanie jak największego chaosu w PiS

Ten plan został porzucony wskutek publikacji serialu „taśmy Kaczyńskiego". Jego kolejna, poprawiona wersja to już przede wszystkim konwencja programowa 23 lutego. Nieoficjalne informacje o tym terminie podawane przez media potwierdziło mi w ostatnich dniach kilku wpływowych polityków PiS.

Ci sami politycy opowiadali, że choć efekt rzekomej afery „K-Towers" nie wpłynął istotnie na sondaże, to z wewnętrznych badań zleconych przez partię wynika, że cała sprawa mobilizuje zwolenników opozycji. Co do wpływu „taśm Kaczyńskiego" na wizerunek prezesa PiS zgodni są i politycy Zjednoczonej Prawicy, i politolodzy, z którymi rozmawiałem – by to ocenić, trzeba poczekać jeszcze kilka tygodni.

CIEŃ SZANSY DLA OPOZYCJI

Jedno jest pewne: nie możemy oczekiwać szybkiego końca tego serialu, bo po raz pierwszy przeciwnikom PiS udało się uzyskać materiał, w którym prezes PiS występuje osobiście i który – cóż z tego, że jedynie przez naginanie faktów i przeinaczenia – może być użyty do nieustannej kanonady. Wrogowie Jarosława Kaczyńskiego wiedzą, że jest kluczowym elementem obozu Zjednoczonej Prawicy i to właśnie jego trzeba atakować. Teraz mają na to cień szansy. Opowieści o łamaniu konstytucji czy zawłaszczeniu Trybunału Konstytucyjnego albo Sądu Najwyższego ekscytowały jedynie najbardziej zapalczywych wrogów PiS, trafiały do tych i tak już przekonanych. Lansowanie konstrukcji „Kaczyński – podejrzane pieniądze – oszustwo" obliczone jest na dotarcie do niezdecydowanych, mniej interesujących się polityką, ale zawsze chętnie nadstawiających ucha na hasło „politycy znów kradną".

Dzieje kampanii parlamentarnej w 2007 r. udowadniają, że kłamstwami i półprawdami można mobilizować miliony wyborców. Sytuacja PiS jest o tyle lepsza, że dziś może się pochwalić o wiele większymi osiągnięciami swoich rządów i spełnionymi obietnicami wyborczymi. Jest też o tyle gorsza, że tym razem uderzenie zostało wyprowadzone celnie w samo serce rządów Zjednoczonej Prawicy.

Przekierowanie pełnej mocy na rozdmuchiwanie rzekomej afery pokazuje też paradoksalnie, jak wątłe były próby wykreowania dotychczasowych „niezbitych dowodów" na zbrodniczość rządów PiS. Dyskurs między wrogami naprawy państwa a tymi, którzy próbują (nieraz po omacku i z błędami) reformować III RP, wrócił do zasad wykreowanych przez Jerzego Urbana na początku lat 90. w tygodniku „NIE". Czyli do panświnizmu. Główny zarzut wobec wroga nie dotyczy zbrodni przeciw wolności, demokracji i konstytucji, bo takich po prostu nie da się znaleźć. Co pozostaje? Budowanie w wyborcach przeświadczenia, że wszyscy kradną tak samo, więc skoro tak, to może lepiej wybrać tych, których przynajmniej lubią w Berlinie i Paryżu, i których zaprzyjaźnione media pokażą jako ładniejszych, bardziej eleganckich i europejskich. Temu właśnie służyć ma rzekoma afera „taśm Kaczyńskiego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl 50a923b935

Gdzie jest prezydent?

Łukasz Warzecha

Po okresie „buntu" Andrzej Duda od wielu miesięcy jest na politycznym horyzoncie niemal nieobecny jako samodzielny gracz. A jeśli już się pojawia, to trochę na zasadzie Bronisława Geremka na schodach (w starym dowcipie): nie wiadomo, czy wchodzi, czy schodzi

Ostatnim momentem, gdy prezydent zrealizował własny cel polityczny, było weto wobec zaprojektowanej przez PiS nowelizacji ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego w sierpniu ubiegłego roku. Było to zresztą w ogóle ostatnie jak na razie weto głowy państwa. Wielu komentatorów odczytywało to wówczas nie jako decyzję czysto merytoryczną – o którą apelowała rzadka koalicja mniejszych ugrupowań i środowisk z różnych stron w ramach inicjatywy Klubu Jagiellońskiego – ale jako rodzaj odwetu za nieuchwalony kilka tygodni wcześniej przez Senat wniosek prezydenta o referendum w sprawie konstytucji. Projekt, przy okazji którego głowa państwa poniosła całkowitą porażkę.

Od tego czasu Andrzej Duda przyjął miękki kurs i można odnieść wrażenie, że postanowił się nikomu nie narażać. Jednak rzeczywistość stawia przed nim – i będzie stawiać – wyzwania, z którymi nie będzie można sobie poradzić wypracowaną biernością. Jeśli oczywiście to faktycznie bierność wypracowana, czyli świadoma strategia. Postawa prezydenta może też bowiem być świadectwem autentycznej politycznej niemocy oraz mieszanką jednego i drugiego.

ABDYKACJA

Jeśli spojrzeć na blisko już cztery lata prezydentury Andrzeja Dudy, to widać głównie zawiedzione nadzieje różnych środowisk.

Po pierwsze, Andrzej Duda zawiódł nadzieje tych, którzy sądzili, że stworzy prężny, konserwatywny, propaństwowy ośrodek, który będzie stawiał tamę rewolucyjnym zapędom PiS i, pozostając w ideowym nurcie szeroko pojętej prawicy, będzie równoważył zbyt radykalne zapędy części rządzącej koalicji. Owszem, prezydent odegrał rolę pożytecznego hamulcowego, gdy w lipcu 2017 r. zawetował ustawy sądowe. Podobnie było – choć znaczenie było mniejsze – gdy powstrzymał wspomnianą nowelizację ordynacji wyborczej.

Tyle że po wecie wobec ustaw sądowych prezydent zrezygnował z roli moderatora tonującego napięcie wokół sądownictwa. Trudno byłoby mu zresztą tę funkcję nadal pełnić, skoro w grze były już ustawy w wersji po uzgodnieniach z pałacem prezydenckim. Sędziowie, stojący na szpicy oporu wobec zmian w wymiarze sprawiedliwości, doczekali się częściowo skutecznej interwencji UE, wskutek której rząd musiał się wycofać z jednego z głównych punktów, czyli odesłania na emeryturę nie tylko pierwszej prezes Sądu Najwyższego, lecz także pozostałych sędziów SN. Zakwestionowane zostały ustawy w kształcie zaakceptowanym przez prezydenta, który w kilku sytuacjach pozwolił sobie na bardzo ostre ataki na środowisko sędziowskie, sprawiające wrażenie emocjonalnych. W grudniu ubiegłego roku mówił między innymi, że jest ono „zepsute". Tymczasem, gdy trochę wcześniej

eprasa.pl 50a923b935

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

trwała najostrzejsza faza konfliktu między polskim rządem a Brukselą o ustawę o SN, Andrzej Duda był praktycznie niewidoczny. Można powiedzieć, że jego nieobecność rzucała się w oczy. Prezydent nie zajął też stanowiska w sprawie ogromnych wątpliwości co do nominacji do niedawna czynnych prokuratorów do Izby Dyscyplinarnej SN. A przecież sam je podpisywał.

Poczucie zawodu pierwszej grupy powoduje również, że prezydent nie stworzył wokół siebie środowiska eksperckiego i opiniotwórczego, które mogłoby go stale wspierać i stanowić oparcie w przypadku sporów z partią rządzącą. Owszem, są w otoczeniu Andrzeja Dudy wolne elektrony, takie jak prof. Andrzej Zybertowicz, ale to za mało. Funkcjonuje, przynajmniej formalnie, Prezydencka Rada Rozwoju, ale jej członkowie nieoficjalnie mówią, że to już właściwie fikcja. Prezydent ma wystarczającą infrastrukturę – pieniądze, miejsce, czas – żeby zinstytucjonalizować współpracę z ośrodkami takimi jak Klub Jagielloński, Instytut Staszica, Warsaw Enterprise Institute i inne, ale z tej możliwości nie skorzystał.

WIĘCEJ ZAWIEDZIONYCH

Druga grupa zawiedzionych to przeciwieństwo pierwszej: Andrzej Duda zawiódł tych, którzy oczekiwali, że jako prezydent ze środowiska PiS będzie podbijał każdy, nawet najdalej idący pomysł rządu. Po prezydenckich wetach odezwały się po stronie jastrzębi z otoczenia partii rządzącej głosy, że „Duda zdradził" (prezydent przestał wówczas dla niektórych być „panem prezydentem", a stał się właśnie „Dudą"). Te głosy zamieniły się w gromkie pohukiwania, gdy prezydent zawetował ustawę degradacyjną, tłumacząc: „To rozwiązanie, które zostało przyjęte w ustawie, które powoduje, że wszyscy członkowie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, z tymi podpułkownikami i pułkownikami, także gen. Hermaszewskim włącznie, nie mają możliwości złożenia żadnych wyjaśnień, choć większość z nich żyje do dzisiaj, i nie mają możliwości następnie złożenia żadnego środka odwoławczego, po obwieszczeniu przez Prezydenta listy członków WRON tracą swoje stopnie jest czymś, z czym jako Prezydent zgodzić się nie mogę". Niektórzy zwolennicy twardej linii popadli w daleko idące emocjonalne rozedrganie, tak jak pieśniarz Paweł Piekarczyk, który w Internecie transmitował moment, gdy zwracał do biura podawczego Kancelarii Prezydenta otrzymany od Andrzeja Dudy Krzyż Kawalerski Polonia Restituta.

Trudno tu nie dostrzec daleko idącej niekonsekwencji prezydenta. Ustawa degradacyjna dotyczyła relatywnie niewielkiej liczby ludzi. Znacznie mniejszej niż ustawa dezubekizacyjna, uchwalona przez PiS, co do której Andrzej Duda nie miał żadnych wątpliwości. Tymczasem to ona jest przykładem prawa niesprawiedliwego przez swoją blankietowość. Po pierwsze, traktuje tak samo każdego, kto otarł się choćby o organy bezpieczeństwa PRL,

eprasa.pl 50a923b935

obojętnie, w jakiej roli. Po drugie – co ważniejsze i co powinno było budzić wątpliwości głowy państwa – wypracowaną już w III RP część emerytury stracili ci byli pracownicy aparatu bezpieczeństwa PRL, którzy pracowali potem dla niepodległej Rzeczypospolitej. Prezydent nie sporządził jednak nawet wniosku o zbadanie ustawy przez TK.

Trzecia grupa zawiedzionych to ci, którzy spodziewali się, że prezydent może stanąć na straży wolności gospodarczej i pieniędzy obywateli. Andrzej Duda nie zawetował żadnej z socjalnych ustaw PiS. Nie zawetował nawet tych, które nie nakładają obciążeń wprost, jak ustawa o daninie solidarnościowej, a także tych, które czynią to pośrednio, tak jak Ustawa o elektromobilności, wprowadzająca opłatę emisyjną doliczaną do ceny paliwa. Bez mrugnięcia okiem podpisał ustawę o pracowniczych planach kapitałowych, choć wprowadza ona de facto kolejną przymusową daninę, z której ewentualnie można przy wielu formalnościach zrezygnować, ale zabieg ten trzeba co kilka lat powtarzać.

W przypadku ustawy o rekompensacie dla mediów publicznych nie dałoby się już schodzić z linii strzału, a każda decyzja oznaczałaby kolejne rozczarowanie dla tej lub innej strony

W przypadku ewidentnego skoku na kasę, jakim była ustawa likwidująca limit 30-krotności wynagrodzenia przy składkach na ZUS, prezydent, owszem, zareagował, ale bardzo kunktatorsko. Zamiast otwartego sprzeciwu, czyli weta, skierował ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, motywując to jedynie względami proceduralnymi. Skutek dla pracodawców jest taki, że nadal tkwią w niepewności co do kosztów prowadzenia biznesu. Po decyzji TK, która wstrzymała wejście ustawy w życie, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby uchwalić ją ponownie, tym razem zachowując standardy zakwestionowane we wniosku prezydenta. Byłoby inaczej, gdyby Andrzej Duda sięgnął po weto, wskazując wprost, że nie godzi się na podwyższanie kosztów pracy.

Nie jest to wszystko może szczególnie zaskakujące, gdy wziąć pod uwagę, że szczególnymi względami prezydenta cieszą się Solidarność i jej przewodniczący, a nie organizacje przedsiębiorców. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców w drugiej połowie 2018 r. przez parę tygodni walczył o to, żeby prezydent powołał jego przedstawicieli w skład Rady Dialogu Społecznego, co próbowała storpedować właśnie Solidarność. Mimo że jeszcze w marcu 2018 r. ZPP został uznany przez odpowiedni sąd za reprezentatywną organizację przedsiębiorców, a to powinno oznaczać automatyczne powołanie do RDS. Andrzej Duda wykonywał w tej sprawie uniki aż do początku grudnia.

Czwarta zawiedziona grupa to wyborcy Andrzeja Dudy, którzy liczyli, że spełni on swoją jednoznaczną obietnicę zmiany sytuacji frankowych kredytobiorców. W trakcie kampanii padła jasna deklaracja: kredyty denominowane w szwajcarskiej walucie miały zostać przewalutowane na złotówki po kursie z dnia zaciągnięcia kredytu. Dzisiaj w Sejmie tkwi prezydencki projekt ustawy, który w najmniejszej mierze nie rozwiązuje problemu, lecz jedynie tworzy pozory. W istocie to projekt socjalny, bo skupiony na pomocy tym, którzy nie radzą sobie ze spłatą rat, a nie to jest problemem frankowych kredytobiorców.

NIEKONSEKWENCJA

Tymczasem wkrótce przed Andrzejem Dudą rzeczywistość może postawić kolejne wyzwanie. W Sejmie – na razie po pierwszym czytaniu, na etapie Komisji Kultury i Środków Przekazu – jest projekt ustawy o zmianie ustawy o opłatach abonamentowych, w którego wyniku media publiczne mogą otrzymać z budżetu państwa rekompensatę za „utracone opłaty abonamentowe z tytułu zwolnień" z abonamentu. W sumie ponad 1,2 mld zł. Po śmierci Pawła Adamowicza TVP była powszechnie krytykowana za materiały prezentowane przede wszystkim w „Wiadomościach". Krytyka była tak głośna, że prezydent, który ma w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji dwoje przedstawicieli, zaprosił członków tego gremium do pałacu prezydenckiego na rozmowę o sytuacji w mediach publicznych. Wydany potem komunikat był tak ogólnikowy, jak tylko się dało. Nie miało to oczywiście żadnego wpływu na działanie telewizji publicznej. Andrzej Duda mógł się jednak usprawiedliwiać, że zrobił, co mógł – na media nie ma przecież faktycznie żadnego bezpośredniego przełożenia. Był to jednak swego rodzaju unik – przecież za nominacje szefów mediów publicznych nie odpowiada już KRRiT, ale Rada Mediów Narodowych i to jej członków powinien był prezydent zaprosić na rozmowę, gdyby naprawdę chciał coś zdziałać.

Jednak w przypadku ustawy o rekompensacie takie przełożenie się pojawi – o ile oczywiście PiS zdecyduje się ją uchwalić. Partia Kaczyńskiego może chcieć tego uniknąć, wiedząc, że oznaczałoby to weto prezydenta. W razie złożenia podpisu pod ustawą krytycy mediów publicznych mogliby wiarygodnie oskarżać Andrzeja Dudę o to, że godzi się na wspieranie z publicznych pieniędzy rządowej propagandy. Możliwe jednak, że PiS będzie kalkulował, iż Duda na weto się nie poważy, a ewentualna krytyka to już jego problem. W razie uchwalenia ustawy prezydent musiałby zdecydować w sprawie budzącej w ostatnim czasie ogromne emocje. Tutaj nie dałoby się już schodzić z linii strzału, a każda decyzja oznaczałaby kolejne rozczarowanie dla tej lub innej strony.

Niedawno Andrzej Duda udzielił wywiadu Wirtualnej Polsce. Rozmowa, mimo wnikliwych pytań Marcina Makowskiego, pełna była obłości i uników. Gdy padło pytanie o materiały w „Wiadomościach", Andrzej Duda odpowiadał, że ze wszystkimi mediami jest problem. Gdy zapytano o wypowiedź Beaty Mazurek, która winę za złą atmosferę zrzuciła całkowicie na opozycję, pokazując PiS jako ugrupowanie bez skazy, prezydent odparł, że wszyscy powinni się zreflektować. I tak dalej, i tak dalej. Nie chodzi o to, że prezydent nie miał racji – miał. Oczywiście, że większość mediów ma poważny problem z językiem, rzetelnością, miarkowaniem przekazu. Podobnie jak wszystkie strony politycznego sporu. Jednak okrągłe odpowiedzi na konkretne pytania można odebrać jako obawę przed wyrażeniem jednoznacznie krytycznej – choćby łagodnie – opinii o własnym obozie politycznym. A tego właśnie wiele osób od prezydenta, nie tylko tego konkretnego, oczekuje. Nie tego, żeby był politycznym wojownikiem, ale tego, że będzie umiał ustawić się częściowo ponad i poza swoim macierzystym środowiskiem politycznym. Andrzej Duda pokazał to kilka razy, ale jest w tym bardzo niekonsekwentny.

Niedawno gościem Marcina Zaborskiego w RMF FM był rzecznik prezydenta Błażej Spychalski. Pytany, gdzie jest prezydent, którego nie było od paru dni publicznie widać, z rozbrajającą szczerością odparł, że nie wie. Ta anegdota może służyć za symboliczne zakończenie tej opowieści.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Pracownicze Plany Kapitałowe

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna składka do **2%**

+

Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie dodatkowo do **2,5%**

+

Państwo

250 zł na dobry początek + **240 zł** rocznie

Pracownicze Plany Kapitałowe

W sumie się opłaca

- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

www.mojePPK.pl

PFR Polski Fundusz Rozwoju

Ministerstwo Finansów

KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

eprasa.pl 50a923b935

Od lewej: premier Mateusz Morawiecki, premier Izraela Beniamin Netanjahu i sekretarz stanu USA Mike Pompeo

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Jaka brzydka katastrofa

Rafał A. Ziemkiewicz

Organizacja irańskiego szczytu nie była Polsce do niczego potrzebna. Jeśli liczyliśmy w zamian choćby na poklepanie po plecach, to niesłusznie

Znałem kiedyś – w tym okresie swego życia, z którego generalnie nie jestem dumny – pewną damę. Była to znajomość intensywna, ale krótka. Gdy właśnie wchodziła w najintensywniejszą fazę, zrobiła ona coś, co mnie autentycznie wzruszyło i zapadło w pamięć: spojrzała mi głęboko, przejmująco w oczy i powiedziała: „Ale wiesz, że jeśli jutro do mnie nie zadzwonisz, to będzie mi baaardzo przykro?".

Z jakichś powodów rzeczywiście nie zadzwoniłem, więc nie znam obecnych losów owej obdarzonej niezwykłą zdolnością przewidywania niewiasty. Ilekroć jednak zawód zmusza mnie do pochylenia się nad polską polityką zagraniczną, mam nieodparte wrażenie, że została jakąś ważną personą w MSZ i to ona właśnie wyznaczyła podstawowe zasady, których konsekwentnie trzymamy się w stosunkach z zagranicznymi partnerami. Właściwie jedną zasadę, do której się nasza dyplomacja sprowadza: bądźmy mili i świadczmy przysługi, nie stawiając żadnych warunków ani nawet nie artykułując oczekiwań, a nasi partnerzy na pewno poczują się zobowiązani, by się nam odwdzięczyć. Przecież wiedzą, że gdyby tego nie zrobili, to będzie nam baaardzo przykro.

Udzielenie w Warszawie gościny dla amerykańskiej „konferencji międzynarodowej", na której „dyskutowano o warunkach pokoju na Bliskim Wschodzie", pokazało, że tej zasady trzymamy się konsekwentnie – ale, niestety, wdzięczności z jakichś niezrozumiałych dla naszych politycznych elit powodów nijak się nie możemy doczekać.

@

Wizerunkową katastrofą dla Polski było już to, że o tym, iż organizujemy konferencję pokojową w sprawie Bliskiego Wschodu, świat dowiedział się z wywiadu sekretarza stanu USA, Mike'a Pompeo. Nasze MSZ usiłowało robić dobrą minę do złej gry, zapewniając, że to z nami uzgodniono, ale gwałtowna reakcja Iranu dowiodła, że z polskiej strony nie było wcześniej żadnych zapowiedzi ani sondażowych rozmów.

Polsce oczywiście ten szczyt, najdelikatniej mówiąc, nie był potrzebny do niczego. W przeszłości niejednokrotnie zyskiwaliśmy na szczególnym statusie państwa, które mimo deklarowanej przyjaźni z USA nie było uważane w krajach islamskich za wrogie – działały tu powiązania jeszcze z czasów PRL, kiedy to wielu wciąż czynnych arabskich dyplomatów, wojskowych i funkcjonariuszy szkoliło się w Polsce. Wyświadczając uprzejmość Ameryce, która z różnych względów takiej konferencji potrzebowała i z różnych względów najwygodniej jej było urządzić ją właśnie w Warszawie, kapitał ten straciliśmy – o zerwaniu kontaktów gospodarczych z państwem mającym ogromne złoża interesujących nas surowców i wyrastającym na największą gospodarczą potęgę regionu, już nie wspominając.

Jeśli liczyliśmy w zamian choćby na poklepanie po plecach, to niesłusznie. Mike Pompeo okazał się absolwentem tej szkoły dyplomacji, która płaszczących się każe tym mocniej dodeptywać do ziemi. Na dzień dobry pouczył nas publicznie, że mamy przyśpieszyć pracę nad restytucją mienia „utraconego wskutek Holocaustu". Niestety, stojący obok minister Czaputowicz – ani w ogóle nikt z obecnej władzy – nie zdobył się na przypomnienie

eprasa.pl 50a923b935

sojusznikowi, że na mocy obowiązującej umowy indeminizacyjnej z 1960 r. wszelkie pretensje swoich obywateli do takiego mienia zobowiązany jest zaspokoić rząd USA. Przy okazji Pompeo zabronił nam też, pod groźbą wycofania z Polski amerykańskich żołnierzy, kupować technologie w Chinach. A potem wspólnie z premierem Izraela ośmieszył zapewnienia polskiego rządu, że konferencja „nie jest przeciwko Iranowi", jasno deklarując, iż wprost przeciwnie.

W świetle tego postawienie za wzór „polskiego ducha" zmarłego niedawno w Nowym Jorku stalinowskiego zbrodniarza czy przywołanie przez wiceprezydenta Pence'a na spotkaniu z prezydentem Dudą słów „wybitnego polskiego bohatera" Wałęsy, od lat przy każdej okazji opluwającego obecną władzę i prezydenta Dudę osobiście, można uznać za drobne nietakty. I tak zresztą przykryte bezprecedensową wypowiedzią w śledzonej przez miliony widzów relacji dla telewizji NBC Andrei Mitchell – jednej z największych i najbardziej wpływowych gwiazd amerykańskiego dziennikarstwa, prywatnie żony Alana Greenspana – o warszawskim getcie jako miejscu, gdzie żydowscy bohaterowie „przez miesiąc walczyli z polskim i nazistowskim reżimem". Co doskonale zrymowało się z wyznaczonym przez Pompeo jako naczelny temat wizyty w Polsce żądaniem od nas odszkodowania za Holokaust. I jak zwykle spotkało się z reakcją słabą, spóźnioną i w sumie sprowadzającą się do sugestii, że bardzo nam przykro być tak potraktowanymi przez przyjaciół, dla których tak się staramy.

@

Ktoś powie – dyplomacja polega na tym, że pewne sprawy załatwia się poufnie. Nie bądźmy skłonni do ferowania ocen, skoro nie wiemy wszystkiego, ufajmy, że gdzieś w kuluarach nasi rządzący upomnieli się należycie o polskie interesy.

Niestety, nie potrafię w sobie wykrzesać takiej ufności. Zanadto naciąłem się, wierząc w to 15 lat temu, kiedy – sprawa wydaje się nieco podobna do sytuacji obecnej – na celowniku USA znalazł się reżim Saddama Husajna. Nie była to sprawa NATO, więc nie mieliśmy żadnych zobowiązań, by w rozprawie z Irakiem uczestniczyć, ale zrobiliśmy to ochoczo. A o 10 lat późniejsze udzielenie amerykańskim służbom zgody na wykorzystywanie bazy w Kiejkutach jako eksterytorialnego i wyjętego spod prawa międzynarodowego więzienia dla islamistów ciągnie się za nami w nieprzyjemny sposób do dziś. W obu wypadkach okazało się, że nie tylko nic za to nie dostaliśmy (poza, podobno, kartonem po butach wypełnionym dolarami, który trafić miał do szefów służb specjalnych), ale nawet nie sformułowaliśmy żadnych oczekiwań, w przekonaniu, że potężny sojusznik sam się domyśli, czego nam potrzeba, i zadba, by przysługa nie pozostała nieodwzajemniona.

Wspominam o tym, bo nie kto inny, tylko szef MSZ z czasów drugiej wojny w Zatoce Perskiej, Włodzimierz Cimoszewicz, jako pierwszy skrytykował pryncypialnie rząd PiS za to, że pozwalając Amerykanom zorganizować kontrowersyjną konferencję akurat w Warszawie, naraża na szwank nasze interesy. W ślad za nim do krytyki pisowskiej uległości wobec USA ruszyły te same środowiska, tytuły i nawet osoby, które z nabożeństwem powoływały się na diagnozę Władysława Bartoszewskiego, że Polska jest „brzydką panną bez posagu", więc musi „przynajmniej być miła" (powołuję się na autorytet, jeśli ktoś może uznał początek tego tekstu za nazbyt frywolny). Te same środowiska, tytuły i osoby, które, kiedy Radosław Sikorski określał firmowaną przez siebie politykę wobec USA murzyńskością i wulgarnie porównywał ją ze świadczeniem seksu oralnego, oburzone były tylko faktem, że go wtedy bez jego wiedzy podsłuchano i nagrano. Jak zwykle mamy więc ze strony „totalnej opozycji" do czynienia z żenującą hipokryzją i hucpą.

Mike Pompeo okazał się absolwentem tej szkoły dyplomacji, która płaszczących się każe tym mocniej dodeptywać do ziemi

Co jednak samo w sobie nie oznacza, że jej oskarżenia są niesłuszne.

@

Niedwuznacznie sugerowanym zyskiem, który mamy z naszej lokajskiej postawy nadzieję zaczerpnąć, jest ściągnięcie nad Wisłę stałej bazy amerykańskiej, wymarzonego Fortu Trump. W sytuacji, gdy w Niemczech lewica domaga się wymówienia Amerykanom dalszego pobytu, trwającego od wojny, my staramy się pokazać, że chętnie przyjmiemy ich do siebie. Pani ambasador Mosbacher wyszła tym nadziejom naprzeciw, mówiąc mgliście o „możliwości zwiększenia" liczby stacjonujących w Polsce żołnierzy. Jeśli to wszystko, to znaczy, że nasza gotowość została przez Waszyngton odnotowana – i tyle. Pojawił się także inny, zawsze w podobnych sytuacjach wracający motyw: Iranem rządzi reżim, który łamie prawa człowieka. Z jakiegoś powodu bowiem, jeśli gdziekolwiek wskażą nam reżim, który łamie prawa człowieka, to Polska, na mocy rzadkiego u nas szerokiego consensusu od prawa do lewa, poczuwa się do tego, by iść z nim u boku amerykańskiego sojusznika na wojnę, tak jak z nieboszczykiem Husajnem.

Owszem, reżim irański bardzo brutalnie tłumi opozycyjne demonstracje – ale niewiele bardziej brutalnie niż od kilkunastu tygodni czyni to wzorowy Europejczyk Macron. Owszem, jest tam cenzura, ale u Niemców czy Brytyjczyków też – i to, jeśli chodzi o pilnowanie, by nikt nie podważył pryncypiów islamu, bodaj równie skrupulatna. Oczywiście to prawda, że Iran okrutnie odnosi się do przeciwników władzy i źle, z naszego punktu widzenia, traktuje kobiety – ale nie bardziej niż tradycyjny przyjaciel USA i Zachodu w regionie, Arabia Saudyjska, wsławiona niedawno brutalnym mordem na Dżamalu Chaszodżdżim.

Wymieniam tu akurat Niemcy, Francję i Wielką Brytanię (dwa pierwsze państwa przysłały na konferencję przedstawicieli najniższego możliwego szczebla), jako fundatorów sprytnego mechanizmu finansowego znanego jako INSTEX, który pozwoli im handlować z Iranem pomimo narzucanej przez USA zimnej wojny, której nadano w Warszawie pozór międzynarodowej legitymizacji. Bo przecież nikt, kto sprawy śledzi, nie ma wątpliwości, że po to właśnie USA i Izrael urządziły w Warszawie tę konferencję, i chyba tylko minister Czaputowicz wierzy (?), że miała ona służyć, jak to ujął, „horyzontalnemu" przedyskutowaniu problemów regionu.

Roman Dmowski pisał, że tak, jak daltonista nie widzi kolorów, tak Polacy mają jakąś wrodzoną niezdolność do rozumienia, a co za tym idzie uprawiania, polityki międzynarodowej. Tak, wiem, że cytowałem te słowa już wiele razy, ale w zachowaniu „brzydkiej (czy raczej: zakompleksionej) panny bez posagu" wciąż nic a nic się nie zmienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O IRAŃSKIM REŻIMIE PISZEMY NA STR. 76

eprasa.pl 50a923b935

Z Anną Zalewską, minister edukacji narodowej
rozmawia Łukasz Zboralski

Bez rodziców nie zmienimy szkoły

ŁUKASZ ZBORALSKI: Zacznijmy od najgorętszego tematu – podwyżek dla nauczycieli. Czy jest blisko do porozumienia?

ANNA ZALEWSKA: W negocjacjach ludzie spotykają się w pół drogi – i tak się stało. Jest 500 zł podwyżki w minimalnym wynagrodzeniu dla większości nauczycieli. Jednak my idziemy dalej, bo będą setki milionów złotych na wynagrodzenia za godziny do dyspozycji dyrektora. Od września tego roku za zajęcia dodatkowe w ramach tych godzin nauczyciele otrzymają pieniądze.

Również nauczyciel, który będzie miał ocenę wyróżniającą, będzie mógł liczyć na stały dodatek. Dla nauczyciela kontraktowego wynosić będzie on 200 zł, dla nauczyciela mianowanego – 400 zł, a dyplomowanego – 500 zł. Do tego dołożyliśmy tysiąc złotych dla stażystów „na start" w ciągu dwóch lat stażu. To będzie jednorazowa wypłata.

Zależy mi też na pokazaniu, że wychowawca musi mieć jakieś minimum, bo na nim ciąży najwięcej obowiązków i tzw. biurokracji. Musimy też uporządkować dodatek funkcyjny za wychowawstwo dla nauczycieli w przedszkolu. Około 60 proc. samorządów płaci, 40 proc. nie płaci. Są prowadzone sprawy sądowe i zapadają różne wyroki. Uznajmy, że wychowawca w przedszkolu po prostu powinien mieć taki dodatek.

To bardzo dobrze, że zaczynający nauczyciele dostaną dwa razy zastrzyk finansowy, ale to wciąż nie przyciągnie do szkół najlepszych pracowników.

Dzisiaj wśród nauczycieli stażyści stanowią ok. 4 proc. Oczywiście to zbyt ważne, aby uznać, że nie trzeba nad tym pracować. Najpierw musimy jednak przestać eksperymentować na strukturze wynagrodzeń, która już nikomu nie odpowiada.

I w nowej strukturze wynagrodzeń zaczniemy uwzględniać bardziej tych, którzy dopiero wchodzą do zawodu?

Tak. Wspomnę jeszcze, bo niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę, że zmiana minimalnego wynagrodzenia dla nauczyciela stażysty przekłada się automatycznie na zarobki na wszystkich stopniach awansu zawodowego, które są wyznaczane jako procentowy wskaźnik od wynagrodzenia minimalnego. Dlatego kiedy ZNP mówi o dodaniu tysiąca złotych do kwoty bazowej, przekłada się to na de facto prawie 2 tys. zł dla nauczycieli dyplomowanych, czyli w ciągu miesiąca nauczyciele mieliby zarabiać ok. 7,4 tys. zł. Wyższe wynagrodzenie to jest cel, dochodźmy do tego tysiąca złotych większej stawki bazowej, ale najpierw musimy uporządkować całą strukturę wynagrodzeń. Mam nadzieję, że ten rząd, kończąc kadencję, zaproponuje właśnie tę kwestię jako pierwszą sprawę do zrealizowania.

Drugi trudny temat – kumulacja roczników w szkołach ponadpodstawowych. Pani wciąż mówi, że to wszystko policzone i nie będzie problemu, a samorządy twierdzą, że wszystkich zmieszczą, ale to wcale nie oznacza, że będzie świetnie...

Planując reformę edukacji, musieliśmy zrealizować ją właśnie w tym momencie. Nie można było dłużej czekać. W 2019 r. spotkają się w szkołach średnich roczniki z najniższego punktu niżu demograficznego. To dzieci urodzone w latach 2003 i 2004. Późniejsze roczniki były już liczniejsze. Decyzje ok. 720 tys. uczniów dotyczące wyboru szkoły rozkładają się następująco: 45 proc. wybiera liceum, 40 proc. – technikum i 15 proc. – szkoły branżowe. To są szkoły, które funkcjonują od 20, 30, 50

eprasa.pl 50a923b935

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

czy 100 lat. Mieściły już większe roczniki uczniów, zarówno w czteroletnich liceach, jak i w pięcioletnich technikach. Większość z nich to przecież szkoły, które pamiętają roczniki liczące po 800 tys. uczniów. Dzieci się w nich mieściły.

Samorządy podejmowały pierwsze decyzje w 2017 r., gdy ukształtowały sieć szkół. Decydowały m.in., że na miejscu wygaszanego gimnazjum powstanie szkoła ponadgimnazjalna. Robiono to w porozumieniu z kuratoriami oświaty. Wiemy więc od dawna, że nic szczególnego się nie wydarzy. Większość szkół ma miejsca na dwukrotnie więcej uczniów. Patrzyliśmy także na tzw. zmianowość. I nawet przy tym podwójnym roczniku jej nie będzie. A w dużych miastach w ogóle nie powinno być żadnego problemu, bo tam liczba dzieci i liczba budynków się nie zmieniła.

Tylko nauczyciele między tymi budynkami będą się musieli przemieszczać.

Tak było zawsze! Niż demograficzny spowodował, że w ostatnich latach ponad 45 tys. nauczycieli straciło pracę. A nasza zmiana w systemie dała nowe miejsca pracy – w ciągu dwóch lat przybyło blisko 28 tys. etatów.

A nie jest tak, że nauczyciele z likwidowanych gimnazjów odchodzą ze szkolnictwa?

Nie ma takich deklaracji. Do tej pory nic takiego się nie działo. Nauczyciele gimnazjów to bardzo dobrze wykształceni nauczyciele. Oni już pracują w liceach, technikach czy szkołach podstawowych.

Czy jednak nie będzie dzieciom trudniej przy rekrutacji do tych najbardziej prestiżowych szkół? Przez reformę będzie więcej kandydatów na jedno miejsce.

Po pierwsze, w szkołach będą osobne klasy dla absolwentów gimnazjów i tylko oni będą ze sobą rywalizować. Oddzielne klasy będą dla tych po VIII klasie podstawówki i oni też będą konkurować tylko ze swoim rocznikiem. Popatrzmy na przykład Warszawy i bardzo dobrego IX Liceum Ogólnokształcącego im. Klementyny Hoffmanowej. W ubiegłym roku przy normalnej rekrutacji było ponad 2 tys. chętnych, by uczyć się w tym liceum. Dostało się ok. 200 osób. Teraz będzie podobnie. Są też technika, w których jest po sześć osób na jedno miejsce, i od dawna tak było.

Po reformie – wbrew temu, co zapowiadali jej przeciwnicy – wielkiego chaosu w szkołach nie widać. Jednak szkoła też dydaktycznie się nie zmieniła za bardzo...

Bardzo się zmieniła! Zmieniły się podstawy programowe. I przy okazji obalam mit, że w ciągu dwóch lat zmieściliśmy program z trzech klas gimnazjów. Nie! Przenieśliśmy te treści m.in. do czteroletniego liceum. Materiał nie jest przeładowany. Podstawy programowe zostały uszczegółowione, również na prośbę nauczycieli...

... bo sobie nie radzą i muszą mieć listę szczegółową tego, czego muszą nauczyć. No przecież powiedziałem, że szkoła niewiele się zmieniła dydaktycznie.

O nie, nie! Chodziło o to, że np. było jakieś sformułowanie i nie do końca wiadomo, jak zostaną z niego skonstruowane pytania na egzaminie. I to jest uczciwa ambicja nauczycieli i dzieci.

Co się jeszcze pani zdaniem zmieniło na plus?

Przedszkole. Trzy lata temu w przedszkolu były pięcio- i czterolatki. Nie miały prawa zgodnie z przepisami być w nim trzylatki. A sześciolatka w podwójnym roczniku wypchnięto do

eprasa.pl 50a923b935

I klasy. Dzisiaj 96 proc. sześciolatków jest w przedszkolach. To znaczy, że rodzice tego oczekiwali. Trzeba jednak podkreślić, że dziś sześciolatek w przedszkolu się uczy. A także uczą się, jeśli chcą, pięciolatek i czterolatek. Jeszcze trzy lata temu istniały przepisy, które mówiły o tym, że nie podejmujemy w przedszkolu edukacji, kuratoria tego zabraniały. Dzisiaj te dzieci uczą się pisania, czytania, a sześciolatek uczy się tego obowiązkowo.

Mamy też 80 proc. trzylatków w przedszkolach. Zostaliśmy pochwaleni za to w Komisji Europejskiej jako najbardziej dynamicznie zmieniający się kraj, jeśli chodzi o uprzedszkolnienie dzieci. Mieć ponad 90 proc. przedszkolaków w przedszkolach to naprawdę sukces. Mimo billboardów o tym, że cofamy cywilizacyjnie nasze dzieci, stało się dokładnie odwrotnie!

Miała też być gra w szachy od pierwszej klasy, rewolucja w nauczaniu myślenia algorytmicznego.

Mamy w systemie o 70 godzin więcej informatyki. I podstawy programowania od I klasy szkoły podstawowej. Przy czym programowanie w podstawówce to niekoniecznie komputer, ale też gry logiczne czy klocki.

Teraz też 20 proc. podstaw programowych nauczania należy realizować, prowadząc projekty. Uczymy tego nauczycieli. Czasy, w których nauczyciel przez 45 minut odpytuje i daje zadanie domowe, powinny odchodzić w przeszłość.

A ja wciąż w podstawowej szkole widzę wielu nauczycieli, których praca opiera się głównie na „realizowaniu" po kolei działów z podręcznika i podsumowywaniu ich kartkówkami oraz sprawdzianami.

Dlatego prosimy o zaangażowanie również rodziców m.in. przy opiniowaniu pracy nauczyciela. Rodzice powinni się też poczuć gospodarzami. Jeśli widzą, że nauczyciel powinien zmienić metody, to to jest informacja dla dyrektora, który powinien zorganizować doskonalenie zawodowe. Zmiana warsztatu jest konieczna.

Uczenie nauczycieli to też żmudny proces. Dopiero w ustawie wicepremiera Gowina wpisaliśmy, że nauczyciele nie będą już mogli być uczeni byle gdzie. Będzie się to odbywać na uczelniach, które mają co najmniej instytuty badawcze. I muszą się już uczyć m.in. korzystania z multimedialnych sprzętów, tego, jak włączać do edukacji dzieci ze specjalnymi potrzebami. Przy tym wsparliśmy też szkoły w nowoczesności. Poprzednicy zostawili nam 10 proc. szkół, które mają łącza internetowe z prędkością powyżej 100 mb/s. Do 2021 r. szerokopasmowy Internet będzie we wszystkich szkołach.

I co z tego, skoro z szybkiego Internetu będą korzystać nauczyciele informatyki, którzy każą dzieciom robić prezentacje w PowerPoint nieuwzględniające nawet algorytmiki myślenia?

Nie dał mi pan dokończyć. A to jest cały pakiet. Multimedialny sprzęt trafi do każdej klasy. A nauczycieli innowatorów nagradzamy m.in. nagrodami ministra edukacji. Dajemy nauczycielom zupełną wolność w sposobach kształcenia.

Skoro mogą kształcić jak chcą, to kiedy dzieci przestaną nosić podręczniki i wreszcie zaczną się przydawać te szafki w szkołach?

Dzieci w ogóle tych podręczników nosić nie muszą. Mamy już 50 tys. e-zasobów. Wszystko jest do ściągnięcia na tablice multimedialne. Mamy też 50 mln zł na doskonalenie nauczycieli, tak aby tablice multimedialne nie były jedynie ekranami, ale nauczyciele korzystali z nich na lekcjach.

> **Nie można zmuszać dziecka do noszenia ciężkiego tornistra. Dyrektor musi dziś zapewnić możliwość pozostawienia książek**

Przy okazji – podkreślmy, że dziś nikt nie ma prawa zmuszać dziecka do noszenia ciężkiego tornistra do szkoły. Wcześniej rozporządzenie wskazywało, że dyrektor „powinien" zapewnić możliwość pozostawienia książek np. w klasie. Dzisiaj ten zapis nakłada na dyrektora taki obowiązek.

I rodzic ma pójść i powiedzieć: „Przepraszam, panie dyrektorze, ale ma pan obowiązek zrobić tak, żeby moje dziecko nie nosiło tych książek"?

Dokładnie tak! Mało tego – jeśli dyrektor albo nauczyciel jest w tej sprawie dalej asertywny i uważa, że w szkole podstawowej konieczne jest noszenie pięciu książek, to należy się zwrócić do sanepidu. Bez rodziców tego nie zmienimy.

Pod względem wychowawczym polska szkoła radzi sobie całkiem nieźle. Tymczasem prezydenci miast odgórnie planują np. lekcje o mowie nienawiści. Czy to nie jest trochę jak policzek dla nauczycieli, którzy przecież pracę wychowawczą prowadzą permanentnie?

Dokładnie to mówiłam w tej sprawie. Wychowanie nie polega na jednorazowym evencie. Dziecko wychowuje się ciągle. Nauczyciel współwychowuje je razem z rodzicami. Rodzic jest przy konstruowaniu programów wychowawczych, dlatego instytucjom nie wolno wchodzić do szkoły bez jego zgody i wiedzy.

Na każdym przedmiocie w podstawach programowych mówimy o wychowywaniu. Robią to przecież także na lekcji matematyk czy fizyk. Są godziny wychowawcze. Rodzi się w szkołach wolontariat pokazujący, czym jest empatia.

A z drugiej strony – skoro wychowanie w szkole jest systemowe, ciągłe, to dlaczego protestujemy przeciw np. zajęciom o tolerancji? Przecież jednorazowe spotkanie nie zburzy długotrwałej pracy nauczycieli z dziećmi.

Ponieważ to jest jednorazowe. I stajemy przed problemami – które instytucje wpuszczać do szkół, a których nie? Tak nie można. O wychowaniu decydują rodzice. I my to ich prawo realizujemy tak, jak oni tego chcą. Jeśli coś jest systemowe i systematyczne, to po co korzystać z kogoś z zewnątrz? To może sugerować, że tam w szkole jest jakaś nieprawidłowość. Takie warsztaty zakładają od razu, że praca, która jest zaplanowana w podstawach programowych i planie wychowawczym, nie jest realizowana.

Powstają nowe partie, mają nowe postulaty. Jak się pani podoba ten, żeby religię wycofać ze szkół?

To jest postulat antyeuropejski. W wielu krajach UE lekcje religii są w szkole i są finansowane z budżetu państwa. W landach niemieckich są nawet obowiązkowe. Religia w szkole to zatem standard i norma.

Tego rodzaju apele to też nawoływanie do łamania konstytucji. Trzeba by było zmienić konstytucję – pod względem prawa do swobodnego wyrażania nie tylko światopoglądu, lecz także wyznawanej religii oraz prawa do bezpłatnej nauki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

RELIGIA KONTRA PRAWO

CZŁOWIEK KONTRA CZŁOWIEK

Fiona Maye, sędzia Wysokiego Trybunału Anglii i Walii, specjalistka od prawa rodzinnego, cieszy się w swoim środowisku świetną opinią. Kariera zawodowa nie rekompensuje jej jednak pustki w życiu osobistym. Jej związek z mężem wydaje się wypalony i małżeństwo wchodzi w fazę głębokiego kryzysu.

Ona tymczasem musi podjąć decyzję, której konsekwencji nie sposób przewidzieć.

Siedemnastoletni chłopak z powodów religijnych odmawia poddania się leczeniu, skazując się tym samym na śmierć. Fiona może to zmienić. Tylko czy ma do tego prawo? I czy będzie potrafiła żyć z konsekwencjami swojej decyzji?

Mądra i elegancka powieść, która przypomina nam, jak pokręcone potrafi być życie, i uświadamia, że sądy, pomimo najlepszych intencji, nie zawsze wydają sprawiedliwe wyroki.

USA Today

PRZEWROTNA POWIEŚĆ KRYMINALNA, W KTÓREJ

OFIARA SAMA SZUKA SWOJEGO ZABÓJCY!

Thriller i czarna komedia o życiu i śmierci, miłości i zdradzie. Humor autora miejscami jest czarny jak smoła, ale do mnie przemówił bezbłędnie!

Kirsin Kirjanurkka

Jaakko Kaunismaa, 37-letni przedsiębiorca, zaczyna odczuwać niepokojące objawy: nudności, zawroty głowy, ataki kaszlu i bóle. Lekarz, do którego się zwraca, informuje go, że wkrótce umrze. Kolejne badania wykazują, że Jaakko od dłuższego czasu był narażony na działanie trucizny. Innymi słowy: ktoś go morduje, bez pośpiechu i bez litości. Wszystko wskazuje na niewierną żonę. A może konkurenci w interesach?

Premiera: 20 lutego 2019

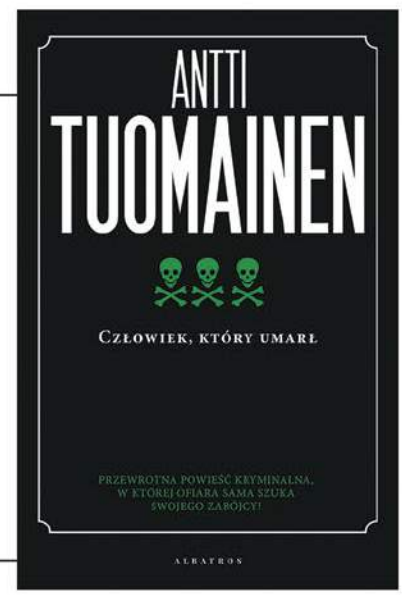

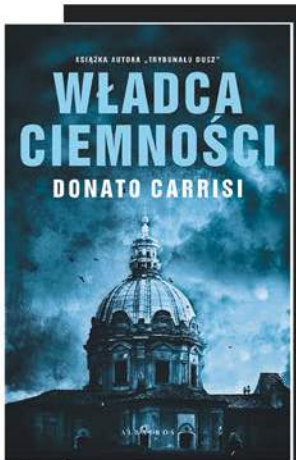

Gdy zapadają ciemności, pojawia się strach...

Gwałtowna burza zmusza władze Rzymu do ogłoszenia dwudziestoczterogodzinnej przerwy w dostawie prądu. A już przed pięciuset laty papież Leon X w tajemniczej bulli ostrzegał, aby chronić Rzym przed pogrążeniem się w ciemnościach... Nad miasto, w którym zapanowały panika i chaos, nadciąga w milczeniu mroczny cień pozostawiający za sobą szlak pełen trupów i... znaków.

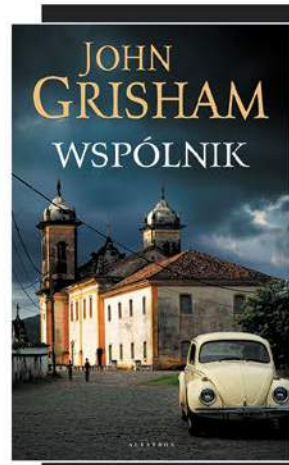

Przekręt wszech czasów zaplanowany przez prawnika z małego miasta.

Patrick Lanigan, młody adwokat, ginie w wypadku samochodowym. Kiedy wkrótce po tym z konta kancelarii, w której pracował, znika 90 milionów dolarów, rodzi się podejrzenie, że sfingował własną śmierć. Ludzie, którzy stracili przez niego pieniądze, są gotowi dużo zapłacić, żeby go dopaść i odzyskać swoją własność. Po czterech latach Lanigan zostaje odnaleziony w Brazylii. Ale po pieniądzach nie ma śladu...

WYDAWNICTWO ALBATROS wydawnictwoalbatros.com znajdziesz w empik salony / online / aplikacja

eprasa.pl 50a923b935

Mecenas Kalisz

Agnieszka Niewińska

Ryszard Kalisz od Stefana Niesiołowskiego usłyszał kiedyś, że jest pornograbasem. Dzisiaj jako mecenas broni go w sprawie podejrzeń o załatwianie biznesu w zamian za usługi prostytutek

Za jurność? – pytał Ryszard Kalisz. – Czy to jest przestępstwo do zamykania ludzi, do wniosku o uchylenie immunitetu? Panie redaktorze, bój się pan Boga! – perorował w wywiadzie dla Wp.pl. Po tym, jak został obrońcą posła Stefana Niesiołowskiego (który według prokuratury w zamian za opłacenie mu usług seksualnych działał na rzecz spółek zaprzyjaźnionych biznesmenów), mec. Kalisz był rozchwytywany przez media. W kolejnych stacjach tłumaczył, że nigdy nie miał pretensji do Niesiołowskiego o to, że nazwał go przed laty pornograbasem. Zaznaczał, że za tamte słowa Niesiołowski go od razu przeprosił. – Mój klient jest niewinny – powtarzał.

POSTPOLITYK

Z polityką Ryszard Kalisz rozstał się w 2015 r. Chociaż już w 2013 r. SLD wyrzucił go ze swoich szeregów. Powodem była jego współpraca przy nowym projekcie Aleksandra Kwaśniewskiego i Janusza Palikota pod nazwą Europa Plus. Politycy Sojuszu wyzłośliwiali się wówczas na temat przerośniętego ego niedawnego partyjnego kolegi, Joanna Senyszyn zarzuciła mu nielojalność. Iskrzyło szczególnie na linii Ryszard Kalisz – Leszek Miller.

Kalisz wystartował z list Europy Plus w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r., ale koalicja ta nie uzyskała żadnego mandatu. Projekt odszedł w niebyt. Kalisz został z założonym przez siebie stowarzyszeniem Dom Wszystkich Polska, które też nie odegrało żadnej politycznej roli.

Dzisiaj były już polityk prowadzi kancelarię prawną, która oferuje pomoc m.in. w sporach gospodarczych, w postępowaniach arbitrażowych, doradza w zakresie prawa rynku kapitałowego.

Po co mu sprawa posła Niesiołowskiego, która jest jak wejście jedną nogą do polityki? Mecenas nie odpowiedział na prośbę o rozmowę. Wcześniej mówił, że Niesiołowskiego zna od 30 lat i bez wahania zgodził się go bronić.

Poseł PSL Eugeniusz Kłopotek ma na ten temat swoją teorię: – Mecenas Kalisz zauważył, że inny mecenas – Giertych – jest już przepracowany, prowadząc wiele spraw polityków, i postanowił go odciążyć. Teraz politycy mogą dzwonić i do Giertycha, i do Kalisza – żartuje.

– Jest inteligentnym prawnikiem, ale dawno temu połknął bakcyla polityki i polityka jest jego pierwszą potrzebą – ocenia z kolei prof. Kazimierz Kik, politolog niegdyś związany z SLD. – Z tym się wiąże m.in. uznanie, zainteresowanie mediów – dodaje. Powrotu do polityki Kaliszowi jednak nie wróży. – Może działać na jej obrzeżach, odgrywać rolę doradcy, ale w partyjnym rydwanie go nie widzę – zauważa prof. Kik.

OD PZPR DO SLD

Do PZPR Kalisz wstąpił pod koniec lat 70. W III RP znalazł się w SdRP, a potem w SLD. Został przedstawicielem prezydenta Kwaśniewskiego w Komisji Konstytucyjnej i już przy nim pozostał – najpierw jako sekretarz stanu, a potem szef

eprasa.pl 50a923b935

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

kancelarii. Zażyłymi stosunkami z Kwaśniewskim zwykł się chwalić. Opowiadał nawet mediom, że nosił ubrania, które prezydentowi kupowała żona, a akurat schudł i na niego nie pasowały.

Kiedy w 2000 r. Kwaśniewski ubiegał się o drugą kadencję, a jego kampanią kierował Kalisz, Jacek Żalek, wówczas białostocki radny, dziś poseł Zjednoczonej Prawicy, był w sztabie kontrkandydata – Mariana Krzaklewskiego. Znalazł się na wiecu Kwaśniewskiego w Białymstoku, na którym doszło do przepychanek. Kalisz w radiu twierdził później, że w zamieszkach brali udział członkowie sztabu Krzaklewskiego. Jacek Żalek wystąpił z prywatnym aktem oskarżenia o pomówienie. – Dzisiaj jak widzę, kiedy mówi o niezawisłości sędziów, przypominam sobie, jak w tamtym procesie wywierał presję na sąd. Krzyczał, tupał, wymyślał sądowi, myślał, że wygra dzięki ówczesnej SLD-owskiej hegemonii oraz powoływaniu się na wpływy u Kwaśniewskiego i Cimoszewicza – opowiada poseł Żalek. – Sprawa toczyła się latami, bo stosował różne triki, by doprowadzić do przewlekłości i w konsekwencji do przedawnienia. Na każde posiedzenie przychodził z nowymi wnioskami dowodowymi. Wysyłał też lewe zwolnienia pod byle pretekstem. Na jedną z rozpraw przysłał pismo, że nie może być obecny na rozprawie z powodu posiedzenia sejmowej Komisji Sprawiedliwości. Wykazałem sądowi, że ten wniosek o odroczenie nie zasługuje na rozpoznanie, bo jest nieprawdziwy – komisja w tych dniach nie obradowała. Nie było podstaw do odroczenia i sąd kontynuował rozprawę pod nieobecność Kalisza. Wobec wyczerpania wszystkich wniosków dowodowych sądowi nie pozostało nic innego, jak zamknąć sprawę i wydać wyrok. Kalisz przegrał. Sąd orzekł o jego winie i zasądził przeprosiny i zadośćuczynienie w wysokości 8 tys. zł. Wówczas to była spora suma. Z uśmiechem na ustach można powiedzieć, że paradoksalnie to dzięki Kaliszowi jestem w polityce. Wydałem tamte pieniądze na moją kolejną wygraną kampanię samorządową. Kalisz, mając świadomość nieuchronnej przegranej, nie odwoływał się od wyroku i wybrał ułaskawienie podpisane w ostatnim dniu urzędowania prezydenta Kwaśniewskiego – wspomina poseł Żalek.

Kalisz w mediach podkreślał, że mówienie o jego ułaskawieniu to kłamstwo. Chociaż w 2005 r. pochwalił się „Życiu Warszawy", że złożył wniosek o ułaskawienie, to gdy w 2011 r. przypomniano tę sprawę, mówił w TVN, że ułaskawiony nie był, sprawa została umorzona z nakazem zapłaty, a Kwaśniewski poprosił o jej akta, bo był zdziwiony wyrokiem i chciał je obejrzeć.

O VIAGRZE I KOBIETACH

Posłem po raz pierwszy został w 2001 r. Na krótko wszedł nawet w skład komisji śledczej w sprawie afery Rywina. W rządzie Marka Belki został szefem MSWiA. W 2007 r. wrócił w roli śledczego. Został przewodniczącym komisji ds. zbadania śmierci Barbary Blidy i w swoim raporcie wnioskował o postawienie przed Trybunałem Stanu Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry.

Lata w Sejmie to czas jego największej aktywności medialnej. Występował w programach publicystycznych, media relacjonowały jego tańce na jeżdżącej platformie podczas parad równości. Nie stronił od programów rozrywkowych. W 2010 r. pojawił się u Kuby Wojewódzkiego. – Największy kobieciarz wśród polityków – zaanonsował go Wojewódzki. – To ja się rozbiorę – oświadczył Kalisz i przy aplauzie publiczności zdjął krawat i marynarkę. Z tamtego występu do mediów przebiły się jego słowa o tym, że jak mężczyzna po 45. roku życia mówi, że nie bierze viagry, to kłamie. Chwalił się też młodymi dziewczynami, które nalegały na lotnisku, by leciał z nimi na Ibizę. O płci pięknej w 2013 r. wydał zresztą książkę zatytułowaną „Ryszard i kobiety".

Relacje z kobietami przysporzyły też Kaliszowi niemałych kłopotów. Kiedy w 2013 r. urodził się jego pierworodny syn, prasa zareagowała żywiołowo. Polityk udzielał wywiadów, na okładce „Vivy!" wystąpił z niemowlęciem na rękach. W 2015 r. okazało się, że spodziewa się kolejnego dziecka z prawniczką Dominiką Lis i szykuje się do ślubu. Paparazzi czatowali przed domem polityka, a krótko po zaślubinach „Super Express" wydrukował opowieści matki pierwszego syna polityka: „Byłam dla niego darmowym materacem" – żaliła się. „Nigdy nie byliśmy parą" – odpowiadał w brukowcach Kalisz.

BĘDZIE SHOW?

W końcu temat perypetii rodzinnych nieco się wyczerpał, a kolorowe gazety wróciły do pisania o motoryzacyjnych wyborach Kalisza, zamianie jaguara na range rovera. – Jaguara wdziałem. Nie było to auto pierwszej młodości, ale jaguar to jaguar. Robi wrażenie, a Rysio lubi poszpanować – opowiada poseł Kłopotek. Tabloidy latami wytykały zresztą, że polityk jeżdżący jaguarem nie pasuje do socjaldemokratycznej partii. A Kalisz sam podobne opinie podsycał opowieściami o tym, że z poselską pensją jest pośmiewiskiem środowiska adwokackiego. – Ryszard Kalisz nie pasował do wyobrażeń o tym, jaki powinien być SLD, ale pasował do takiego, jakim w rzeczywistości był. To nie była partia socjaldemokratyczna, ale postkomunistyczna, zrzeszająca postpezetpeerowskie elity liberalne – mówi prof. Kik.

Od ostatecznego rozstania z polityką Ryszard Kalisz w mediach występował od czasu do czasu. W związku ze sprawą Niesiołowskiego ma szansę na więcej czasu antenowego. – Mój proces z Kaliszem unaocznił mi, że nie jest on dobrym adwokatem. Przegrał przede wszystkim dlatego, że okazał się ignorantem procesowym, ale Stefan Niesiołowski nie potrzebuje dobrego obrońcy, tylko showmana. I Ryszard Kalisz spełnia te kryteria. Niezależnie od oczywistych dowodów będzie robił z Niesiołowskiego politycznego męczennika. A sam będzie miał darmową reklamę. Tak to jest z politykami w prawie i z prawem w polityce – kwituje poseł Żalek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Z dr. Jarosławem Szarkiem, historykiem, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej
rozmawia Marcin Makowski

Okrągły Stół był laboratorium pierestrojki

FOT. ANNA KACZMARZ/DZIENNIK POLSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

MARCIN MAKOWSKI: Przy okazji sprawy Kazimierza Kujdy, byłego szefa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, „teczki" znowu wkroczyły do polityki. W oparciu o te same dokumenty trzy redakcje niezależnie opisały sprawę TW „Ryszarda". Tego samego dnia. Jak to możliwe od strony formalnej?

DR JAROSŁAW SZAREK: Archiwa Instytutu Pamięci Narodowej są dostępne dla każdego według określonych procedur. Jestem pewien, że nie naruszono żadnych przepisów, a dziennikarze mają do nich pełen dostęp. Informacja, że te akta znajdują się w naszym zasobie, jest obecna od kwietnia 2018 r. w inwentarzu archiwalnym w Internecie. Podobnie jak informacja o wszystkich aktach, które kiedyś stanowiły tzw. zbiór zastrzeżony.

Sądzi pan, że w okresie kampanii wyborczej można się spodziewać wysypu podobnych materiałów?

IPN stoi na stanowisku, że dokumenty wytworzone przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa powinny być jawne. W styczniu 2017 r. poszerzyliśmy elektroniczny inwentarz o pełny opis, w którym pokazujemy znaczną część zbiorów, ułatwiając kwerendę. Pod względem dostępności źródeł jesteśmy najbardziej przejrzystą instytucją ze wszystkich państw dawnego bloku sowieckiego. Nie zmienia to jednak faktu, że proces ten powinien się zacząć zaraz po upadku PRL. Niepodległej Polski nie powinniśmy budować z ludźmi uwikłanymi w relacje z aparatem bezpieczeństwa.

Jaką mamy pewność, że za pieczątką „tajne" nie będą ukrywane niewygodne akta osobowe polityków?

Po likwidacji tzw. zbioru zastrzeżonego klauzula „ściśle tajne" dotyczy jedynie 300 jednostek archiwalnych, i to nie w pełni, bo w części z nich tajne są jedynie pojedyncze strony. Dotyczą one infrastruktury komunikacyjnej, planów budynków ważnych dla bezpieczeństwa państwa, nie znajdziemy tam żadnego polityka.

Zmieniając nieco temat, nie wiem, czy pan śledzi losy nowej partii Roberta Biedronia, ale idąc śladem Grzegorza Schetyny, lider Wiosny zapowiedział likwidację Instytutu Pamięci Narodowej. Pieniądze z tego tytułu mają zasilić jego program socjalny.

Ileż to razy od rozpoczęcia działalności IPN w 2000 r. słyszeliśmy takie deklaracje? Gdzie są ci, którzy je głosili? Zastanawiam się tylko, jak w oczach naszych niedoszłych „likwidatorów" wyglądałaby Polska bez instytucji, która opowiada o najnowszej historii, ujawnia archiwalia komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, poszukuje szczątków naszych bohaterów, wydała ponad tysiąc naukowych publikacji, prowadzi działalność edukacyjną, w kraju i poza nim, przed którą stawia się coraz to nowe zadania… Choćby opiekę nad grobami weteranów…

Jak pan rozumie te apele? W jaki sposób środowiska, które chciałyby zawieszenia działalności IPN, mogłyby z tego faktu politycznie skorzystać?

Nigdy powstania IPN nie zaakceptowały środowiska postkomunistyczne oraz wielu ich ideowych sojuszników, którzy tworzyli fundamenty tego sytemu w jego najbardziej krwawej odsłonie przed 1956 r., a dopiero później zaczęli go kontestować. Blisko 100 km akt, które znajdują się w naszym archiwum – w większości mających nigdy nie zostać ujawnionymi – pokazuje rzeczywistą, nieludzką twarz komunizmu dławiącego wolnościowe i niepodległościowe aspiracje narodu. Ludzi, którzy go

eprasa.pl 50a923b935

tworzyli, oraz tych będących w mniejszości, którzy się mu przeciwstawiali – stojących po stronie prawdy, wolności, uczciwości, czyli niepodległej Polski. Być może prawda o tych czasach jest też wyrzutem sumienia, więc ją odpychają. Ludzi bezkompromisowych, odważnych jest zawsze zdecydowana mniejszość.

„Imperium Pamięci Nacjonalistycznej" – tak na łamach „Gazety Wyborczej" sparafrazował nazwę Instytutu Pamięci Narodowej prof. Jan Grabowski z uniwersytetu w Ottawie. On, podobnie jak część środowiska historycznego, również apeluje o rozwiązanie instytucji. Pana zdaniem z tych samych powodów?

Jaka jest wartość takich wypowiedzi? Przecież to inwektywy, nigdy w ten sposób nie będziemy rozmawiać. Oczekujemy rzeczywistego odnoszenia się do naszych publikacji i do konkretnych treści. Tymczasem najczęściej pojawiają się ideologiczne napaści na Instytut Pamięci Narodowej. Mylą się ci, którzy myślą, że to zniechęci nas do budowy niezależnego środowiska historyków, dla których jedynymi kryteriami będą rzetelność i wierność prawdzie. I w ten sposób badamy okupację niemiecką, wielowymiarowe relacje polsko-żydowskie. Za kilka miesięcy ukaże się pierwszy numer międzynarodowego pisma „Polish-Jewish Studies", które będzie forum takiej dyskusji. Gdy tylko pojawiły się pierwsze informacje na ten temat, już wezwano do jego bojkotu. Niestety, to prawdziwa twarz niektórych środowisk – chęć posiadania monopolu. Jednak czy to nie jeden ze spadków po systemie totalitarnym?

Podobny scenariusz mogliśmy ostatnio obserwować w przypadku wezwania do bojkotu tworzonego właśnie Muzeum Getta Warszawskiego.

Przed czym ten lęk? Przed opowiedzeniem fragmentu naszej historii? Możemy się nie zgadzać co do interpretacji, ale nie znajdzie pan w naszych publikacjach naukowych ideologicznych treści, przeczytamy o Janie Józefie Lipskim i Adamie Doboszyńskim. Nie znajdzie pan redaktor ani jednego tekstu pisanego językiem, którym posługują się nasi przeciwnicy. Być może pewnym środowiskom nie podoba się, że zagrażamy ich monopolowi na badania m.in. Holokaustu. Profesor, o którym pan wspomniał, mówił o bardzo dużej liczbie Żydów zamordowanych przez Polaków. Później, gdy zaczęto weryfikować jego tezę, zaczął się wycofywać.

Środowisko skupione wokół prof. Grabowskiego, ale również Barbary Engelking, odpiera zarzuty o brak merytoryczności poprzez odwołanie do wydanej niedawno dwutomowej monografii „Dalej jest noc". Historycy dowodzą w niej, że polskie zaangażowanie w mordy na żydowskich sąsiadach było większe, niż do tej pory sądziliśmy. W domyśle – IPN boi się do tych faktów przyznać.

Zachęcam wszystkich do sięgnięcia po najnowszy numer „Biuletynu IPN", do którego została dołączona 70-stronicowa, krytyczna recenzja „Dalej jest noc", napisana przez dr. Tomasza Domańskiego. W kolejnych tygodniach opublikujemy kolejną. Już teraz możemy powiedzieć, że mamy do czynienia z wydawnictwem wysoce nierzetelnym. Nie ukrywam, że sami w Instytucie byliśmy zdumieni, iż można dopuszczać się takich rzeczy. Chyba od lat 50. XX w. w polskiej historiografii nie było tak wybiórczego podejścia do źródeł, a nierzetelność pojawia się na kilku płaszczyznach: od pisania pod określoną tezę, przez wybranie niereprezentatywnego obszaru okupacji niemieckiej, do czy pomijania sprawczej roli okupanta niemieckiego. Nierzadkie są ingerencje w tekst źródeł, a najbardziej jaskrawym przypadkiem usuwanie „Niemców" i takie prowadzenie narracji, by ich zbrodnie przypisywano „Polakom".

Czy to działanie w złej woli? Chyba nie da się mówić w takich sytuacjach o niedopatrzeniu?

Recenzja powstawała bardzo długo, bo weryfikowaliśmy źródła, z których korzystali autorzy monografii. Dopiero wtedy dało się stwierdzić, jak manipulowali cytatami. Można przez brak dokładności pominąć pewne kwestie, nawet się pomylić – po to są recenzje, aby takie uchybienia wyeliminować. Można się spierać co do wniosków, ale podstawą takiej dyskusji musi być zaufanie. A jak je mieć wobec zgody na takie praktyki? Nasz niepokój budzi to, że często są to ludzie z tytułami naukowymi, będący mentorami w swym środowisku, więc ten problem jest o wiele poważniejszy.

„Żądam publicznie od IPN przeproszenia za sfabrykowanie prowokacji pod nazwą Teczki Kiszczaka, jeśli to nie nastąpi, spotkamy się na drodze sądowej krajowej lub międzynarodowej. Dysponuję wystarczającą ilością niepodważalnych dowodów" – napisał na Twitterze Lech Wałęsa. Szykuje się pan na proces?

Czy to jednak Lech Wałęsa nie powinien zacząć od przeproszenia swych dawnych kolegów ze stoczni, na których donosił? Nie wspominając o ludziach Solidarności obrażanych wypowiedziami, które nigdy nie powinny paść?

Czy myśli pan, że wraz ze śmiercią premiera Jana Olszewskiego symbolicznie kończy się czas sporu o lata PRL? Jaką był on dla pana osobą?

Te spory się nie skończą, ale niestety nie usłyszymy w nich już głosu Jana Olszewskiego – człowieka symbolu – cywilnego, niezłomnego oporu przeciwko systemowi komunistycznemu, który dowiódł, że przez PRL można było przejść jako człowiek przyzwoity. Dzisiaj, gdy czytam słowa uznania wobec niego ze strony ludzi reprezentujących środowiska, które lżyły go – już w wolnej Polsce – tylko za to, że chciał niepodległej ojczyzny budowanej przez ludzi uczciwych, niepowiązanych z sowieckim systemem, to budzi nadzieję. Bowiem mimo kryzysu cywilizacji, w której żyjemy, próby odwracania pojęć – jego honorowanie jest zwycięstwem wartości, które głosił, a przecież był bohaterem okładek, z tak modnym znowu słowem „nienawiść", nie było obelgi, którą by go nie obrzucono. Pamięta pan, jak nazywano jego sympatyków?

Olszewikami?

Tak nazywano człowieka niezłomnych zasad, wykpiwanego przez określenie będące nawiązaniem do najbardziej zbrodniczego systemu w historii, z którym walczył całe życie. Tylko za to, że nie chciał budowy okrągłostołowej republiki, ale niepodległej Polski. Czy może być większa niegodziwość i jeszcze ze strony ludzi, w których obronie kiedyś stawał?

À propos Okrągłego Stołu. Czy jego bilans, pomimo pewnych zastrzeżeń, tak jak prezydent Andrzej Duda uważa pan za dodatni?

Okrągły Stół, konstrukcja przygotowana przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa, był – jak to zresztą określono w Moskwie – laboratorium pierestrojki. Czyli przebudową sytemu, wobec jego widocznej ruiny i groźby wybuchu niezadowolenia, która zabezpieczy interesy ludzi czerwonego ancien régime'u. Sposobem było dokooptowanie części opozycji do władzy. Oczywiście operacja nie w pełni się udała, jednym z elementów był wynik kontraktowych wyborów, zakres wolności i możliwości się powiększył, ale budowa Polski niepodległej – uwolnionej od komunistycznego spadku – została zahamowana, a 4 czerwca 1992 r. jest jedną z ilustracji, w jaki sposób to się odbywało. Na długie lata całe obszary życia zostały obciążone tą fatalną spuścizną, co zaważyło na naszej kondycji w wielu wymiarach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Alternatywa dla lokat

Bezpieczeństwo, prostota i niewielki, ale pewny zysk – to zalety obligacji skarbowych, które sprawiają, że są one atrakcyjną alternatywą dla lokat bankowych. Według danych Ministerstwa Finansów w 2018 r. Polacy kupili detaliczne obligacje skarbowe o wartości 12,7 mld zł. To rekord!

Król Stanisław August Poniatowski. To on w 1782 r. wyemitował pierwszą polską obligację. Jej oprocentowanie wynosiło 5 proc., a jej wartość opiewała na 1 mln guldenów holenderskich – właśnie na taką kwotę udzielił bowiem królowi pięcioletniej

eprasa.pl 50a923b935

FOT. ADOBE STOCK

pożyczki bankier z Amsterdamu Quiryn Willem van Hoorn.

Dynamiczny rozwój rynku obligacji w naszym kraju nastąpił jednak dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918. Papiery skarbowe emitował rząd. Własne obligacje wyemitowało w okresie międzywojennym również wiele polskich miast – m.in. Warszawa, Poznań, Lwów, Kraków czy też Łódź – oraz banków (np. Państwowy Bank Rolny). Wybuch II wojny światowej gwałtownie przerwał jednak rozwój tego rynku.

Po 1989 r. obligacje znów stały się ważnym segmentem rynku kapitałowego, a także popularnym narzędziem pozyskiwania kapitału – zarówno przez rząd, jak i przez samorządy czy prywatne przedsiębiorstwa. Nic dziwnego. Obligacje są bowiem – obok akcji – najpopularniejszym rodzajem papierów wartościowych na świecie. Dlaczego? Dla rządów to łatwy sposób na finansowanie deficytów budżetowych. A ponieważ wykup obligacji skarbowych jest gwarantowany przez Skarb Państwa, który ręczy za spłatę zobowiązań całym majątkiem, rządowe papiery wartościowe są przez inwestorów traktowane jako jedna z najbezpieczniejszych form oszczędzania. Ryzyko bankructwa państw rozwiniętych jest bowiem stosunkowo niskie.

Wysokość oprocentowania zależy od kosztu pieniądza na rynku (poziomu stóp na rynku międzybankowym) plus od wyceny różnych rodzajów ryzyk. Najniższe oprocentowanie wypłacają więc inwestorom takie kraje jak Stany Zjednoczone, Japonia, Szwajcaria czy Niemcy. Coraz większym zainteresowaniem inwestorów cieszą się również krajowe obligacje skarbowe. Dzięki temu rząd w Warszawie może wypłacać coraz niższy „procent" za inwestowanie w nasze skarbówki.

SKARBOWE, KOMUNALNE CZY KORPORACYJNE

Czym jest obligacja? To papier wartościowy, w którym emitent stwierdza, że jest dłużnikiem właściciela obligacji (obligatariusza) i zobowiązuje się do spełnienia wobec niego określonego świadczenia (wykupu obligacji w określonym terminie, a także np. regularnej wypłaty odsetek od zaciągniętego długu). Oczywiście, w dzisiejszych czasach „papiery wartościowe" rzadko mają fizyczną, papierową formę i najczęściej występują w formie zapisu elektronicznego (nabycie obligacji detalicznych na rynku pierwotnym odnotowane jest w Rejestrze Nabywców Obligacji, a hurtowych w Krajowym Depozycie Papierów Wartościowych (KDPW)). Dzięki temu nie ma ryzyka ich kradzieży ani zagubienia. Zgodnie z ustawą z 9 listopada 2018 r. od 1 lipca 2019 r. wszystkie obligacje będą musiały być emitowane w formie zdematerializowanej, czyli nie będą mogły mieć formy dokumentu. Wszystkie będą też musiały być zarejestrowane w depozycie prowadzonym przez KDPW na zasadach obowiązujących obecnie dla publicznych papierów wartościowych i obligacji skarbowych.

Obligacje można podzielić według kilku kryteriów. Jednym z podstawowych jest podział ze względu na miejsce emisji. Obligacje krajowe emitowane są w kraju emitenta, a ich wartość wyrażona jest w krajowej walucie. Obligacje zagraniczne emitowane są poza granicami kraju, z którego pochodzi emitent. Papiery wartościowe dzieli się także ze względu na emitenta. Są więc obligacje:

- skarbowe – emitowane przez Ministerstwo Finansów w imieniu Skarbu Państwa.

eprasa.pl 50a923b935

– komunalne (municypalne) – ich emitentami są samorządy terytorialne, np. miasta, powiaty czy gminy;
– korporacyjne (podmiotów prawnych) – emitowane przez przedsiębiorstwa.

Obligacje dzieli się również ze względu na okres do wykupu, poziom ryzyka inwestycyjnego czy też wartość nominalną.

DETALICZNE I HURTOWE

W Polsce największą popularnością cieszą się obligacje Skarbu Państwa. Ministerstwo Finansów emituje je od 1992 r.

Polskie obligacje skarbowe są przede wszystkim oferowane inwestorom instytucjonalnym w drodze przetargów organizowanych przez Ministerstwo Finansów. Te tzw. obligacje hurtowe odgrywają główną rolę w zaspokajaniu potrzeb pożyczkowych polskiego rządu. Obligacje hurtowe są papierami na okaziciela, a obrót nimi na rynku wtórnym w zdecydowanej większości jest prowadzony przez banki komercyjne na rynku niezorganizowanym (tzw. OTC). Ministerstwo Finansów w imieniu Skarbu Państwa sprzedaje również obligacje detaliczne o niskim nominale, przeznaczone dla inwestorów indywidualnych. Według Ministerstwa Finansów w 2018 r. Polacy kupili detaliczne obligacje skarbowe o wartości 12,7 mld zł, czyli niemal za dwa razy więcej niż w roku 2017. Zakup tego typu papierów wartościowych dla wielu drobnych inwestorów stał się interesującą alternatywą wobec trzymania oszczędności na niskooprocentowanych lokatach bankowych. Dla przykładu oprocentowanie lokat trzymiesięcznych w bankach waha się obecnie od 0,65 proc. do 3,8 proc. w skali roku. Trzymiesięczne obligacje skarbowe są zaś oprocentowane na 1,5 proc. w skali roku. I to one w zeszłym roku były najczęściej kupowane przez inwestorów indywidualnych (według Ministerstwa Finansów ich udział w łącznej sprzedaży wyniósł 33 proc.). Niezwykle popularne są również obligacje dwuletnie oprocentowane na 2,1 proc. w skali roku z roczną kapitalizacją odsetek. Ich udział w łącznej sprzedaży w 2018 r. wyniósł 28,1 proc. Zarówno zakup obligacji trzymiesięcznych, jak i dwuletnich jest dobrym rozwiązaniem dla osób, które chcą z góry wiedzieć, jaką kwotę odsetek otrzymają po zakończeniu inwestycji.

Oferowane w Polsce detaliczne obligacje skarbowe można podzielić na:
– oszczędnościowe trzymiesięczne stałoprocentowe (OTS);
– dwuletnie o stałym oprocentowaniu (DOS),
– trzyletnie o zmiennej stopie procentowej (TOZ),
– czteroletnie indeksowane inflacją (COI),
– dziesięcioletnie indeksowane inflacją (EDO),
– sześcioletnie (ROS) i dziesięcioletnie (ROD) rodzinne obligacje skarbowe.

FOT. BARTEK SYTA/POLSKA PRESSE/EAST NEWS

Dla osób, którym zależy na częstej wypłacie odsetek (co pół roku) i które chcą mieć pewność, że ich inwestycja będzie odporna na zmiany zachodzące na rynku, korzystna jest oferta obligacji trzyletnich. W pierwszym sześciomiesięcznym okresie odsetkowym ich oprocentowanie wynosi obecnie 2,2 proc., a w kolejnych półrocznych okresach odsetkowych oprocentowanie tych obligacji jest uzależnione od wysokości oprocentowania pożyczek na polskim rynku międzybankowym (mnożnik 1,00 x WIBOR 6M).

Ci, którzy oczekują gwarancji, że inwestycja w obligacje uchroni ich kapitał przed inflacją, mogą nabyć papiery indeksowane, których oprocentowanie jest zmienne i zależy od stopy inflacji (np. czteroletnie, sześcioletnie, dziesięcioletnie lub dwunastoletnie). Przykładowo w przypadku czteroletnich detalicznych obligacji skarbowych w pierwszym roku oprocentowanie wynosi 2,4 proc., a w kolejnych latach jego wysokość zależeć będzie od wysokości inflacji powiększonej o marżę (w tym przypadku wynoszącą 1,25 proc.). Jeszcze korzystniejsze są obligacje 12-letnie. W pierwszym roku ich oprocentowanie wynosi aż 3,2 proc., a potem dwa punkty procentowe ponad inflację. Z tej ostatniej oferty mogą jednak skorzystać tylko beneficjenci programu „Rodzina 500 plus".

Obrót detalicznymi obligacjami skarbowymi – zarówno ich kupowanie bezpośrednio od Ministerstwa Finansów, jak i ewentualna sprzedaż przed terminem zapadalności – jest prosty. Aby je nabyć na rynku pierwotnym, nie trzeba nawet posiadać rachunku maklerskiego ani dużych kwot (aby zacząć w ten sposób oszczędzać, wystarczy już 100 zł).

Detaliczne obligacje skarbowe można kupić zarówno w sieci ponad tysiąca

eprasa.pl 50a923b935

placówek banku PKO Bank Polski S.A. (będącego tzw. agentem emisji), jak i przez Internet (www.obligacjeskarbowe.pl, www.inteligo.pl) czy przez telefon. Za nabycie papierów wartościowych można zapłacić gotówką, przelewem lub środkami uzyskanymi z wykupu poprzedniej serii obligacji (taka zamiana wykupywanych obligacji na nowe nazywa jest rolowaniem). Dotychczasowi posiadacze przy zamianie starych obligacji na nowe mogą też liczyć na premię od emitenta (w postaci niższej ceny zakupu).

Kupując obligacje, warto zwracać też uwagę na częstotliwość wypłat odsetek. Najczęściej są one wypłacane z częstotliwością kwartalną, półroczną lub roczną. Dochód z obligacji – tych kupionych na rynku pierwotnym, jak i na giełdzie – jest objęty podatkiem od dochodów kapitałowych. Jego wysokość to 19 proc. Podatek ten jest automatycznie pobierany i odprowadzany przez DM PKO Banku Polskiego.

GDY PIENIĘDZY POTRZEBA WCZEŚNIEJ

Najlepiej wybierać takie detaliczne obligacje skarbowe, których termin wykupu jest zgodny z przewidywanym przez nas horyzontem inwestycyjnym. Obligacje skarbowe najkorzystniej jest bowiem trzymać aż do terminu wykupu. A co, jeśli niespodziewanie będziemy potrzebowali pieniędzy wcześniej? W takiej sytuacji inwestycję w obligacje można zakończyć przed terminem zapadalności. W przypadku obligacji trzymiesięcznych pieniądze można wycofać bez żadnych opłat, ale nie zostaną naliczone żadne odsetki. Wypłata następuje po upływie pięciu dni roboczych po dniu złożenia dyspozycji.

Z kolei np. w przypadku obligacji dwuletnich narosłe odsetki zostaną wypłacone, ale zostaną pomniejszone o opłatę w wysokości 0,70 zł od każdej wartej 100 zł obligacji. W niektórych przypadkach opłata ta może więc skonsumować cały zysk z oprocentowania. Kapitał zawsze jest jednak wypłacany w całości.

Obligacje oszczędnościowe mogą być również odsprzedane innej osobie na podstawie umowy cywilnoprawnej – należy przyjść wraz z nowym nabywcą obligacji do Punktu Sprzedaży Obligacji i przedstawić taką umowę lub zawrzeć umowę w formie aktu notarialnego (w takiej sytuacji do placówki banku może się zgłosić sam kupujący) – lub podarowane w formie darowizny.

DLA LUBIĄCYCH RYZYKO

Obligacje oszczędnościowe nie są notowane na giełdzie ani innym rynku regulowanym. Obligacje hurtowe można jednak kupić na rynku wtórnym, np. na giełdzie. W takim przypadku konieczne jest już posiadanie rachunku w domu maklerskim.

Atrakcyjność obligacji na rynku wtórnym ocenia się, patrząc na rentowność, która obliczana jest na podstawie aktualnej ceny danego papieru wartościowego, a także wielkości kuponów i terminów wypłaty. Wyrażona w procentach rentowność pokazuje, na jaki zysk w skali roku może liczyć inwestor, jeżeli kupi obligacje po bieżącej cenie i będzie je trzymał aż do terminu wykupu.

Kupując obligacje skarbowe czy komunalne, możemy zachować realną wartość oszczędności (uchronić je przed inflacją), ale zysk z takiej inwestycji jest stosunkowo niewielki. Istotnie wyższe odsetki może przynieść indywidualny zakup obligacji korporacyjnych. Są one jednak zazwyczaj bardziej ryzykowne, a inwestując w niektóre tego typu papiery, można stracić część lub nawet cały kapitał.

W wyborze godnego zaufania emitenta pomóc mogą agencje ratingowe (największe na świecie to S&P, Moody's oraz Fitch Ratings), które specjalizują się w sprawdzaniu wiarygodności finansowej instytucji emitujących obligacje i ocenianiu ich pod kątem ryzyka inwestycyjnego. Taka ocena – inaczej rating – jest publicznie dostępna. Większość polskich obligacji korporacyjnych nie ma jednak nadanego ratingu.

Ci emitenci, którzy są uznawani za niezwykle solidnych, mogą zaoferować niskie oprocentowanie. Spółki, które uchodzą za ryzykowne, aby znaleźć nabywców na swoje papiery, muszą zaoferować o wiele wyższe oprocentowanie (rzędu nawet 10 proc. rocznie). Wysokodochodowe obligacje o ratingu poniżej poziomu inwestycyjnego (od BB do D – według agencji Fitch Ratings oraz BBB według Standards&Poor's) w żargonie finansistów nazywane są „obligacjami śmieciowymi" lub „obligacjami tandetnymi". Mogą one dać sporo zarobić, ale mogą też wiązać się z ryzykiem utraty części lub całości zainwestowanego kapitału.

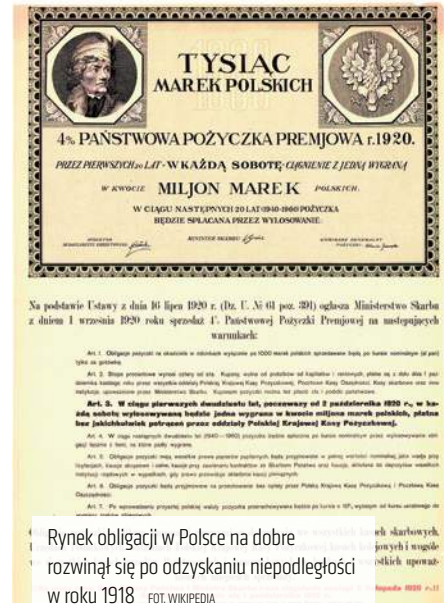
TYSIĄC MAREK POLSKICH

4% PAŃSTWOWA POŻYCZKA PREMJOWA r. 1920.

PRZEZ PIERWSZYCH 20 LAT - W KAŻDĄ SOBOTĘ CIĄGNIENIE Z JEDNĄ WYGRANĄ

W KWOCIE MILJON MAREK POLSKICH.

W CIĄGU NASTĘPNYCH 20 LAT (1940-1960) POŻYCZKA BĘDZIE SPŁACANA PRZEZ WYLOSOWANIE.

Rynek obligacji w Polsce na dobre rozwinął się po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 FOT. WIKIPEDIA

Oczywiście, nawet najwyższy rating nie daje gwarancji wypłacalności. W historii zdarzało się bowiem, że nawet spółki ze świetnymi ratingami niespodziewanie bankrutowały. Jedna z największych światowych agencji ratingowych S&P utrzymywała najwyższy rating (AAA) dla produktów amerykańskiego banku Lehman Brothers jeszcze na trzy dni przed jego bankructwem we wrześniu 2008 r. i wybuchem globalnego kryzysu finansowego. Podobne wpadki zdarzały się też pozostałym agencjom. W Polsce na rynek obligacji komercyjnych wpłynęła afera związana z papierami spółki GetBack. Wielu inwestorów, którzy je kupili, poniosło dotkliwe straty.

Aby zmniejszyć ryzyko, należy pamiętać o dywersyfikacji portfela obligacji – zgodnie z zasadą „nie wkładaj wszystkich jaj do jednego koszyka", inwestując w obligacje przedsiębiorstw, warto kupować papiery różnych emitentów. Możemy również zdecydować się na zakup jednostek uczestnictwa w funduszach inwestycyjnych, które pieniądze lokują w bezpieczne rządowe papiery dłużne lub w bardziej ryzykowne obligacje korporacyjne. Fundusze inwestycyjne pobierają opłatę za zarządzanie oszczędnościami oraz opłatę dystrybucyjną. Warto też pamiętać, że historyczne wyniki (stopy zwrotu), które osiągnął dany fundusz w przeszłości, nie gwarantują osiągnięcia podobnych rezultatów w przyszłości.

Jan Pieniążek

eprasa.pl 50a923b935

Wiesław Chełminiak

Ani mądrzy, ani piękni. Za życia byli pośmiewiskiem, po śmierci uczyniono z nich popkulturową broń masowego rażenia. Panie i panowie, poznajcie brytyjskich monarchów!

Króliczki królowej

Wyspiarze słyną z sarkastycznego poczucia humoru, więc oglądając filmy i seriale o swych władcach, muszą w skrytości ducha pękać ze śmiechu. Miernota triumfuje. Cóż z tego, że sąsiednie kraje szczycą się królami i cesarzami wybitnymi, z barwnymi biografiami pełnymi wzlotów i upadków? Świat nic o nich nie wie. A o nudziarzach z Buckingham Palace, politycznych zerach ubezwłasnowolnionych przez własnych poddanych z każdym rokiem wie coraz więcej.

Dawnych angielskich monarchów zwykle portretuje się w konwencji „Kronik królewskich" Szekspira. Cień geniusza ze Stratfordu pada na produkcje opowiadające o epoce Tudorów. Koktajl dworskich intryg, seksu oraz przemocy szybko i skutecznie uderza do głów. Powiedzmy sobie szczerze: dla w miarę sprawnego scenarzysty popełnienie fabuły o Henryku VIII i jego sześciu żonach to żaden wysiłek.

Samograjem jest też historia Elżbiety I zmagającej się z wewnętrznym i zewnętrznym zagrożeniem. No, chyba że zaaplikuje się widzom końską dawkę feminizmu (w „Marii, królowej Szkotów" to źli do szpiku kości mężczyźni prowokują konflikt kuzynek, którym marzą się pokój i wszechogarniająca tolerancja).

ANGIELSKI PACJENT

Szekspirowskie patenty zawodzą w przypadku postaci nijakich, a tacy właśnie od 300 lat z okładem zasiadają na brytyjskim tronie. Poddani coraz większej kontroli rządu i parlamentu, mają symbolizować jedność państwa oraz wierność wyspiarskiej tradycji. Wychodzi to im średnio, gdyż z pochodzenia i obyczajów są cudzoziemcami. Jak sprawić, by najbardziej mieszczańscy władcy Europy mimo wszystko dali się lubić? Odpowiedzi udzielają filmy typu „Cztery wesela i pogrzeb", których bohaterowie popełniają gafy, są mało rozgarnięci, czasem wręcz żałośni, lecz właśnie owe niedoskonałości sprawiają, że kibicujemy ich wysiłkom.

Zaczęło się od ekranizacji sztuki „Szaleństwo króla Jerzego". Monarcha, cierpiący na porfirię, powodującą okresowe zaburzenia psychiczne, rozpaczliwie próbuje zachować godność i resztki autorytetu. Następca tronu, pajac co się zowie, dąży do ubezwłasnowolnienia ojca i ustanowienia regencji.

Odtwórca roli tytułowej – Nigel Hawthorne – i grająca jego żonę Helen Mirren zgarnęli masę zasłużonych wyróżnień, z nominacjami do Oscarów na czele.

Walka z własnymi słabościami stała się odtąd kluczem do ekranowych biografii koronowanych brytyjskich głów. I przy okazji wysokooktanowym paliwem niejednej aktorskiej kariery.

Jerzy III zmagał się z kaftanem bezpieczeństwa, Jerzy VI – z jąkaniem. Z odsieczą nadciąga australijski logopeda, który lekce sobie waży dworską etykietę, lecz jego kontrowersyjne metody doprowadzą do pożądanego przełomu. Jako mówca monarcha nie przewyższy Hitlera ani Mussoliniego, lecz nabierze pewności siebie, jakże potrzebnej Brytyjczykom w ciężkich czasach II wojny światowej i demontażu imperium. Ów epizod (ponoć z palca niewyssany) stał się kamieniem węgielnym wycenionego na cztery Oscary komediodramatu „Jak zostać królem" Toma Hoopera.

SŁODKI PTAK MŁODOŚCI

O wiele większym wyzwaniem dla scenarzystów jest prababka jąkały, Wiktoria, w dość zgodnej opinii historyków uosobienie przeciętności. W takim przypadku można oczywiście pójść na rympał: zamiast ociężałej umysłowo dewotki pokazać bystrą i urodziwą nastolatkę, zakochaną od pierwszego spojrzenia w ubogim, lecz

eprasa.pl 50a923b935

„Faworyta" to komediodramat na wskroś feministyczny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Anny

godnym zaufania księciu. Zachwytu krytyków raczej się w ten sposób nie wzbudzi, lecz dozgonną wdzięczność amatorek kostiumowych baśni z pewnością. Reakcje na „Młodą Wiktorię" z Emily Blunt i serial „Wiktoria" z Jenną Coleman w rolach głównych mówią same za siebie.

Za młodu prawie każdy się dobrze zapowiada, jednak kino zdołało odczarować nawet Wiktorię seniorkę, nienadążającą za zmianami w świecie i pogrążoną w permanentnej żałobie. Spora w tym zasługa Judi Dench, aktorki im starszej, tym lepszej. W filmie „Jej Wysokość Pani Brown" Johna Maddena zagrała władczynię, odżywającą w towarzystwie szorstkiego stajennego ze Szkocji. W bardziej humorystycznym „Powierniku królowej" Stephena Frearsa spoufala się z hinduskim przybłędą, który okaże się patologicznym kłamczuchem. Skandal? Ależ skąd! Czyż pozbawiona prywatności, odizolowana od zwykłych ludzi kobieta nie ma prawa do odrobiny szaleństwa?

Podobną metodę ocieplania wizerunku zastosowano wobec miłościwie nam panującej Elżbiety II. W „Randce z królową", będąc jeszcze podlotkiem, wyrywa się z pałacu, by razem z narodem (a dokładniej z pewnym przystojnym kapralem) świętować koniec wojny. W „Królowej" stawia opór fali narodowej histerii po śmierci Diany. Przez moment może się wydawać, że Brytyjczycy zechcą posłać Windsorów na śmietnik historii. Jednak to tylko pozór. Tłumowi wystarczy, że kostyczna Elżbieta okaże trochę szacunku cieniom synowej.

POLITYCY JAK KOKOTY

W jakich okolicznościach brytyjskiej monarchii założono smycz i kaganiec? Eksperci twierdzą, że stało się to na początku XVIII w., za panowania Anny Stuart. Polityka nie była jej pasją, co wykorzystali ambitni przywódcy wigów i torysów. Na co dzień skłóceni, zgodzili się, że władza jest zbyt poważną sprawą, by zostawić ją kapryśnym dynastom. Gdy po śmierci Anny tron dostał się Hanowerczykom, parlamentarny system rządów okrzepł na tyle, że niepodobna go było obalić.

Razem z królową trafił do grobu świat dworskich intryg, imponujących karier i jeszcze gwałtowniejszych upadków, gdy chore ambicje, grzeszne namiętności oraz urażona duma wpływały na losy państwa. Stuartówna miała bowiem przyjaciółkę od serca – księżnę Sarah Churchill, która wspólnie z utalentowanym militarnie małżonkiem parła do konfliktu z Francją. Nie wszyscy parlamentarzyści dali się przekonać, że kosztowna wojna leży w interesie kraju, lecz królowa była głucha na ich argumenty. Do czasu, aż na dworze nie pojawiła się sprytna kuzynka Sarah – Abigail Hill.

Filmy kostiumowe bywają przyciężkie. Aktorzy, zwłaszcza ci pozbawieni teatralnego stażu, czują się wtedy elementem scenografii. To nie jest przypadek „Faworyty". Grecki reżyser traktuje angielską rzeczywistość sprzed trzech wieków z nieukrywaną ironią. Od pierwszych minut balansuje na krawędzi karykatury. Oto pałac jak ze snu otoczony morzem błota. Oto poważny polityk, który z powodu nadużycia pudru, różu i brokatu wygląda jak kokota. Oto premier – hazardzista organizujący wyścigi kaczek. Arystokraci klną jak szewcy. Kochający tatuś przegrywa córkę w karty. Najlepszym lekarstwem na podagrę są okłady z wołowiny. Grubiaństwo i prostackie rozrywki co rusz przezierają spod cienkiej warstwy podpatrzonej u Francuzów i Hiszpanów etykiety.

WSZYSCY PRZEGRYWAJĄ

Ten komediodramat w ośmiu aktach jest dziełem na wskroś feministycznym. Mężczyźni prowadzą wojny, obrzucają się wyzwiskami w parlamencie, lecz kluczowe decyzje zapadają w trójkącie Sarah – Anna – Abigail. Ta pierwsza jest najbardziej temperamentna. Gdy chce się zabawić, pokazuje palcem, który z panów ma ją poprosić do tańca. Potrafi wyrąbać prawdę w oczy nawet swej koronowanej przyjaciółce.

Abigail, dama, która upadła do poziomu służącej, patrzy, słucha i uczy się, jak prześcignąć księżną. Szczęście jej sprzyja: lider opozycji potrzebuje informatora i sojusznika na dworze. Królowa nigdy nie usłyszy od Abigail słowa prawdy, tylko same pochlebstwa. Może właśnie tego jej potrzeba?

Anna, choć już niemłoda i z coraz bardziej szwankującym zdrowiem, zachowuje się jak dziecko. Kompulsywnie obżera się słodyczami, hoduje króliki, jest sentymentalna, zazdrosna i przesądna. Wierzy w sny. Ma męża, który jednak nie zmieścił się w kadrze.

Trzy wybitne, równorzędne role. Przesłanie mało optymistyczne: grając o najwyższą stawkę, wcześniej czy później przegrywa się wszystko. Nie mając natury hazardzisty, obstawiam, że Oscara dostanie Olivia Colman: jej bohaterka jest najbardziej udręczona (Amerykańska Akademia Filmowa to lubi) i nosi koronę. Gdyby tak się stało, statuetkę powinny wręczyć angielskiej aktorce rodaczki: Helen Mirren i Judi Dench. Ewentualnie Harry i Meghan Windsorowie, co dobrze wpłynęłoby na oglądalność gali. Mogliby przy tej okazji zacytować Jerzego V, który rzekł do następcy: „Nasza rodzina została sprowadzona do najpodlejszej profesji świata. Zostaliśmy aktorami!".

★★★★★☆

REŻ. YORGOS LANTHIMOS
„FAWORYTA" („THE FAVOURITE")
WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Olivia Colman, Rachel Weisz, Emma Stone

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Krzysztof Masłoń

Pijmy zdrowie Rymkiewicza

Bardzo długo czekaliśmy na książkę Jarosława Marka Rymkiewicza „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze" finalizującą cykl „Jak podróżne żurawie"

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Pamiętam, że autor wymienił ten intrygujący tytuł, gdy rozmawiałem z nim dobrych kilka lat temu. Zresztą teraz w wydanym przez Evviva L'arte tomie w dwóch miejscach znalazłem informację, że pracuje nad nim w wieku 77 lat. Dzisiaj, gdy książka się ukazuje, Jarosław Marek Rymkiewicz ma lat 83.

Przedmiotem zainteresowania Rymkiewicza jest tutaj, tak jak w innych jego pracach poświęconych twórcy „Pana Tadeusza", Mickiewicz właśnie, a to znaczy wszystko, co jest z nim związane. Mogą to być np. bambosze. Wcześniej zwrócił na nie uwagę młody niemiecki poeta, Alfred Meissner. W 1847 r., gdy przyjechał do Paryża, miał lat 25. Miał radykalne poglądy, należał do tajnych stowarzyszeń, poszukiwała go ponoć austriacka policja. Dlaczego pojawił się w mieszkaniu polskiego poety przy rue du Boulevard pod numerem 12? To nie jest jasne. Być może zwrócił mu uwagę na Mickiewicza Heinrich Heine, którego też odwiedził w Paryżu, a na pewno był na wykładzie Micheleta w Collège de France, gdzie mógł nasłuchać się peanów o najwybitniejszym „twórcy Słowiańszczyzny". W każdym razie Mickiewicz mocno go rozczarował, a wizytę swą zrelacjonował wiele lat później, tuż przed swoją śmiercią w roku 1884. „Mogło też być i tak – zastanawia się Rymkiewicz – że po czterdziestu latach Meissner pamiętał już niewiele i wobec tego swoje wspomnienia trochę ubarwiał – dorzucając do nich różne zmyślenia. Ale bambosze nie zostały dorzucone".

Mógł się niemiecki poeta pomylić, wkładając w usta Mickiewiczowi zdanie, w którym jakoby prorokował oswobodzenie Polski przez męża, którego imię składać się miało z 41 liter. Panowie rozmawiali po francusku, może Meissner pomylił 44 z 41. Widział jednak to, co widział, a więc skrajną nędzę parterowe-

eprasa.pl 50a923b935

go mieszkania Mickiewicza i bambosze na jego nogach, które w pierwszym przekładzie niemieckiego tekstu na polski nazwane zostały „ogromnymi filcowymi trzewikami". Tymczasem Meissner pisał nie o obuwiu ogromnym, ale potwornym, a to jednak zasadnicza różnica. A jego „Filzschuhe" to mogą być filcowe buciki, filcowe bambosze, ale i filcowe kapcie. Polskie słowniki też nie bardzo wychwytują różnicę między bamboszami a kapciami, wiadomo tylko, że chodzi o miękkie domowe pantofle. I w tym miejscu wychodzi cała nasza bezradność wobec rzeczy, które – jak pisze Rymkiewicz – „niejasno poruszają się w przeszłości (jak potworne, upiorne, widmowe bambosze Mickiewicza po ceglanej posadzce przy rue du Boulevard) – bezgłośnie, bezszelestnie przesuwają się przed naszymi oczyma w jej duchowej przestrzeni – nie tylko nie potrafimy ich dobrze zobaczyć, ale nawet nie potrafimy ich dobrze nazwać".

WĘDROWIEC Z PŁACHTĄ NA GŁOWIE

Komu tego mało, ten niech pozostanie przy garderobie Mickiewicza. A konkretnie przy jego pończochach. W „Listach z podróży" Antoniego Edwarda Odyńca znajduje się jedna wzmianka o tym, że poeta je prał. Podróżowali oni wspólnie jesienią roku 1829 z Niemiec przez Szwajcarię do Włoch i 25 września dotarli (pieszo, bo droga została zniszczona przez powódź) do włoskiego miasteczka Chiavenna. Mickiewicz maszerował przykryty jakąś płachtą, którą dostał od któregoś z przewodników, Odyniec krył się pod parasolem, a towarzyszący im Anglik miał ceratowy płaszcz. To mógł być ciekawy widok – zauważa Jarosław Marek Rymkiewicz: Mickiewicz jako wędrowiec z płachtą na głowie w drodze do wieczności.

Do celu doszli kompletnie przemoczeni i wtedy „Mickiewicz, susząc się, powiedział Odyńcowi, że kto chodzi po deszczu, jest kutasem, kazał mu nawet tę maksymę zapisać w dzienniczku. »Kutas, kto podróżuje w jesieni«. Kutasa Odyniec oczywiście wykropkował".

Ze szczególną troską – co podkreślał autor „Listów z podróży" – Mickiewicz suszył swoje pończochy, które „najprzód, czytamy, w misce wody przepłukał". I tyle wiemy o praniu przez poetę pończoch. Oto Mickiewicz, „po przejściu drogi prowadzącej ze Splugen do Chiavenny (i po ułożeniu, w głowie, początku wiersza »Na Alpach w Splugen«: »Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę«), pochyla się nad miednicą i pierze swoje szare wełniane pończochy – raz w życiu, jedne pończochy przez całe życie, przez pięćdziesiąt siedem lat. To niemal tak, jak z tym wykropkowanym kutasem – wszystkie inne prania oraz wszystkie inne pończochy są wykropkowane".

MIŁY POMYSŁ OŻENKU

Przyjacielem Mickiewicza był wielki francuski historyk Jules Michelet, autor sławnych dzieł z „Histoire de la Révolution française" (1847) na czele. Wprawdzie ich drogi miały później się rozejść, a to za sprawą religijności polskiego poety niekorespondującej z materializmem francuskiego liberała i demokraty, niemniej zachowali dla siebie wiele osobistej sympatii. A były czasy, gdy ich nazwiska – obok trzeciego, Edgara Quineta, wymieniano jednym tchem jako wielką profesorską trójcę Collège de France. Na pewno był tam obecny Michelet na wykładzie inauguracyjnym Mickiewicza 22 grudnia 1840 r. Po latach w liście do syna poety, Władysława Mickiewicza, wspominał tamten dzień: „Jego zakrwawione oczy strzelały wzniosłymi błyskami, a my Francuzi tonęliśmy we łzach. Nigdy nie widziałem podobnych błysków i te pozostaną mi pamiętne na zawsze". „Jeśli wierzyć późniejszym raportom policyjnym – pisała w »Mickiewicz. Encyklopedia« Dorota Siwicka – miał o nim powiedzieć: »jest to człowiek, którego głowę otacza aureola, to więcej niż poeta, to prorok«. Podobnie jak Quinet przejął od Mickiewicza profetyczny styl prelekcji – badacze twórczości Mickiewicza datują początek przełomu w jego sposobie wykładania właśnie na koniec grudnia 1840".

A już 1 stycznia 1841 r. „wielka profesorska trójca" udała się na audiencję do króla Ludwika Filipa, co zresztą okazało się jednym wielkim nieporozumieniem, bo król wziął ich za delegację merów z miasteczek podparyskich. Profesorowie jednak zaprzyjaźnili się na dobre, zaczęli bywać u siebie, a w 1849 r. Michelet poprosił Mickiewicza, by ten został świadkiem na jego ślubie. Tak też się stało, uroczystość odbyła się 12 marca, a francuski uczony pojął za swą drugą żonę Athénaïs Mialaret.

Ze szkicu „Słój Micheleta" z nowego Mickiewiczowskiego tomu Jarosława Marka Rymkiewicza dowiadujemy się, że „Michelet był rówieśnikiem Mickiewicza, miał więc wówczas, kiedy ten miły pomysł ożenku z piękną i młodą damą przyszedł mu do głowy, pięćdziesiąt jeden lat. To, że francuski historyk ożenił się w tym wieku (może trochę za późno) i zaraz zrobił młodej żonie dziecko (z fatalnym skutkiem), wcale nas nie dziwi, pewnie dlatego, że to nie nasza sprawa. Ale co byśmy pomyśleli i co byśmy powiedzieli, gdyby Mickiewicz, zaraz po śmierci Celiny, Mickiewicz owdowiały, pięćdziesięciosiedmioletni ożenił się z Zofią Szymanowską, przyrodnią siostrą Celiny, wówczas (w roku 1855) trzydziestoletnią. Albo gdyby ożenił się z Ksawerą Deybel – rudowłosą Księżniczką Izraelską, czyli (w ujęciu hierarchicznym) Duchem Najwyższym. I gdyby zaraz, jeszcze przed śmiercią w Konstantynopolu, jednej lub drugiej, Zofii lub Ksawerze, zrobił dziecko – swoje dziecko siódme z kolei (nie licząc nieślubnych). To nie zostałoby dobrze przyjęte – i to nie tylko przez ówczesnych przyjaciół i znajomych Mickiewicza, przez Andrzeja Towiańskiego, Zygmunta Krasińskiego, Józefa Bohdana Zaleskiego, Stefana Witwickiego, całą rodzinę książąt Czartoryskich oraz wszystkich księży Zmartwychwstańców – ale także przez nas. Po coś ty jej to dziecko zrobił, co ci do łba wpadło – tak byśmy myśleli".

WCZEŚNIAK W SPIRYTUSIE

„Po coś ty jej to dziecko zrobił?" – i jak nie kochać literaturoznawcy, który stawia takie pytania! A z dalszego ciągu szkicu o „Słoju Micheleta" dowiadujemy się rzeczy niesamowitych; wręcz przenosimy się w krainę horroru. Otóż w lipcu 1850 r. pani Michelet urodziła synka, niestety za wcześnie i dziecko zmarło. Nie mógł się z tym pogodzić jej małżonek, który – jak pisał Władysław Mickiewicz – „przez długie lata przechowywał je [swoje dziecko] w spirytusie. Słój ten stał na kominku w sypialnym pokoju, gdzie przyjmował przyjaciół".

„O wcześniaku w spirytusie, jeśli widywali go przyjaciele Micheleta, muszą chyba informować francuskie biografie tego historyka – pisze Jarosław Marek Rymkiewicz. – Ale nie warto tego sprawdzać, a ciekawi mnie tu co innego, a mianowicie reakcja Mickiewicza, gdy wchodzi do sypialni, gdzie Michelet »przyjmował przyjaciół«, i widzi, między książkami i papierami, leżącymi

eprasa.pl 50a923b935

na kominku, to dziecko pływające w słoju. Kiedy słojem się potrząśnie, wtedy dziecko otwiera oczy (otwiera – zamyka) i zaczyna się poruszać. Można nawet uznać, że nurkuje, krąży, pływa, to w górę, to w dół. Można nawet uznać, że ożywa, trochę żyje. Czy Michelet pozwalał przyjaciołom, zaproszonym gościom, potrząsać słojem? W jednym ręku słój, a w drugim kieliszek bordeaux".

Jak mógł zachować się poeta z Nowogródka rodem, widząc po raz pierwszy ten słój? – zastanawia się Rymkiewicz. „Czy wybuchnął gniewem? Czy wybiegł z mieszkania, trzaskając drzwiami i biegł potem przez Ogród Luksemburski, wymachując cylindrem, ciężko dysząc, coś do siebie mówiąc, coś krzycząc, po polsku albo po francusku? Jego tam krzyk pod kwitnącymi kasztanami – pod białymi stożkami, z których osypywały się pierwsze pożółkłe płatki. Czy wzruszył ramionami i wyszedł z sypialni, nie chcąc, mimo zachęcających gestów Micheleta, przyglądać się poruszeniom, ruchowi w słoju, życiu w słoju – w ogóle nie chciał na to patrzeć? Ale może ludzie XIX wieku mniej się takimi rzeczami przejmowali (niż my) i dziecko pływające w spirytusie (taki był duch epoki) nie budziło jakiegoś szczególnego zainteresowania". I na koniec mnoży autor jeszcze pytania. Michelet zmarł w 1874 r.: Czy słój stał na kominku 24 lata? Czy zmieniano w nim spirytus? Czy zmieniano też słój – jeśli dziecko rosło? Zresztą wszystko jedno. Mam tu na myśli to, że tym niekontrolowanym siłom natury było wszystko jedno".

PIÓRA UTEMPEROWANE

To truizm z mojej strony, ale w trakcie czytania „Adama Mickiewicza odjeżdżającego na żółtym rowerze" co rusz nasuwa się nie podejrzenie, ale pewność, że tym, czym najbardziej kieruje się Jarosław Marek Rymkiewicz w swoim pisarstwie, jest ciekawość. To ona każe mu w rozdziale poświęconym kałamarzom, atramentom i piórom, których używał poeta, zachodzić w głowę, jak Mickiewicz owe pióra zdobywał. „To jest od lat powód mojego wielkiego zaniepokojenia – wyznaje – czy pióra gęsie to było coś, co się wówczas kupowało w sklepie, czy coś, co się wyrywało z przypadkowego gęsiego ogona, a potem, po wyrwaniu, przycinało (ostrzyło) nożykiem". Ze „Wspomnień […] opowiedzianych najmłodszemu bratu", córki poety, Marii Goreckiej, wynika np., że zajęciem Henryka Służalskiego było „temperować ojcu pióra, które doskonale przypadały do ręki". Lecz skąd je brał? „Czy Służalski – stawia pytanie badacz – chodził do sklepu papierniczego, czy szukał gdzieś na Batignolles podwórka, po którym spacerowały gęsi? Zakradał się, zaczajał i wpadał w sam środek gęgania? Widzimy go, jak ucieka, z gęsią pod pachą, ścigany przez francuskich policjantów w kierunku furtki przy rue du Boulevard". A jeśli chodzi o atrament, to poeta czynił z niego pożytek, nie tylko pisząc swoje nieśmiertelne strofy. W liście Józefa Bohdana Zaleskiego do Władysława Mickiewicza z 1875 r. nadawca opowiadał, „jak to poeta, w czasie pisania poematu usuwał zeń, na prośbę swoich przyjaciół, pewne jego fragmenty". Wśród tych przyjaciół był i Zaleski, który o tej autocenzurze tak opowiadał: „Najwięcej takich wykreśleń było przy Telimenie. Stefan Witwicki bił ostro na tę panią. Adam potakiwał mu, czując sam śliskie strony jej roli […]. Zgodził się na końcu na wyrzucenie wielu jej tyrad, zmazał o świecy w kominku, a historyę klucza i następstw zaczernił palcem umoczonym w atramencie, że wątpię, aby ją dziś jaki estetyk zdołał przeczytać".

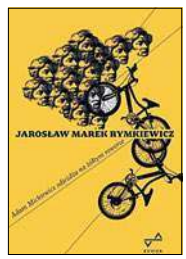

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ „ADAM MICKIEWICZ ODJEŻDŻA NA ŻÓŁTYM ROWERZE" EVVIVA L'ARTE

W KOZACKIM NAMIOCIE

Niektóre z opowieści o naszym wieszczu trudne są do uwierzenia, a jednak istnieją świadectwa choćby takiego rozstawiania namiotu w salonie mieszkania Mickiewiczów na drugim piętrze paryskiej Bibliothèque de l'Arsenal przy rue de Sully w roku 1855, późną wiosną czy latem, kilka miesięcy przed wyjazdem Mickiewicza na wschód i przed jego śmiercią w Konstantynopolu. Ten namiot, nazywany kozackim, rozbijał przyjaciel i sługa poety Henryk Służalski, a odbywały się w nim, można by rzec, próby tego, co niebawem rozegrać się miało nad brzegami Morza Czarnego. W książce „Kozaczyzna w Turcji", w której jest o tym mowa, niepewnego jednak autorstwa (może był to Michał Czajkowski, czyli Sadyk Pasza albo Ludwik Zwierkowski zwany Lenoirem), mówi się, że w namiocie Mickiewicz ze Służalskim „przyrządzali sobie siodła, strzelby, sakwy i ubiory, a wszystko nosiło cechę prostoty, potrzeby, a nigdy wygódek lub ozdoby". O mon Dieu! – wzdycha Jarosław Marek Rymkiewicz – podsuwając nam obrazy Mickiewicza popluwającego na siodło i przecierającego je rękawem swojej starej kapoty, następnie celującego ze sztucera w głowę Służalskiego czy przyglądającego się temu wszystkiemu synka Władzia, a potem odbierającego talerze z obiadem od Zofii Szymanowskiej, która „wchodząc do namiotu, odwraca głowę, nie chce patrzeć, bo się wstydzi – może nawet połyka łzy". Byśmy scenę tę widzieli w całej okazałości, to nie można przeoczyć wiszącej nad namiotem chorągwi kozackich pułków sułtana, uszytą przez córkę Mickiewicza, Marynię. Cóż, nie da się ukryć, że – jak pisze Rymkiewicz – „stary Mickiewicz, siedzący w namiocie rozbitym w salonie i tęskniący tam »do ruchu, do działania« oraz do ścigania litewskich zajączków albo afrykańskich gazeli czy innych antylop, i udający (przed dziećmi swoimi i przed samym sobą), że jest Kozakiem-Tatarem-Beduinem, to nie jest wcale (przynajmniej dla wielbicieli tego poety) miły widok". I konstatuje autor „Mickiewicza odjeżdżającego na żółtym rowerze", że romantyzm w owym 1855 r. to już były jakieś nędzne resztki, był to romantyzm sklerotyczny. I z tej romantycznej sklerozy wyprowadza „nonsensowny i śmieszny pomysł wyprawy na Kijów, Kraków i Warszawę na czele żydowsko-kozackiego wojska", na który wpadł Mickiewicz, a który wytłumaczyć uda się jedynie romantyczną miażdżycą czy – jak kto woli – agonią.

I to wszystko pisze człowiek, który o ukochanej poezji Mickiewicza wie wszystko i dlatego pewnie tak często zastrzega się, że niczego nie jest pewien. I dlatego nie ukrywa błędnych działań poety ani wątpliwych zauroczeń, jego dziwactw i aberracji, szaleństw i fantasmagorii. I dlatego właśnie po lekturze książki „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze", mając w pamięci „Żmut" i „Baket", „Kilka szczegółów" i „Do Snowia i dalej" oraz „Głowę owiniętą koszulą", cały ten wielki Mickiewiczowski cykl, nie pozostaje nic innego, jak lekko tylko zmieniając „Pieśń filaretów" Antoniego E. Odyńca, zacytować ją:

Pijmy zdrowie Rymkiewicza,
On nam słodkich chwil użycza.
Wszelkie troski
Koi boski
Lutni jego dźwięk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, Poczta Polska

eprasa.pl 50a923b935

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wożąc Dona Shirleya

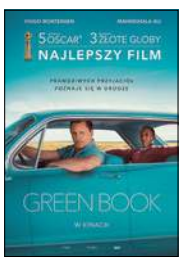

★★★★★★

REŻ. PETER FARRELLY
„GREEN BOOK"
USA 2018

wyst. Viggo Mortensen, Mahershala Ali, Linda Cardellini

Kto by pomyślał, że Peter Farrelly, autor „Głupiego i głupszego", na stare lata zacznie reżyserować krzepiące fabuły w duchu Franka Capry? A może „Green Book" to tylko jednorazowy kaprys?

W amerykańskim kinie jednym z najzabawniejszych objawów politycznej poprawności jest deficyt ciemnoskórych łajdaków. A jeśli już się jakiś trafi, to musi mieć przeciwwagę w postaci dobrego i mądrego Murzyna. Jeszcze paradniej wygląda to w policyjnych kryminałach. W dwuosobowym teamie stróżów prawa gorzej wykształconym, bardziej brutalnym i podatnym na korupcję z reguły jest białas. USA to wielki kraj, zdarzają się tam rzeczy wręcz niewiarygodne, ale znaleźć w roku 1962 duet złożony z czarnego inteligenta i makaroniarza z dołów społecznych, to naprawdę coś. Nawet uwzględniając fakt, że historia przyjaźni obu panów, ujawniona pół wieku później, została mocno podrasowana na użytek książki, a jeszcze bardziej filmu.

Złośliwości na bok – od tej pory „Zielona książeczka" nie będzie się już kojarzyć z manifestem, spłodzonym na życzenie pułkownika Kaddafiego, lecz z dobrymi wibracjami. Dwóch facetów jedzie cadillakiem. To wielki samochód, ale dla nich jakby za ciasny. Za kierownicą Tony „Warga" – cwaniak z Bronksu, palacz i żarłok, który na jednym posiedzeniu wtrzącha 26 hamburgerów. Dumny z tego, że umie wstawiać kit i obronną ręką wychodzić z każdej opresji. Po prostu duchowy brat cwaniaka warszawiaka.

Tony, chwilowo bezrobotny, nie bez wahań przyjmuje ofertę ekstrawaganckiego pianisty, zwanego Doktorem. Zgadza się zostać kierowcą i ochroniarzem podczas trasy koncertowej w byłych stanach niewolniczych.

Maestro pomieszkuje w apartamencie nad Carnegie Hall, zdarza mu się występować w Białym Domu, lecz ma też sporo szkieletów w szafie. Słabość do markowych alkoholi to najniewinniejsza z jego słabości. Chociaż wyalienował się ze swojej społeczności, to biali akceptują go wyłącznie jako wirtuoza. Poza salą koncertową Don Shirley jest pariasem, którego nie wpuszcza się do dobrej restauracji, by nie psuć konsumentom apetytu.

Rzecz jasna, że tournée będzie obfitować w niezaplanowane przygody, lecz kiedy dobiegnie końca, narodzi się piękna męska przyjaźń. Panowie celująco wypełnią misję osłabiania rasizmu na południu Stanów Zjednoczonych. Tony przekona Doktora do fast foodu i muzyki tanecznej. On z kolei pomoże mu pisać listy do żony.

Nawet jeśli akademicy zlekceważą poświęcenie Mortensena, który od pizzy zrobił się kwadratowy, „Green Book" będzie telewizyjnym evergreenem, osobliwie w okolicach Bożego Narodzenia. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BRACIA SISTERS"

Mocno nietypowe przedsięwzięcie: western nakręcony przez Francuza według powieści Kanadyjczyka rozkochanego w literackim postmodernizmie (książkę Patricka deWitta w Polsce wydano w 2013 r.). Jacques Audiard („Prorok", „Imigranci", „Z krwi i kości") tym razem proponuje nam opowieść nieco lżejszą, nieco surrealistyczną historię z Dzikiego Zachodu, przyprawioną czarnym humorem i przemocą, niesioną mocnymi kreacjami aktorskimi. Oglądanie duetu John C. Reilly i Joaquin Phoenix to czysta przyjemność. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Bracia Sisters", reż. Jacques Audiard, Francja/USA 2018, wyst. John C. Reilly, Joaquin Phoenix, Jake Gyllenhaal***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Gdyby ulica Beale umiała mówić", reż. Barry Jenkins, USA 2018***
- ***„Kafarnaum", reż. Nadine Labaki, USA/Liban 2018***
- ***„Ułaskawienie", reż. Jan Jakub Kolski, Polska/Czechy 2018***
- ***„Kobiety mafii 2", reż. Patryk Vega, Polska 2019***

eprasa.pl 50a923b935

100 minut okupacji

Trzej panowie namawiają czwartego do przechowania nielegalnych wydawnictw. Zaklęcia: „Bądź patriotą i mężczyzną" nie robią jednak wielkiego wrażenia na gospodarzu, którego bardziej niepokoi los egzotycznych roślin niż uciśnionej ojczyzny. Jego połowica, czując pismo nosem, wyrzuca konspiratorów za drzwi, strasząc ich, że poskarży się ich żonom. Potem jest już mniej zabawnie, bo gestapo z wrogami III Rzeszy się nie cacka. Ogrodnik – pantoflarz – może się zrehabilitować, przyjmując pod swój dach pozbawione środków do utrzymania kobiety i dzieci patriotów.

Z odsieczą nadciąga też przystojny lekarz, co wywoła pewne komplikacje natury sercowej.

★★★★★★

REŻ. JAN HŘEBEJK
„OGRÓD RODZINNY. PRZYJACIEL" („ZAHRADNICTVÍ: RODINNÝ PŘÍTEL")
CZECHY 2017

wyst. Anna Geislerová, Ondřej Sokol, Martin Finger

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że duet Hřebejk/Jarchovský po raz kolejny wystawia nieśmiertelny czeski spektakl pt. „Dlaczego żywy pies jest lepszy od martwego lwa". Siedemnaście lat po komediodramacie „Musimy sobie pomagać" dostaliśmy fabułę ulepioną niemal z tych samych składników.

Z ostatecznymi wnioskami lepiej się jednak wstrzymać. „Przyjaciel" to zaledwie pierwsza część trylogii, która z kolei jest prequelem filmu „Pod jednym dachem" z roku 1999. Scenarzysta zaklina się, że natchnienie czerpał z historii własnej rodziny i zapowiada, że ciąg dalszy będzie mroczny. W to drugie trudno uwierzyć, ale pożyjemy – zobaczymy. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŚWIAT JEST IZRAELEM

Czterech przyjaciół, weteranów izraelskiej armii (ale któż w tym kraju nie jest jej weteranem?), jednoczy po latach siły i przezwycięża dawne urazy, by wspólnie rozwiązać zagadkę zniknięcia narzeczonej jednego z nich. Yaeli oficjalnie zginęła w wypadku samochodowym w kolumbijskiej dżungli. Czy to możliwe, że ocalała?

★★★★★★

SEZON 1
„WHEN HEROES FLY"
IZRAEL 2018, DYSTR. NETFLIX

wyst. Tomer Capon, Ninet Tayeb, Michael Aloni

Książka oparta jest luźno na powieści Amira Gutfreunda i stanowi kolejny po „Zakładnikach" i „Hatufim" (pierwowzór „Homelandu") dowód na to, że nie trzeba potęgi Hollywoodu, by stworzyć niezły serial. „When Heroes Fly" jest co prawda mniej udany od wspomnianej konkurencji, bo fabuła, zwłaszcza w drugiej połowie, jest mocno naciągana, ale za to sprawdza się jako wehikuł izraelskiej polityki edukacyjnej. Widz dowiaduje się więc, jak ważne jest uczenie dzieci w szkołach historii, że obrona kraju z bronią w ręku to zaszczytny obowiązek, więzi zadzierzgnięte na polu walki są najlepszym spoiwem przyjaźni, a Izraelczyka zrozumie tylko Izraelczyk. Uczmy się od najlepszych.

W KOSMOSIE NIE SŁYCHAĆ ZIEWANIA

To nie jest oryginalny serial Netflixa, lecz zakup produkcji amerykańskiego kanału SyFy. Nowości tak słabej powinna wstydzić się każda stacja. Rok 2093, Ziemianie szukają sposobu na opuszczenie nawiedzanej przez plagi planety. Statek „Nightflyer" wyrusza na spotkanie Obcych – czy Volcrynowie pomogą nam opuścić Układ Słoneczny? Serial inspirowany nowelą George'a R.R. Martina okazuje się wyjątkowo nudnym horrorem, w którym zmiksowano rozmaite motywy, z żadnego nie robiąc dobrego użytku. Facet z siekierą, potężny telepata, zbuntowany „duch w maszynie", bogacze i ich złowrogie knowania, obcy wirus wymykający się spod kontroli itd. Wszystko to jest podane w mało emocjonujący sposób. Co gorsza, finał niczego nie rozwiązuje, a widz czuje, że chyba zmarnował 10 godzin życia. Macie wybór, więc nie popełniajcie tego błędu. ©℗

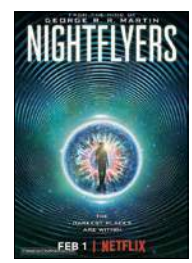

★★★★★★

SEZON 1
„NIGHTFLYERS"
USA 2018, DYSTR. NETFLIX

wyst. Eoin Macken, David Ajala, Jodie Turner-Smith, Gretchen Mol

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „RIOT: CIVIL UNREST"

★★★★★★

Od zamieszek we Włoszech do arabskiej wiosny. Siła mediów społecznościowych, kamery rejestrujące każdy ruch, megafony, gaz łzawiący, koktajle Mołotowa. To nie telegraficzny skrót niepokojów społecznych na świecie, ale scenariusz gry, która symuluje i wprowadza tło historyczne do największych rozruchów ulicznych ostatnich lat. „Riot: Civil Unrest" to strategia czasu rzeczywistego, w której możemy pokierować zarówno pacyfikującą protestujących policją, jak i nimi samymi. Grafika w formie pixel art przypomina produkcje retro i dobrze wprowadza w klimat. Minusy? Duża chaotyczność rozgrywki, w sumie – ciekawostka. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategia*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE/Android/iOS*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Stimunation/Merge Games*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 50a923b935

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bezczelny crapule Miłosz

Zapomnianą postać Wacława A. Zbyszewskiego, wybitnego polskiego publicysty emigracyjnego, wieloletniego współpracownika londyńskich „Wiadomości", paryskiej „Kultury", Głosu Ameryki czy Radia Wolna Europa, przypomina opublikowana właśnie jego korespondencja z redaktorem „Kultury", a jego dobrym znajomym, jeśli nie przyjacielem – Jerzym Giedroyciem. Listy te potwierdzają tezę, że Zbyszewski przynależał do kresowej szkoły międzywojennego pisarstwa politycznego, ale równolegle zasadniczo różnił się od np. Ksawerego Pruszyńskiego, ponieważ był nie tylko bezkompromisowym rusofobem, lecz także – co wywoływało irytację Giedroycia – ukrainofobem.

Na szczęście niewyłącznie o polityce pisywali do siebie przez prawie pół wieku obaj panowie. Także o literaturze. Bardzo wysoko cenił Wacław A. Zbyszewski Józefa Mackiewicza, ale wyłącznie prozę artystyczną, za nic mając jego poglądy polityczne. O opowiadaniu „W poszukiwaniu skarbu" pisał, że to „najlepsza nowela w języku polskim od czasów Sienkiewicza, na poziomie Tołstoja, Gogola i Maupassanta. Arcydzieło".

Wiele lat musiało za to minąć, by – choć po części – przekonał się do Miłosza (i to jako krytyka!). Po tym, gdy poeta pozostał na Zachodzie, wieszał na nim psy. W liście do Giedroycia z 19 lipca 1951 r. pisał: „Przez wzgląd na Ciebie – i na tyle dobrodziejstw od Ciebie doznanych, nie mogę powiedzieć publicznie to, co o tym M[iłoszu] sądzę – ale nie mogę przykładać ręki do reklamy, którą potępiam i której w mym głębokim przekonaniu będziesz kiedyś głęboko żałował. Jak Ci już pisałem – nie jestem fałszywy: moc ludzi w oczy Ci prawi komplementy z powodu M[iłosza], a po powrocie do Londynu albo w listach gada

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

o »agenturze«, »skandalu« itd. Zawsze pragnę uniknąć sytuacji dwuznacznych: jak zerwałem stosunki z Wragą, zrobiłem to otwarcie (notabene jego Lunia, która tu rządzi, trąbi wszędzie, że już nie Miłosz, ale cała »Kultura« jest agenturą bolszewicką na żołdzie ambasady itd.), więc i teraz chcę kategorycznie stwierdzić, że będę dalej twierdził, że M[iłosz] jest za głupi, by być agentem, ale poza tym jest bezczelny crapule [fr. łajdak], fałszywy, przewrotny i zły, człowiekiem bez przekonań, bez wychowania, bez godności i w dodatku absolutnym beztalenciem, nudnym grafomanem i zupełnym ignorantem i prymitywem". Uff…

Miał jednak Zbyszewski stuprocentową rację, wytykając Giedroyciowi, że jeżeli na łamach jego „Kultury" „Mieroszewski broni Miłosza (słaby to adwokat), to powinien przynajmniej zacytować nazwisko autora, z którym polemizuje, przecie Sergiusz Piasecki jest kimś, nie Frycem w rodzaju Mieroszewskiego […]". Chodziło tu o reperkusje głośnego artykułu Piaseckiego w „Wiadomościach" pt. „Były poputczik Miłosz", po którym Giedroyc zorganizował zbieranie podpisów w obronie byłego komunistycznego dyplomaty, a przyszłego noblisty.

Dzisiejszych salonowych mędrców skręca pewnie ze złości, gdy czytają lekceważące słowa Zbyszewskiego pod adresem Gombrowicza i pochwały dla Marii Dąbrowskiej, a z Giedroyciowych faworytów: dla Jerzego Stempowskiego i Marka Hłaski.

A wracając do Gombrowicza, nie mógł się nadziwić wielkiej atencji Kota Jeleńskiego dla autora „Ferdydurke" i… nie tylko dla niego. Powołując się na matkę Kota i swoją kuzynkę Renę Jeleńską, informuje konfidencjonalnie Giedroycia, że „Kocik zakochał się nieprzytomnie od dwóch miesięcy w jakiejś starej kokocie, o 15 lat starszej od niego, mieszkającej stale w Paryżu, i zmiana pobytu jest dla niego przede wszystkim sposobem połączenia z ukochaną. Rena jest przerażona tym collage'em i obawia się, nie bez słuszności, że w wypadku przeniesienia się Kocika do Paryża [z Rzymu – przyp. K.M.] skończy się jego małżeństwem z tą starą kurwą. Mam wrażenie, że te obawy nie są bezzasadne. Sądzę więc, że niewiele będziecie mieli korzyści z współpracownika, zajętego po uszy jakąś starą zdzirą, a po drugie wątpię, byście mieli ochotę przykładać ręki do związku, który rzeczywiście nie wygląda obiecująco". Oczywiście „starą zdzirą" była Leonor Fini, włoska malarka pochodzenia amerykańskiego, towarzyszka życia Konstantego Jeleńskiego „Kota", skądinąd znanego homoseksualisty.

Nie polecam jednak „Listów" Zbyszewskiego i Giedroycia li tylko jako źródła plotek i pikantnych informacji, choć obaj panowie je lubili. Ta książka nade wszystko wzbogaca wizerunek redaktora „Kultury" i dostarcza niezwykle ciekawych informacji o życiu Wacława A. Zbyszewskiego, dotąd mało rozpoznanym i wciąż jeszcze pod wieloma względami tajemniczym. ©℗

★★★★☆

JERZY GIEDROYC, WACŁAW A. ZBYSZEWSKI „LISTY 1939–1984" BIBLIOTEKA „WIĘZI" 2018

eprasa.pl 50a923b935

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Skandal z Goebbelsem w tle

Dzisiaj jestem na zastępstwie, ale w słusznej sprawie. Wiem, że publikacje historyczne zwykle rekomenduje państwu kilkanaście stron dalej Piotr Zychowicz (proszę też nie zapominać o naszym miesięczniku „Historia Do Rzeczy"), ale skandal jest jak najbardziej współczesny. A skoro współczesny i w dodatku związany z bieżącą polityką, to nic dziwnego, że pierwszy wsuwam palce między drzwi a futrynę.

Skandal nie ma nic wspólnego z bohaterem książki „Niemieckie życie". To wspomnienia sekretarki Josepha Goebbelsa, jeszcze jeden ciekawy dokument z ponurej epoki. Szczególnie interesujący, że z serca aparatu propagandy III Rzeszy. I oczywiście interesujące świadectwo stanu mentalnego tych Niemców, którzy w czasach Hitlera prosperowali, awansowali, o wszystkich złych rzeczach dowiedzieli się „dużo później" albo po prostu „po wojnie", o losie Żydów „nie wiedzieli nic", a wieści o tym, że przeciwników Führera się rozstrzeliwuje, nie robiły na nich większego wrażenia. Na ile to zapis ówczesnych nastrojów i prawdziwego stanu wiedzy, na ile spóźnione samousprawiedliwianie się – czytelnik wyrobi sobie opinię sam. Opowieść Brunhilde Pomsel to lektura, którą mogę mocno polecić zarówno zawodowym historykom, jak i czytelnikom amatorom.

Skandal dotyczy czego innego. Wspomnienia pani Pomsel opracowane zostały do druku i opatrzone wstępem tudzież posłowiem przez politologa (nie historyka – już to powinno nas zaalarmować) Thore'a D. Hansena. A ten najpierw wyzywa Trumpa od rasistów, potem informuje, że rządy w Polsce i na Węgrzech „dezintegrują demokratyczne systemy" oraz cytuje Andrzeja Stasiuka („Im bardziej się boimy, tym większych tchórzy wybieramy. Poświęcą oni wszystko, by władzy nie utracić"). W posłowiu znów bredzi o „destrukcji demokracji w Polsce" i stawia karkołomne tezy o tym, że współczesne prawicowe media przedstawiają muzułmanów i imigrantów tak, jak III Rzesza przedstawiała Żydów, i że w ogóle za sprawą faszyzmu, populizmu (oraz Trumpa, brexitu, Polski i Węgier) nadchodzi koniec świata Zachodu. Ja wiem, że od ubiegłego roku właścicielem Bellony jest spółka Dressler Dublin, ale jej prezesem jest Polak i pracownikami Polacy – redaktorami, tłumaczami, recenzentami. Jeśli nie wstyd im za ten stek pomówień firmowany uznaną marką Bellona, to może czas zacząć myśleć o wycofaniu się porządnych mediów z zauważania ich publikacji. ©℗

BRUNHILDE POMSEL, THORE D. HANSEN „NIEMIECKIE ŻYCIE" BELLONA 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Niepodległość – i co dalej? Ceniony historyk snuje opowieść o niezwykłych osiągnięciach, jakimi były stworzenie z trzech zaborów nowego państwowego organizmu oraz szybkie i sprawne położenie fundamentów pod rozwój II RP.

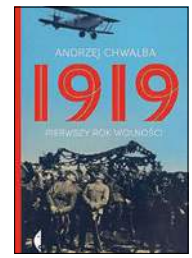

ANDRZEJ CHWALBA „1919. PIERWSZY ROK WOLNOŚCI" CZARNE

Wielu słyszało o dr. Mengele, niewielu o Victorze Capesiusie. Pracownik koncernu Farben, potem członek SS i „aptekarz z Auschwitz" jedną ręką rozdzielał cyklon B, drugą zagarniał żydowskie kosztowności. Oto jego historia.

PATRICIA POSNER „FARMACEUTA Z AUSCHWITZ" WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

„Dlaczego dzień może być krótszy niż godzina, a minuta dłuższa od dnia?" – zastanawia się amerykański naukowiec, argumentując, że nasze mózgi nie tylko mierzą czas, lecz także w pewnym sensie go kreują. Intrygująca lektura.

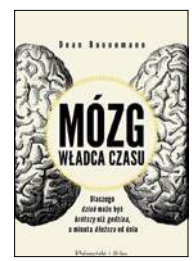

DEAN BUONOMANO „MÓZG, WŁADCA CZASU" PRÓSZYŃSKI

Jedna z najlepszych powieści Vonneguta znów w sprzedaży. Rzecz o końcu świata, sensie życia i niezwykłej antyreligii – bokononizmie. Wznowienie w twardej oprawie i nowej szacie graficznej (wydano już tak „Rzeźnię numer pięć"). ©℗

poleca Piotr Gociek

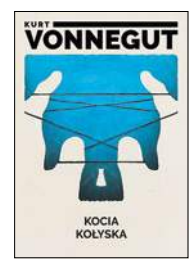

KURT VONNEGUT JR „KOCIA KOŁYSKA" ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
2. ***Dominik Szczepański „Czapkins. Prawdziwa historia Tomka Mackiewicza" (Agora) – opowieść o polskim alpiniście, który zginął na Nanga Parbat.***
3. ***Remigiusz Mróz „Nieodgadniona" (Filia) – drugi tom cyklu rozpoczętego powieścią „Nieodnaleziona", którego bohaterem jest Damian Werner.***
4. ***Bruce W. Cameron „O psie, który wrócił do domu" (Wydawnictwo Kobiece) – autor bestsellera „Był sobie pies" wraca na listę za sprawą ekranizacji.***
5. ***Katarzyna Puzyńska „Rodzanice" (Prószyński Media) – 10. tom serii o policjantach z Lipowa. Szybko poszło, pierwszy ukazał się w 2014 r.***

(Najchętniej kupowane tytuły w salonach Empik 21 stycznia–3 lutego 2019 r.)

eprasa.pl 50a923b935

Łukasz Żal (stoi) jest drugi raz nominowany do Oscara za zdjęcia do filmu Pawła Pawlikowskiego (siedzi za monitorem)

FOT. TOMASZ STERNICKI/FORUM

Szkiełko i oko

Ma 37 lat, w niedzielę przejdzie po najbardziej znanym czerwonym dywanie świata na galę, z której ma szansę wyjść z oscarową statuetką. Nawet jeśli jednak Oscara za „Zimną wojnę" nie otrzyma, to i tak Łukasz Żal jest już jednym z najbardziej znanych i utytułowanych polskich operatorów filmowych.

Niedawno w rozmowie w Polskim Radiu wspominał, że kiedy Paweł Pawlikowski miał z nim pierwszy raz współpracować przy „Idzie" w 2013 r., solidnie się przestraszył. Za kamerą stał wtedy doświadczony Ryszard Lenczewski, ale z powodów zdrowotnych ktoś musiał go zastąpić w trakcie prac nad filmem. Padło na Żala, ale reżyser nie był przekonany do współpracy z młodym operatorem. – Na początku był przerażony. Kiedyś wieczorem opowiedział mi, jak bardzo się bał. Szukał nawet innych operatorów – opowiadał Łukasz Żal w Polskim Radiu.

Szybko się jednak okazało, że obawy były bezpodstawne, a Ryszard Lenczewski ma przy „Idzie" godne wsparcie. To właśnie za zdjęcia do „Idy" Łukasz Żal po raz pierwszy został nominowany do Oscara.

Wtedy statuetki nie zdobył, ale kolejna współpraca z Pawlikowskim daje mu drugą na to szansę. Znakomitą wróżbą przed nadchodzącą galą jest uhonorowanie Żala nagrodą Amerykańskiego Stowarzyszenia Autorów Zdjęć Filmowych (ASC). To pierwszy w historii Polak, którego zdjęcia zdobyły to prestiżowe wyróżnienie. Wcześniej za kadry do „Zimnej wojny" Żal otrzymał Srebrną Żabę na Camerimage oraz był nominowany do nagrody Brytyjskiej Akademii Filmowej.

Łukasz Żal to absolwent Wydziału Operatorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Zaczynał od pracy z kamerą m.in. w niezbyt ambitnym serialu i krótkich filmach dokumentalnych. Przełomowy w jego karierze był rok 2013, w którym pracował nie tylko przy „Idzie", lecz także przy „Joannie" – filmie, który również został nominowany do Oscara (w kategorii najlepszy dokumentalny film krótkometrażowy).

„Jasne, że nagrody, zwłaszcza tak prestiżowe, cieszą, ale ten blichtr to tylko dodatek. Jeśli dzięki nim ktoś bardziej mi zaufa i pójdą za tym następne ciekawe propozycje, to będzie super" – mówił w 2015 r. w wywiadzie dla TVN24. Pewnie mógłby się pod tym podpisać i dziś, bo wiele wskazuje na to, że najlepsze dopiero przez nim. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Z ławeczki widać inaczej

★★★★☆☆
STANISŁAW SOYKA „MUZYKA I SŁOWA" UNIVERSAL

Śpiewał teksty Shakespeare'a, Jana Pawła II, Miłosza, Szymborskiej, Leśmiana, Staffa, Osieckiej, a teraz po 15-letniej przerwie nagrał w pełni autorską płytę.

Soyka już w pierwszej piosence, „Przyszedł czas na zmiany", rysuje pejzaż albumu: „Trzeba się będzie / Nauczyć nowego / Bywania samemu / Wśród okoliczności". 60-letni Stanisław jest refleksyjny, zdystansowany, nie poucza, a inspirację znajduje w prozie życia. To mentor, który wiele widział, przeżył i może dlatego nagrał płytę, która kołysze, rozbawi, a przy okazji wywoła refleksje.

To spokojny, głównie gitarowy album, określony przez autora jako „folk z przymrużeniem oka". Odnajdziemy na nim rhythm & bluesa, reggae, a nawet tango i poloneza. Soyka nie do końca odpuszcza, co udowadnia porywający utwór „I już, i tyle" na hammonda, sekcję dętą i ognistą gitarę. Wśród współpracowników jest Tomasz Jaśkiewicz, który z Niemenem grywał, ale też synowie Antek i Kuba. To taka muzyczno-rodzinna płyta, którą albo kupuje się bez zastrzeżeń, albo odrzuca jako zbyt przykurzoną. Soyka niczego już nie musi i może dlatego płyty tak dobrze się słucha. ©℗

★★★☆☆☆
DARK WIND „PIEŚŃ DLA JOANNY" DARK WIND

Tradycyjna płyta rockowa, której siłą są emocjonalne teksty opisujące wielką miłość do Joanny, którą zabrała choroba. Budująca terapia przez muzykę, ucząca, że cierpienie jest częścią szczęścia. „Nie będzie wszędzie / wcale nas mniej".

★★★★☆☆
BRING ME THE HORIZON „AMO" RCA

Szósty krążek angielskich metalowców jest na Wyspach numerem jeden. To zasługa rozszerzenia brzmienia o elektroniczny dance, hip-hop, a nawet pop (świetny „Medicine"). Gościnnie wystąpili wokalista art-poppy Grimes i raper Rahzel. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Bogactwo biedy

W ludnych i biednych krajach Azji jest trochę jak w telewizji publicznej. To znaczy pracę, którą mogłaby wykonać jedna osoba, wykonuje sześć. Bardzo dobrze przyjrzałem się temu zjawisku ostatnio w Birmie, zwanej ostatnimi czasy Myanmarem.

Zaczęło się od tego, że w Rangunie poszliśmy do Muzeum Kamieni Szlachetnych. Zapłaciliśmy słono za bilety (oczywiście dla cudzoziemców są specjalne stawki), a następnie weszliśmy do środka. Z pewnym zdziwieniem zauważyliśmy, że towarzyszy nam jedna pani. My szliśmy w prawo, ona szła w prawo. My w lewo, ona podążała w lewo. Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że taka pani drepcze za każdym zwiedzającym. Okazało się, że chcąc nie chcąc, dostaliśmy na wyłączność własnego przewodnika.

Szczerze mówiąc, wielkiego pożytku z niej nie było. Kiedy stawaliśmy przy gablotce z rubinami, ona mówiła „rubins". A kiedy oglądaliśmy szmaragdy, pani mówiła „emeralds". Czasem jeszcze dodawała „very good quality". Więcej nie można się było od niej dowiedzieć, ponieważ jej angielski nie był wiele lepszy od naszego birmańskiego. Moja żona bardzo szybko zaczęła się irytować. – Ona narusza moją przestrzeń osobistą – warknęła. Jako dobry mąż wziąłem panią na siebie, odciągnąłem od żony, wciągając w kolejne pogawędki na temat kamieni i kruszców. „Gold?", „Yes, gold". „Jade?" (było napisane, że jadeit, nie to, że jestem znawcą), „Yes, jade. Very good quality".

Wieczorem poszliśmy z kolei do takiego miejsca z grami elektronicznymi. Tam osobistą asystentkę dostał nasz syn. Asystentka obsługiwała specjalną kartę, za pomocą której uruchamiało się kolejne gry. Czasem także pomagała młodemu odpowiednio pokręcić joystickiem albo strzelić z armaty w potwora. Zauważyliśmy, że asystentka ma asystentkę, a jako że biały 9-latek był dość egzotycznym klientem, wkrótce ciągnął się za nim spory ogon asystentek, pomagających rozkminić kolejne automaty oraz wydających piskliwe okrzyki entuzjazmu, gdy pokonał jakiegoś przeciwnika. Nie inaczej było w kawiarni – zamówienie na kawę przyjmowały trzy młode dziewczyny i oczywiście prowadziło to do rozlicznych komplikacji w myśl powiedzenia o sześciu kucharkach.

Powróćmy jeszcze na chwilę do tych kamieni szlachetnych. Birma jak na bardzo biedny kraj jest bardzo bogata. Ma ogromne złoża złota oraz diamentów, rubinów, szafirów i czego dusza zapragnie. Wspaniałym przykładem tego bogactwa jest świątynia Szwedagon – ogromny kompleks górujący nad miastem, miejsce o niezwykłej atmosferze. Jednak to nie ona przesądza o sławie świątyni, lecz główna stupa wielkości sporego biurowca (ma ponad 100 m wysokości), pokryta 6 tonami złota. Zaś iglica ozdobiona jest wielkim brylantem. Bieda tutaj inkrustowana jest klejnotami. Bardzo dziwne. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Na złość!

Polityka jest – jak wiadomo – grą interesów, w której o konkretnych posunięciach decyduje twarda kalkulacja: zysk albo strata. Oczywiście zdarza się czasami, że do głosu dochodzi czynnik nieracjonalny. I zaczyna się uprawianie polityki na złość.

Jednym z ciekawszych przykładów były posunięcia Piotra III, szerzej znanego jako mąż carycy Katarzyny (bardziej tytularnego, obowiązki małżeńskie powierzał bowiem rozmaitym Poniatowskim, a sam zabawiał się żołnierzykami). Ów car natychmiast po objęciu władzy na złość zmarłej carowej Elżbiecie diametralnie zmienił dotychczasową politykę. Nakazał wojskom rosyjskim, bliskim zdobycia Berlina, dołączyć do Prusaków, których uwielbiał, i bić dotychczasowych sojuszników. Łatwo się domyślić, jakby wyglądał los tej części Europy, gdyby w roku 1763 Prusy przestały istnieć. Piotra szybko zgładzono na rozkaz jego żony, ale co się stało, to się nie odstanie.

Przykładem polityki uprawianej na złość jest działalność kierownictwa PO, które stara się kontrować każdy pomysł PiS

W dzisiejszych czasach dobrym przykładem polityki uprawianej na złość jest działalność kierownictwa PO, które stara się kontrować każdy pomysł PiS, choćby i najbardziej korzystny. Czym przeszkadza jej przekop Mierzei Wiślanej? A jednak weto. Ważne, że chce ją budować PiS. Podobnie było wcześniej z Via Carpatia. Projekt zawieszono, bo droga miała biec przez tereny Platformie nieprzychylne.

Zapewne takie same powody przyświecają warszawskiemu ratuszowi, blokującemu budowę wieżowców przy Srebrnej. I nieważne, że pasują architekturze wysokopiennej zabudowy dzielnicy, że dostarczałyby dochodów itp. Ważne, że są PiS-owskie i, nie daj Boże, upamiętniałyby tę formację oraz jej przywódców. Zwłaszcza gdyby jedna wieża nazywała się Lech, a druga Jarosław.

Wojny w sferze symbolicznej są przeważnie nieskuteczne, a z pewnością głupie. Można blokować stawianie pomników lub nazywanie ulic (i tak kiedyś się zmienią!). Zupełnie odwrotną praktykę zaprezentowała wobec opozycji obecna władza po śmierci Adamowicza. Chcecie celebry, honorów – proszę. Za tydzień i tak nikt nie będzie pamiętał.

Na miejscu pani Gronkiewicz czy jej uroczego następcy natychmiast zgodziłbym się na te dwie wieże. Po pierwsze, pytanie, czy Srebrnej udałoby się je ukończyć, a po drugie, po przejęciu władzy w kraju można by je wykupić, wycyganić, a nawet znacjonalizować. Przy okazji można by je przemianować, by nosiły imiona największych mężów stanu III RP. Olek i Bolek. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Z Robertem Winnickim, prezesem Ruchu Narodowego *rozmawia Marcin Makowski*

Polska została upokorzona

MARCIN MAKOWSKI: Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, mówił pan, że Ruch Narodowy będzie „polskim Jobbikiem". Czy sojusz z partią Wolność i werbowanie twarzy radykalnej prawicy do europarlamentu to spełnienie tych marzeń?

ROBERT WINNICKI: Od tamtego czasu Jobbik skręcił mocno ku centrum i pewne założenia stały się mniej aktualne, ale sojusz, o którym pan wspomniał, będzie z pewnością jedyną na polskiej scenie politycznej wyraziście antyunijną, narodową i wolnościową siłą.

Nie ma pan wrażenia, że na razie wasza siła objawia się głównie w obszarze memowym? Jakiś czas temu zamieściliście zdjęcie wszystkich liderów ruchu, na którym Konrad Berkowicz wskazuje palcem na skraj mapy. Ktoś to podpisał jako „przygotowania do pierwszej wyprawy na kraniec Ziemi".

(śmiech).

I jeszcze taki podpis, też do zdjęcia z mapą: „Żywiołowa dyskusja koalicji antyunijnej. Skąd zamówić kebaba, aby na uberze nie dowiózł imigrant".

Memy czy komentarze są rzeczą normalną w życiu politycznym. Wcale się o to nie obrażamy. Zdjęcia robimy przy okazji naszych narad w gronie koalicji, bo naprawdę intensywnie pracujemy nad programem. Co więcej, ta praca przebiega nadspodziewanie konstruktywnie.

Na konferencji prasowej w Sejmie w grudniu 2018 r., podczas której ogłaszano wspólny start do europarlamentu, usłyszałem, że „łączy was polexit". A co na gruncie ideowym łączy Kaję Godek z Januszem Korwin-Mikkem?

Na pewno sprzeciw wobec Unii Europejskiej, niszczącej suwerenność Polski. Wspólnych mianowników jest jednak zdecydowanie więcej. Ostatnio wypisaliśmy kilkadziesiąt haseł łączących koalicjantów, dotyczących wszystkich sfer życia publicznego. Nie godzimy się na ofensywę marksizmu kulturowego, opowiadamy się za uproszczeniem prawa gospodarczego i systemu podatkowego. Uznajemy realistyczną, a nie idealistyczną wizję stosunków międzynarodowych i sprzeciwiamy się masowej imigracji. Chcemy bronić chrześcijańskiej tożsamości Europy. Opowiadamy się za szerszym dostępem do broni, jesteśmy za zdecydowaną obroną praw Polaków na emigracji i na Kresach. Sprzeciwiamy się żydowskim roszczeniom majątkowym. Łączą nas postulaty bonu edukacyjnego, obrony złotówki jako waluty, zakazu zadłużania państwa...

Egzemplarz dla: ...@...sa.pl 50a923b935

To wszystko brzmi pięknie, ale nie zmienia faktu, że w świadomości wyborców sami postawiliście się w roli bytu politycznego, który chce przede wszystkim wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Tymczasem według badań Eurostatu 87 proc. Polaków uważa, że przynależność do wspólnoty jest dla naszego kraju korzystna. Gdzie w takim razie szukać elektoratu?

Ten elektorat istnieje od czasu referendum w 2003 r., podczas którego proporcje propagandy prounijnej wynosiły 100 do 1. Mimo tego prawie jedna czwarta Polaków głosowała przeciwko wchodzeniu do Unii, i to przy wysokiej frekwencji. Dzisiaj najwięcej eurosceptyków jest w młodym pokoleniu. Poparcie dla Brukseli jest warunkowe i związane z przekonaniem, że Polska sporo korzysta. W momencie, w którym zapytano respondentów, czy gdyby obecność w UE nakładała obowiązek przyjmowania imigrantów, entuzjazm spadł do ok. 50 proc. To jasno pokazuje, że Polacy traktują Unię utylitarnie – i słusznie – bo tych relacji inaczej opisać się nie da. Naszym zadaniem jest pokazać, że kierunek, w którym ona ewoluuje, to w perspektywie kiepskie miejsce do życia.

Gdy przełoży się jednak wspomniany przez pana rezerwuar „wyborców polexitowych" na uśrednione wyniki sondaży, okazuje się, że i w europarlamencie, i w wyborach parlamentarnych wasza koalicja lub poszczególne partie razem wzięte oscylują wokół 2 proc. poparcia. Nie powala na kolana.

To nie jest prawda, bo żadna z głównych sondażowni nie bada realnego potencjału koalicji, tylko sumuje wyniki KORWiN-a i Ruchu Narodowego. Jedynym ośrodkiem, który to robi, jest portal ewybory.eu i sondy uliczne, które przeprowadzają. Tam notujemy stabilne 5–6 proc. poparcia z podziałem na poszczególne województwa.

Rozumiem, jest też sondaż portalu 12zawodnik.pl, badający preferencje polityczne wśród kibiców, i tam narodowcy uzyskują 23 proc., a KORWiN 17 proc. Wśród uczniów liceów zapewne podobnie. Co wybory słyszę te same wybiegi, tylko co z nich wynika?

Mainstreamowe sondaże nie są po to, aby oddawać preferencje wyborcze, tylko po to, żeby kreować tendencje. CBOS promuje PiS, IBRiS pompuje Biedronia i tak dalej. Jedynie wspomniany sondaż uliczny, gdzie traktuje się nas jako koalicję, rzeczywiście coś mówi i nie jest robiony pod tezę. Zresztą w każdych wyborach do PE w Polsce jest 10–20 proc. głosów unisceptycznych. Tak samo będzie tym razem.

Pytanie tylko, jak ta koalicja wygląda dzisiaj od strony formalnej? Sąd Okręgowy w Warszawie zadecydował kilka dni temu, że nie może zarejestrować partii Janusza Korwin-Mikkego, a Ministerstwo Finansów wstrzymało wypłatę kolejnych transzy subwencji budżetowych.

To nie ma znaczenia, możemy zarejestrować inny komitet. Sądzę, że naszym koalicjantom uda się rzecz jednak sądownie wyprostować. Inaczej okaże się, że 11 mln zł subwencji dostała od 2015 r. partia, której sąd nie zechciał jednak ostatecznie zarejestrować. To byłby absurd.

Opozycja często zestawia was z kłopotami PiS, który rzekomo będzie się musiał radykalizować od prawej strony, aby nie stracić prawicowo-narodowego elektoratu. Coś w tym jest?

Oczywiście PiS od wielu lat okupuje prawą stronę sceny, posługując się hasłami bliskimi sercom i umysłom również naszego elektoratu, ale de facto prowadzi bardzo centrolewicową politykę. Zaczynając od etatystyczno-biurokratycznej gospodarki, kończąc na sferze polityki zagranicznej i wartości. Partia Kaczyńskiego to grupa proaborcyjnych oszustów.

Proaborcyjnych?

Oczywiście.

Jakoś nie słyszałem, żeby Jarosław Kaczyński chciał legalizować aborcję do 12. tygodnia, tak jak Robert Biedroń.

Kaczyński zdecydowanie wyżej ceni życie zwierząt futerkowych niż nienarodzonych dzieci. Proszę porównać, ile razy zabierał głos i czynił wysiłki w kierunku zdelegalizowania aborcji eugenicznej, a ile razy za zakazem hodowli. Gradacja wartości jasna. PiS, będąc w opozycji, głosował za najdalej idącymi projektami pro-life, wiedząc, że nie mają szans. Teraz, gdy mają pełnię władzy, podobne projekty w Sejmie odrzucają albo blokują.

Jednak zakazu hodowli zwierząt na futra w Polsce nie wprowadzono.

Tylko dlatego, że hodowcy zorganizowali skuteczny nacisk polityczno-gospodarczy ze wsparciem m.in. naszym czy Radia Maryja, broniąc tej istotnej gałęzi rolnictwa. Gdyby to zależało jedynie od panów Kaczyńskiego i Czabańskiego, zakaz by obowiązywał.

Czyli nie przekonują pana argumenty Kaczyńskiego, który twierdził niedawno, że w polityce trzeba działać zgodnie z etyką odpowiedzialności Maxa Webera, a nie kierować się maksymalizmem etycznym, prowadzącym w zarządzaniu państwem na manowce? Wielokrotnie podkreśla pan w swoich przemówieniach, jak ważny w życiu społecznym jest pragmatyzm i unikanie wojen, których nie da się wygrać. Tutaj ta maksyma nie działa?

Jeśli Kaczyński powołuje się na etykę odpowiedzialności w przypadku aborcji, jest obłudny. Mnóstwo jego działań nawet obok tej idei nie stało. W sprawie sądownictwa był w stanie zaryzykować wiele, ogromne protesty, wywołać europejską awanturę i nagiąć normy konstytucyjne. Pamiętamy lato 2017 r. Przecież Kaczyński dodatkowo podgrzewał atmosferę, narzucając wariacki tryb procedowania. A i tak koniec końców podkulili ogon przed Brukselą. Oni są w stanie rozpętać czy sprowokować histerię o zupełne głupoty z punktu widzenia państwa, tracić wizerunkowo tylko dla zaspokojenia swoich potrzeb emocjonalnych. Etyka? Odpowiedzialność? Żarty. Jest zabijanie dzieci nienarodzonych i tyle. Żeby było śmieszniej, żadna sfera życia państwowego nie została od 2015 r. zreformowana, również sądownictwo. Wszystko to tylko bicie piany i ruchy kadrowe, a nie systemowe, w administracji, w służbach czy choćby w TVP. W ogóle w Polsce media są w koszmarnym stanie.

Żadna sfera życia państwowego nie została od 2015 r. zreformowana, również sądownictwo. Wszystko to tylko bicie piany i ruchy kadrowe, a nie systemowe w służbach, administracji czy TVP

Czy pana zdaniem media jako takie po śmierci prezydenta Pawła Adamowicza zdały egzamin z przyzwoitości?

eprasa.pl 50a923b935

Takie tragiczne incydenty, wbrew temu, co się sądzi, nie wpływają mocno na kulturę polityczną czy medialną. Procesy, które dzieją się w Polsce, są o wiele głębsze i szersze, nawet Smoleńsk nie spowodował radykalnego zwrotu. Pod tym względem oczekiwanie, że morderstwo Adamowicza kimś realnie wstrząśnie i skłoni kogokolwiek do refleksji, było wyrazem dziecinnej wręcz naiwności.

Przy okazji tego wydarzenia do debaty publicznej znowu wkroczyło pojęcie „mowy nienawiści" i penalizowania za nią. W tym kontekście przywoływano obrazki Młodzieży Wszechpolskiej wieszającej portrety europosłów PO i wystawiającej „akt politycznego zgonu" Pawłowi Adamowiczowi. Uważa pan dzisiaj, ża takie wydarzenia to o kilka kroków za daleko czy będzie pan ich bronił jako przejawu wolności słowa?

„Mowa nienawiści" to pałka do okładania przeciwnika politycznego, skonstruowana przez liberalną lewicę wiele dekad temu. Przy różnych okazjach jest wyciągana. Uważam, że nawet bardzo mocne sformułowania czy happeningi mają prawo istnieć w przestrzeni publicznej. Nie mają dużego wpływu na debatę publiczną. Problem z jej kondycją leży gdzie indziej – w codziennym obniżaniu poziomu debaty, obniżania standardów języka polityki i mediów. Coraz bardziej prawdziwe stają się słowa o. Józefa Bocheńskiego z początku lat 90., gdy po raz pierwszy po 1945 r. wrócił do ojczyzny. Wtedy zapytano go, „Co zdaniem ojca najbardziej zmieniło się od czasów przedwojennych?". On odpowiedział: „Społeczeństwo nam schamiało". Dzisiejsze elity niesamowicie się zdegenerowały.

Tylko tak się zastanawiam. Elokwentnie potępia pan prymitywizację języka polityki, ale z drugiej strony staje u boku koalicjanta, Grzegorza Brauna czy Janusza Korwin-Mikkego, którzy kilka kart w tej historii sami zapisali. Przewodniczący Korwin-Mikke słynie przecież z tego, że gdy jedno z jego ugrupowań niebezpiecznie zbliża się do progu wyborczego, rzuca kilka cytatów o niepełnosprawnych, kobietach oraz Hitlerze i problem z wchodzeniem do Sejmu mija.

Nawet jeśli niektóre ekscentryczne wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego bywają uznawane za kontrowersyjne…

Delikatnie powiedziane.

Ma takie wypowiedzi. Wpisuje się to w jego wizerunek, o czym wszyscy od dawna wiemy. Jednak osobną sprawą jest to, co on chce przekazać w treści swoich wystąpień. Trudno zarzucić Korwin-Mikkemu, że promuje prymitywizm w przestrzeni publicznej. Jest bardzo inteligentny i elokwentny, a forma w której się komunikuje, tego nie unieważnia.

Czy prawdą jest, że inna barwna postać – Mariusz Max Kolonko – orbituje wokół waszej polexitowej koalicji?

Rzeczywiście, Mariusz Max Kolonko pozytywnie wyrażał się o środowiskach antysystemowych i Ruchu Narodowym, ale nie sądzę, aby szykował się do polityki. Dzisiaj jest publicystą internetowym, jego rola jest gdzie indziej.

To ja to przełożę z politycznego na ludzki: były rozmowy, ale się nie dogadaliście.

Nie, ja przynajmniej nic o tych rozmowach nie wiem. Jest życzliwy kontakt z panem Mariuszem, ale nic więcej. Może Jacek Kurski powie coś innego, ale zdaje się, że droga z dziennikarstwa do polityki najczęściej działa w jedną stronę. Niech każdy robi to, co robi najlepiej.

Zmieńmy nieco temat. Adam Andruszkiewicz jest dzisiaj kłopotem dla rządu. Oskarża się go o fałszowanie podpisów pod listami wyborczymi w czasach działalności w Młodzieży Wszechpolskiej. Dzisiaj narodowcy oddychają z ulgą, mówiąc: „To nie nasz problem"?

Andruszkiewicz to smutny i wstydliwy przypadek byłego narodowca. Jego przykład potwierdza prawdę, że w życiu trzeba być odpornym nie tylko na porażki, lecz także na sukcesy. On sukcesu ewidentnie nie udźwignął, w naszym środowisku nikt go nie traktuje już poważnie. No cóż, szkoda.

Czy tzw. taśmy Kaczyńskiego jakoś panem wstrząsnęły?

Mną nie, ale to nie znaczy, że nie mają swojej wagi. Nie w rozumieniu zarzutów karnych, ale wizerunku i etyki. Kaczyński jawi się jako osoba używająca swojej potęgi politycznej do tego, by przy użyciu państwowego banku, którego prezesa ma na gwizdek, pomnażać prywatny majątek swojego środowiska politycznego. Majątek powstały na początku lat 90. z uwłaszczenia na majątku państwowym, obsadzany znajomkami i pociotkami. Czy to nie jest układ?

Zaraz zapewne usłyszę, że to układ, i dowiem się, gdzie on powstał.

To kwestia genezy tych patologii, które zaczęto tworzyć przy Okrągłym Stole. Tam skonstruowano państwo teoretyczne, państwo imitacyjne i niepoważne. Takie, które nie ma poważnych celów własnych, tylko „dołączanie do Zachodu". Które nie ma suwerennej polityki zagranicznej oraz gospodarczej i autonomicznie definiowanych interesów. Nie ma silnych służb i sprawnego aparatu państwa. Nie posiada silnej armii, tylko „wsparcie sojusznicze", czyli de facto jest protektoratem lub – jak kto woli – amerykańskim dominium albo kondominium.

Pan Pompeo i pani Mitchell pokazali, że elity USA patrzą na Polskę przez pryzmat interesów i fobii środowisk żydowskich

Rozumiem, że to pana recenzja konferencji bliskowschodniej w Warszawie. Aż tak krytyczna?

Pan Pompeo i pani Mitchell pokazali, że elity USA patrzą na Polskę przez pryzmat interesów i fobii środowisk żydowskich. Sekretarz stanu zażądał realizacji roszczeń majątkowych tych środowisk. A premier Izraela już pierwszego dnia ośmieszył naszą dyplomację, otwartym tekstem mówiąc o szykowaniu wojny, choć zapewnienia polskiego MSZ były zupełnie przeciwne. To był fatalny pokaz totalnej zależności od USA, Polska została upokorzona, a dobre relacje z państwami Bliskiego Wschodu – poważnie nadszarpnięte. Przy tym wszystkim pani ambasador Mosbacher zachowująca się nad Wisłą jak rosyjscy ambasadorowie w XVIII w... No i na okrasę minister Błaszczak z prezydentem Dudą, cieszący się z amerykańskich gwarancji jak, nie przymierzając, minister Beck z angielskich w 1939 r. Jak to już kiedyś zostało powiedziane, trzeba być po dobrej wódce, żeby po tym szczycie otwierać szampana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Przestroga dla inteligentnych

Piotr Müldner-Nieckowski

Najnowsza książka Pawła Lisickiego to atrakcyjna, pełnokrwista powieść, ale i ważne ostrzeżenie

Paweł Lisicki to dla większości redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy", a dla czytelników poszukujących – erudyta, autor wielu znakomitych książek popularnonaukowych, faktograficznych, eseistycznych, ale także dzieł literackich, takich jak dramat eschatologiczny „Próba" i teraz powieść „Epoka Antychrysta". Właśnie ta książka była przedstawiana w listopadzie 2018 r. na Biesiadzie Literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w rozmowie z autorem, a to dlatego, że jest rzeczą godną uwagi jako pasjonująca przygoda po trosze do poduszki, po trosze do zadumy, po trosze do rewizji własnej postawy wobec dzisiejszego świata. Wreszcie dlatego, że wśród literackiej narracji, dialogów i refleksji kryje konkretną wiedzę, którą powinniśmy nabyć.

Oto w 2217 r. konklawe watykańskie wybiera nowego Ojca Świętego, papieża Judasza.

I zaczyna się dziać coś niedobrego, a czego – mając taką wiedzę jak autor – można było się spodziewać. Tylko że na razie jeszcze nie wiemy tego, co wie narrator. Na razie złe siły ludzkości zaczynają ostatecznie przeważać. Diabeł już nie chowa się za żadną maską. W świecie – podług doktryn zakłamanych i dążących do totalnego zrównania czy ujednolicenia gatunku Homo sapiens – pozostało do zniszczenia jeszcze tylko to, co zdaniem władców Nowego Wspaniałego Świata najgorsze, a w likwidowaniu najtrudniejsze, mianowicie chrześcijaństwo, ściśle katolicyzm. Wśród niezliczonych manipulacji, krętactw, oszustw intelektualnych i historycznych przewijają się przede wszystkim te, które znamy już dzisiaj, dwieście lat przed opisywaną przyszłością, a z których dotkliwie nas dotykają nie tylko te przykrości dawne, znane od zarania Kościoła, lecz także powstałe w sprytnych umysłach przedstawicieli nowego komunizmu, ewolucyjnego.

Katalog wiedzy o tym przewija się jako tło i zarazem jako treść fabuły powieści. Stawia czytelników przed wyzwaniem niełatwym do zrealizowania. Po pierwsze, musi być przyswojony, zrozumiany, a po drugie, oceniony i zestawiony z systemem wartości, który stanowi szkielet doktryny katolickiej, tego, co w tej religii zastaliśmy. Książka jest tak umiejętnie pisana, że przez większość faz procesu poznania zła można przejść bez bólu. Wchodzimy w meandry pokrętnych argumentacji i chwytów propagandowych, poszerza się nasza wiedza na temat sporu o istnienie Boga oraz o boskość Chrystusa i dzięki temu czujemy się silniejsi, bo rozpoznajemy, jaki jest cel ich ukazywania przez autora i bohaterów opowieści.

To nie jest, broń Boże, wykład ani mowa-trawa czy esej. Nie, to w sensie formalnym typowa, atrakcyjna, pełnokrwista powieść z fabułą i osobami dramatu, wciągająca, o mniej więcej takim ładunku ostrzeżeń i przerażeń, jaki znajdujemy w „Nowym wspaniałym świecie" Aldousa Huxleya, „Buncie" Władysława Reymonta, „Folwarku zwierzęcym" i „Roku 1984" George'a Orwella. To rzecz jak najbardziej poważna, a zarazem ironiczna, po literacku dowcipna, podstępnie drążąca to, co wiemy już dziś, z własnego doświadczenia, z własnej wiary lub niewiary. Odruchowo zestawiamy ją z codzienną nawałnicą informacji płynących z centrów Unii Europejskiej, z gniazd antychrystów takich jak szkoła frankfurcka, grup miłośników Gramsciego, postmarksistów, racjonalistów, Antify, faszystów i nawet z naszej prasy codziennej.

Świetna książka, ale jak się okazuje, wyłącznie dla inteligentnych. Niektórzy czytelnicy podeszli do czytania tak najeżeni, że nie zrozumieli intencji autora, których sygnały znajdują się przecież już na pierwszej stronie utworu. Od pierwszych zdań „Epoki Antychrysta" widać, że to kpina z myślenia fachowców od nieludzkiej propagandy, poczynając od genderyzmu.

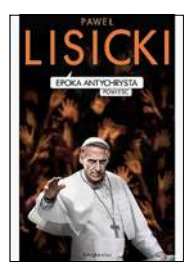

PAWEŁ LISICKI „EPOKA ANTYCHRYSTA" FABRYKA SŁÓW 2018

Z początkowym przerażeniem odczytywałem więc takie niezrozumienie treści tej książki zawarte w recenzji dr Moniki Białkowskiej w „Przewodniku Katolickim" (nr 44/2018) pt. „Lisicki sięgnął bruku". Autorka nic nie pojęła. To dziwne, bo znałem jej teksty jako naprawdę dobre. Straciła czujność. Czytamy: „Fabułę książki streścić trudno: zbyt wiele jest w niej wątków i skojarzeń". Należałoby zapytać, skąd ta samokrytyka, ale odpowiedź przychodzi bardzo szybko. Jej powierzchowne (a może lepiej: powierzchniowe) odczytanie (albo wręcz nieprzeczytanie) utworu wymusiło epitety w stylu: „Drogi, którymi chodzi wyobraźnia Pawła Lisickiego, są przerażająco obrzydliwe". Czytała ze wstrętem i ostatecznie w ogóle nie przeczytała.

Ależ pani doktor, Paweł Lisicki prawie nic z tego wszystkiego nie wymyślił. Owszem, trochę pobawił się w twórcę w stylu młodego Togliattiego, dodał trochę tego, co dziś wygadują i wypisują na oślep ludzie zwalczający religię do zwalczania jej nieprzygotowani. Z talentem rozwinął niektóre wątki (choćby stek absurdalnych dowodów na niezmartwychwstanie Jezusa). Pokazał i ośmieszył ich zapiekłe wojenki z katolicyzmem, religią tak wymagającą i fenomenalną moralnie, tak utrudniającą przejmowanie władzy przez „odnowicieli ludzkości". Monika Białkowska wydrukowała swój sprzeciw w czasopiśmie katolickim, naprawdę. A ja naiwny od „Przewodnika Katolickiego" oczekiwałem dla tej zgrabnej książki pochwały i może jakiegoś rozwinięcia, bo sytuacja Kościoła ani na świecie, ani w Europie, ani nawet w Polsce nie jest dobra. Katolicy są jedną z najbardziej tępionych grup ludzkości.

Nie przejmujmy się jednak nieudanymi recenzjami. Mamy ważny powód, żeby po tę książkę sięgnąć, i to nie tylko literacki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wiceprezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

eprasa.pl 50a923b935

Zapasy hegemonów

Mobilny system rakietowy krótkiego zasięgu Iskander podczas pokazu w Rosji w 2017 r.

FOT. MIKHAIL VOSKRESENSKIY/SPUTNIK/EAST NEWS

Marek Budzisz

Musimy rozmawiać o bezpieczeństwie Polski. A to może dziś wzmocnić albo obecność na polskiej ziemi amerykańskich rakiet z głowicami nuklearnymi, albo rozszerzenie NATO na Wschód

Wycofanie się z postanowień traktatu INF „o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych pośredniego i średniego zasięgu" (od 550 do 5 tys. km) najpierw przez Stany Zjednoczone, a dzień później w ramach „adekwatnej odpowiedzi" przez Rosję stawia przed polską i europejską dyplomacją wiele wyzwań, którym trzeba będzie w nadchodzących miesiącach sprostać. Eksperci z Biura Analiz Parlamentu Europejskiego, którzy na potrzeby europosłów przygotowali ekspertyzę w tej materii, napisali nawet, że „Europa stanie w obliczu wielu »twardych« decyzji, które w najgorszym wypadku mogą podzielić sojusz lub nawet kraje członkowskie UE".

RAKIETY ZA URAL

Zacznijmy jednak od uporządkowania faktów. Waszyngton wielokrotnie groził Rosji wyjściem z porozumienia zawartego jeszcze za czasów Reagana i Gorbaczowa, uzasadniając swoje stanowisko tym, że Moskwa celowo, długotrwale i uporczywie łamie zapisy umowy. Argumentowano też, że traktat, który nie wiąże Chin, w gruncie rzeczy ogranicza tylko możliwości USA, przyczyniając się do powstania groźnej nierównowagi sił. Nie bez znaczenia dla takich ocen jest też to, że do grona zadeklarowanych przeciwników dalszego obowiązywania umowy zalicza się John Bolton, doradca amerykańskiego prezydenta ds. bezpieczeństwa, współautor obecnej linii Waszyngtonu w polityce zagranicznej.

Amerykanie oskarżyli Moskwę o to, że modernizując rakietę Iskander 9M729, złamała układ i jedyną szansą utrzymania go jest zniszczenie, pod nadzorem międzynarodowym, posiadanych pocisków. Zamontowanych, co dla całej sprawy jest istotne, na mobilnych samochodowych i być może kolejowych, a zatem trudnych do śledzenia, wyrzutniach. Na początku grudnia, aby przekonać swych sojuszników z paktu północnoatlantyckiego, Waszyngton po raz pierwszy ujawnił dane wywiadowcze, mające świadczyć o tym, że Rosja świadomie i celowo łamała zapisy porozumienia. Niewiele wiadomo, jakich argumentów użyli Amerykanie, ale jest oczywiste, że mocnych, skoro wszystkie państwa członkowskie NATO poparły stanowisko Waszyngtonu, a niemiecka kanclerz po niedawnym spotkaniu z premierem Armenii Nikolem Paszynianem oskarżyła Rosję wprost o łamanie postanowień układu.

eprasa.pl 50a923b935

Niemcy nie chcą amerykańskich rakiet na swojej ziemi. Powszechnie znane są badania opinii publicznej, z których wynika, że nad Łabą większe zagrożenie widzi się w polityce USA niźli Rosji. Dyplomacja niemiecka, spodziewając się takiego kresu umowy i działając pod presją rodzimej opinii publicznej, przygotowała propozycje, które jej zdaniem mogłyby zapobiec niepotrzebnej eskalacji napięcia w Europie. Niemiecki minister Heiko Maas, przebywając niedawno w Moskwie, zaproponował zorganizowanie przez Berlin w najbliższym półroczu wielostronnej konferencji rozbrojeniowej, która mogłaby się przyczynić do zawarcia nowego układu. Niemal natychmiast po wystąpieniu sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo dwóch niemieckich deputowanych, z frakcji tworzących niemiecką koalicję rządową, zaproponowało na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" formułę kompromisową, która polegać miałaby na tym, że Rosjanie wycofują pod międzynarodowym nadzorem sporne rakiety Iskander 9M729 za Ural, tak aby nie było wątpliwości, że nie są one wymierzone w europejskie miasta, a następnie przystępuje się do nowych, wielostronnych rozmów rozbrojeniowych. Rozpoczęcia nowej tury rokowań nie wykluczył również Donald Trump, wypowiadając się na ten temat w swym corocznym orędziu przed Kongresem.

CO ZAMIERZA ROSJA

Jakie w kontekście tej sytuacji zadania stoją przed polską dyplomacją? Przede wszystkim trzeba wypracować spójne i jednolite stanowisko, bo z tym nie jest najlepiej. W trakcie zeszłorocznej wizyty w Berlinie prezydent Andrzej Duda wyraził swoje poparcie dla stanowiska Waszyngtonu oskarżającego Rosję o łamanie porozumienia, co przez niektórych niemieckich komentatorów zostało zinterpretowane jako zapowiedź gotowości przyjęcia na polską ziemię amerykańskich rakiet średniego zasięgu z głowicami nuklearnymi. W podobnym duchu w Brukseli wypowiadał się również minister Jacek Czaputowicz. W środowisku zarówno zachodnich, jak i rosyjskich ekspertów ds. rozbrojenia ugruntowany jest w związku z tym pogląd, publicznie wielokrotnie wyrażany, a przez Warszawę niedementowany, że Polska (obok Rumunii) jest tym krajem, który może chcieć amerykańskich rakiet z głowicami nuklearnymi. Ostatnio polskie MSZ wydało komunikat, który więcej zaciemnia, niźli rozjaśnia, głoszący, że decyzja w tej sprawie musi być podjęta wspólnie, przez NATO. Znając stanowisko Niemiec i Francji, wiadomo, że NATO nie jest w stanie podjąć w tej materii wspólnej decyzji. A zatem postawmy sprawę jasno – musimy zdecydować, czy rozpoczynamy dyplomatyczną grę, twierdząc, że jesteśmy gotowi zainstalować w Polsce rakiety, czy już na wstępie mówimy, iż nie jesteśmy tym zainteresowani.

Co do tego, że w najbliższych miesiącach w związku z kresem układu INF toczyła się będzie dyplomatyczna gra na najwyższych szczeblach, nie ma wątpliwości. Chodzi w niej zaś o trwałość więzi atlantyckich i architekturę systemu bezpieczeństwa w Europie, przede wszystkim w naszej części kontynentu.

Zamierzenia Rosjan są dość czytelne. Przedstawił je w ostatnich dniach były minister spraw zagranicznych Igor Iwanow. Otóż jego zdaniem sytuacja zaczęła rozwijać się w złym kierunku jeszcze w 2002 r., kiedy to prezydent George Bush jr podjął decyzję o jednostronnym wycofaniu się Stanów Zjednoczonych z układu ABM „o ograniczeniu strategicznych systemów obrony przeciwrakietowej". Dlaczego jest to dla Moskwy tak ważne? Przede wszystkim z tego powodu, że rosyjskie elity decyzję Waszyngtonu uznały za odebranie Rosji jej mocarstwowego statusu. Z propozycjami formułowanymi wówczas przez prezydenta Putina i ministra Iwanowa Waszyngton nie miał zamiaru się liczyć, bo uważał Rosję za mocarstwo co najwyżej regionalne i dążył do światowej hegemonii. Zdaniem Iwanowa układ sił w świecie się jednak zmienił i nadszedł czas rewizji tej polityki, a nazywając rzecz po imieniu – rozstania się Stanów Zjednoczonych z myślą o odgrywaniu dominującej roli w świecie. Iwanow, wspominając tamtejsze rozmowy, przypomina o tym, że Rosja, dążąc do utrzymania traktatu, proponowała nawet budowę w Europie, wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi, systemu obrony rakietowej.

I tu mamy do czynienia z istotą rosyjskiego myślenia. Otóż za bezpieczeństwo Europy, w świetle tej koncepcji, w równym stopniu co Stany Zjednoczone winna odpowiadać Rosja. Towarzyszy temu pojawiające się regularnie w środowisku rosyjskich ekspertów ds. międzynarodowych wezwania do rozwiązania NATO, które jako twór zimnej wojny tylko osłabia, zdaniem Moskwy, poczucie bezpieczeństwa, i budowy w jego miejsce z udziałem Rosji nowego systemu.

Moskwa uważa, że wzrost napięcia związanego ze śmiercią traktatu sprzyja jej politycznym planom. Europa, której relacje ze Stanami Zjednoczonymi pogorszyły się za administracji Trumpa, a przy tym wolna od proatlantyckiego kursu Londynu, nie będzie zdolna do podjęcia decyzji o przyjęciu amerykańskich rakiet i w związku z tym opowie się za rokowaniami. To emancypowanie się Europy w obliczu zagrożenia rosyjskimi rakietami nuklearnymi osłabi w efekcie więź atlantycką. Zwłaszcza że Rosja zamierza w najbliższej przyszłości zwiększać poczucie zagrożenia. Nie tylko nie chce likwidacji zbudowanych wbrew porozumieniu rakiet, lecz także mówi o szybkiej modernizacji znajdujących się w jej magazynach 30 rakiet typu SS-19 Stiletto (według NATO-wskiej nomenklatury), które Rosja dostała od Ukrainy w zamian za gazowe długi na początku stulecia.

NAJWAŻNIEJSZE ZADANIE

W niedawnym raporcie na temat przyszłości NATO, opracowanym przez ekspertów wpływowego Klubu Wałdajskiego, znalazły się wprost wyrażane opinie, że NATO nie będzie w stanie podjąć decyzji w sprawie ewentualnej dyslokacji amerykańskich rakiet. Być może – tak uważają rosyjscy eksperci – taka decyzja zostanie podjęta w trybie umów bilateralnych, zawieranych przez Waszyngton ze zdecydowanymi na to stolicami.

Gołym okiem widać, że Moskwa dąży przy okazji rozmów nad nową formułą traktatu rozbrojeniowego nie tylko do potwierdzenia swej roli wiodącego światowego mocarstwa, lecz także do zajęcia pozycji kraju współdecydującego o architekturze bezpieczeństwa w naszej części kontynentu.

I tu otwiera się ewentualne pole gry dla naszej dyplomacji. Nie ulega wątpliwości, że o naszym bezpieczeństwie trzeba rozmawiać. Jeśli będziemy zdania, że amerykańskie głowice na naszej ziemi nie gwarantują ochrony, to trzeba wrócić do kwestii rozszerzenia NATO na Wschód i stałej obecności konwencjonalnych sił Sojuszu. Berlin i Paryż muszą skonfrontować się z jasnym stanowiskiem państw bałtyckich, Polski i Rumunii, w myśl którego jeśli to nie amerykańskie rakiety mają być odpowiedzią na zagrożenie ze Wschodu, to z pewnością musi nią być wzmocnienie sił konwencjonalnych na wschodniej flance i rozszerzenie Sojuszu na Wschód. I to jest zadanie dla naszej dyplomacji na najbliższe miesiące.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Anegdota wagi ciężkiej

Tomasz P. Terlikowski

Niech nas nie zmyli formuła anegdoty. Nie zdarzyło się dotychczas w nowożytnej historii, by jeden papież formułował tak ostre zarzuty pod adresem drugiego, jak zrobił to Franciszek wobec św. Jana Pawła II

Są takie słowa, których nie da się cofnąć, nawet jeśli wypowiada się je w formie lekkiej i niegroźnej. Są zarzuty, których nie można zlekceważyć. Tak jest ze „słynną" (choć przez polskie media, szczególnie te związane z Kościołem, całkowicie niemal pomijaną i lekceważoną) „anegdotą" Franciszka na temat św. Jana Pawła II. Podczas konferencji prasowej na pokładzie samolotu lecącego ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich do Watykanu papież Franciszek odnosił się do pytania o molestowanie sióstr zakonnych przez duchownych i biskupów.

„To prawda, że w Kościele byli również duchowni, którzy to czynili; w niektórych kulturach jest to zjawisko trochę silniejsze niż w innych. Nie jest to coś, co czynią wszyscy, ale byli tacy księża, a nawet biskupi, którzy to czynili. I sądzę, że to wciąż istnieje, ponieważ nie kończy się to z chwilą dostrzeżenia zjawiska. Sprawa zatem trwa. Od dawna nad tym pracujemy. Suspendowaliśmy i usunęliśmy z tego powodu już niejednego duchownego. Rozwiązaliśmy też – nie wiem, czy proces się zakończył – pewne zgromadzenie żeńskie, bo za bardzo było w to uwikłane. Jest to forma deprawacji. Nie mogę powiedzieć: »w naszym domu tego nie ma«. To prawda. Czy trzeba w tym względzie zrobić jeszcze więcej? Tak! Czy chcemy to zrobić? Tak! Jest to pewien proces, który trwa już od dawna. Papież Benedykt miał odwagę rozwiązać pewne zgromadzenie żeńskie na pewnym poziomie, bo doszło tam do pewnej formy manipulacji kobietami, wręcz manipulacji seksualnej ze strony duchownych czy założyciela. Bardzo często założyciel odbiera wolność, ogranicza wolność zakonnicom i wtedy może dojść do takich rzeczy" – mówił Franciszek.

O jakie konkretnie zgromadzenie chodziło, tego papież nie wyjaśnił. Zrobiło to później Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej, które zasugerowało, że rzecz dotyczyła żeńskiej gałęzi Wspólnoty św. Jana.

ANEGDOTYCZNA BOMBA ATOMOWA

Te słowa, choć dotyczą sprawy niezmiernie ważnej, która ma być także tematem rozpoczynającego się 21 lutego spotkania w Watykanie poświęconego przemocy seksualnej w Kościele, były tylko przygrywką do zaprezentowania „anegdotki", która niezmiernie mocno uderza w pamięć św. Jana Pawła II.

– Jest taka anegdota: kard. Joseph Ratzinger miał wszystkie dokumenty dotyczące zgromadzenia, w którym dochodziło do nadużyć seksualnych i ekonomicznych. Udał się do nich, ale natrafił na przeszkody i nie mógł do nich dotrzeć. Papież Jan Paweł II, który pragnął poznać prawdę, poprosił go o spotkanie. Joseph Ratzinger przedstawił na nim dokumentację, wszystkie zebrane papiery. Gdy wrócił, powiedział do swojego sekretarza: „Daj to do archiwum, wygrała druga partia" – powiedział na pokładzie samolotu Franciszek. – Nie wolno nam się tym gorszyć, to są kroki w dłuższym procesie. Ale jeśli chodzi o papieża Benedykta, to pierwszą rzeczą, którą powiedział po wyborze, było: „Przynieście mi z powrotem te papiery z archiwów" i rozpoczął śledztwo – zaznaczył Franciszek.

Co oznaczają te słowa? W największym skrócie – oskarżenie poprzednika, którego zresztą sam Franciszek wyniósł na ołtarze, o tolerowanie czy przykrywanie potężnych skandali seksualnych, a przynajmniej zgodę na to, by tolerowała je jakaś „druga partia". Oskarżenie to – o czym też warto pamiętać – nie zostało przy tym w żaden sposób uwiarygodnione ani nawet doprecyzowane, bo tego, że anegdotka dotyczy o. Marciala Maciela Degollado, założyciela Legionistów Chrystusa, dziennikarze najpierw domyślili się sami, a kilkanaście godzin później potwierdził to – realizujący politykę informacyjną Watykanu – portal „Vatican Insider". Niegroźna z pozoru anegdotka dotyczyła więc największego – co do tego nie ma wątpliwości – skandalu, który dotknął Kościół na przełomie wieków.

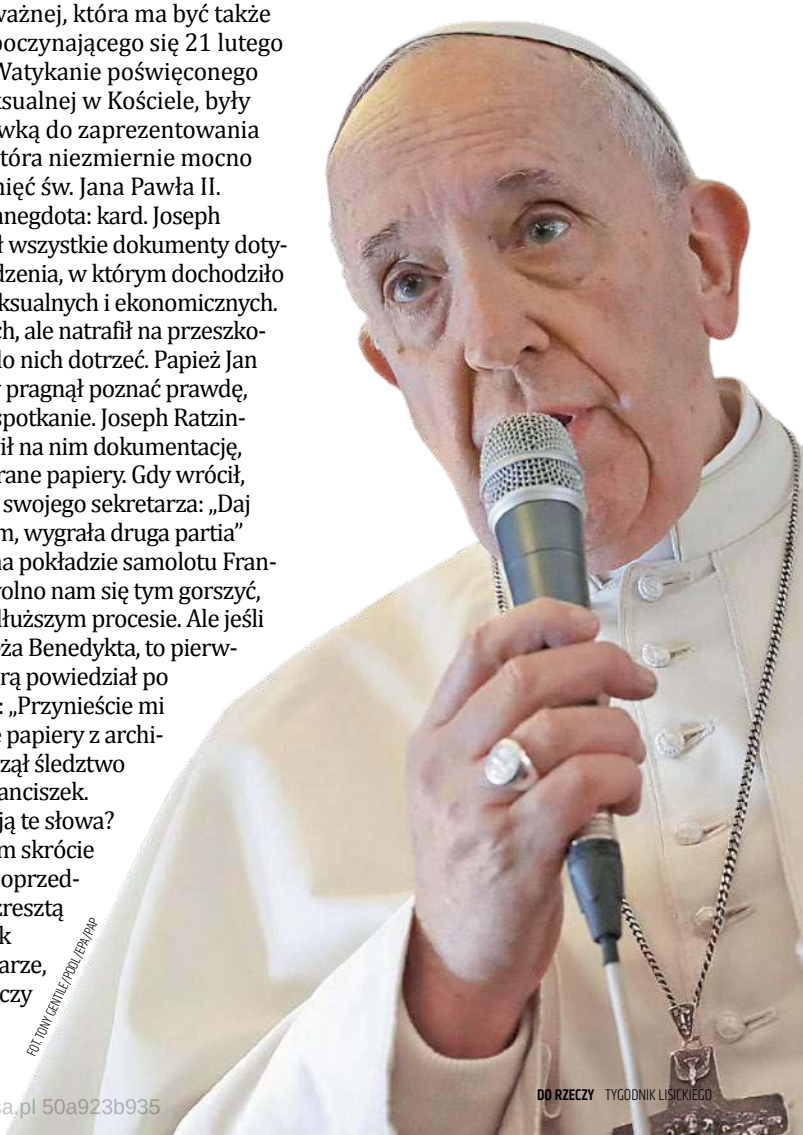

FOT. TONY GENTILE/POOL/EPA/PAP

eprasa.pl 50a923b935

Oto bowiem szanowany i podziwiany przez kolejnych papieży założyciel jednego z najbardziej dynamicznych zgromadzeń zakonnych, czyli Legionistów Chrystusa, okazuje się nie tylko człowiekiem niewierzącym, który na łożu śmierci odmawia spowiedzi, lecz także gwałcicielem setek chłopców, którzy studiowali w jego seminariach, „mężem" dwóch kobiet, ojcem trojga dzieci (dwóch ze swoich synów on sam zresztą zgwałcił), człowiekiem defraudującym miliardy dolarów. Jakby tego było mało, sygnały, że tak się dzieje, napływały do Stolicy Apostolskiej od lat 50. XX w. i… nic z tym nie zrobiono, choć raz kapłana zawieszono. Jeśli ktoś poszukuje dowodu na to, że Kościół lekceważył molestowanie seksualne, to trudno o lepszy.

ODNOWIONE ZARZUTY

Anegdota papieża ma jednak o wiele głębsze skutki. Tak się składa, że od wielu lat zarzut tolerowania przestępstw o. Marciala Maciela Degollado jest jednym z głównych argumentów przeciwników św. Jana Pawła II. Nawet w Polsce właśnie ta historia skłania antyklerykalnych aktywistów do oblewania pomników papieża farbą czy pisania kolejnych paszkwili, na Zachodzie zaś jest ona paliwem ogromnej liczby antypapieskich tekstów, książek i pamfletów. Do niedawna jednak nie formułowano takich zarzutów wewnątrz Kościoła czy Stolicy Apostolskiej, a postulator procesu ks. Sławomir Oder wyjaśniał, że zarzuty tego rodzaju zostały przeanalizowane i odrzucone. – Proces został przeprowadzony z całym rygorem. Nie było tematów, które stanowiłyby tabu i wyłączone zostały z procesu. Wszystkie wymienione sprawy były gruntownie przebadane. Wynikiem było to, że Ojciec Święty nie miał wątpliwości co do podpisania dekretu o heroiczności cnót Jana Pawła II. Chyba jest to całkowicie jednoznaczne – mówił postulator.

To, co było jednak oczywiste w trakcie procesu, co było jasne, gdy papież podpisywał akt kanonizacji i wynosił na ołtarze swojego poprzednika, od jakiegoś czasu w najbliższym otoczeniu Franciszka już takie nie jest. Kilka miesięcy temu dwóch watykanistów – Andrea Tornielli i Gianni Valente – opublikowało książkę „Dzień sądu", w której formułują zarzut, że najwięksi przestępcy seksualni w Kościele byli tolerowani, a czasem wynoszeni do najwyższych godności – poza obowiązującymi procedurami – właśnie przez św. Jana Pawła II. Ich zdaniem sugerowanie, że papież był wówczas zbyt schorowany, by rzeczywiście kontrolować nominacje, jest obraźliwe dla niego samego. To jednak nie wszystko – w książce pojawia się nawet sugestia, poparta opinią sekretarza Sygnatury Apostolskiej bp. Giuseppe Sciacci, możliwej dekanonizacji św. Jana Pawła II, gdyby udało się udowodnić, że nie praktykował on w stopniu heroicznym cnoty roztropności. Sugestia ta jest niezwykle mało prawdopodobna, bo tak się składa, że decyzje o kanonizacji podejmowane są przez papieży w mocy ich nieomylności. Gdyby więc chciano uznać, że akurat ta była omylna, to trzeba by naprawdę udowodnić, że ktoś Franciszka okłamał albo że on sam nie zajął się sprawą wystarczająco. Niezależnie jednak od tego, że sam pomysł jest mało prawdopodobny, zaskakiwać może, iż jest on formułowany. A jeszcze bardziej zaskakuje, że krótko po opublikowaniu tej książki Andrea Tornielli został mianowany dyrektorem programowym wszystkich mediów watykańskich. W największym skrócie oznacza to, że papież uczynił go autorem strategii informacyjnej papiestwa.

Osłabienie autorytetu św. Jana Pawła II ułatwia odrzucenie lub podważanie także jego nauczania w kwestiach moralnych

DEWOJTYLIZACJA KOŚCIOŁA?

Dla ludzi znających kulisy Stolicy Apostolskiej nominacja ta nie była zaskoczeniem. Tornielli od początku tego pontyfikatu jest jednym z najgorętszych zwolenników Franciszka, a jego książka służyć miała odwróceniu uwagi od zarzutów abp. Viganò. Włoski watykanista, a obecnie PR-owiec papieża Franciszka, uznał, że najlepszą metodą będzie… oskarżenie, a przynajmniej zasugerowanie, że za skandale odpowiada Jan Paweł II. I najwyraźniej podobną strategię zdecydowano się zastosować już nie w książce, ale w realu.

Czy jednak polityczno-medialne odwracanie uwagi od problemów tego pontyfikatu poprzez oskarżanie o zaniedbania świętego poprzednika jest jedynym powodem, dla którego sięgnięto po wspomnianą anegdotkę? Dla części watykanistów czy obserwatorów sytuacji w Stolicy Apostolskiej nie ulega wątpliwości, że powody mogą być inne. Osłabienie autorytetu św. Jana Pawła II (a tego rodzaju zarzuty, nawet w tak lekkiej formie, niewątpliwie go osłabiają) ułatwia odrzucenie lub podważenie także jego nauczania w kwestiach moralnych. A to one są obecnie głównym przedmiotem ataku najbliższych współpracowników papieża Franciszka. Jeśli uda się przekonać wiernych, że Jan Paweł II sam nie był heroiczny w kwestiach moralnych, to łatwiej będzie ich przekonać, że mylił się także w kwestii komunii dla rozwodników w ponownych związkach, homoseksualistów i ich miejsca w Kościele czy antykoncepcji. Osłabienie jego autorytetu ułatwia również proces oczyszczania Kościoła z instytucji założonych czy promowanych przez papieża z Polski, który od jakiegoś czasu dokonuje się w Watykanie. Wszystko to razem ułatwia zaś zerwanie z ortodoksją, której w kwestiach moralnych św. Jan Paweł II był zwolennikiem. Dlatego wiele wskazuje na to, że anegdotka papieża jest tylko przekąską przed daniem głównym i że w najbliższym czasie możemy się szykować na kolejne ostre ataki na papieża Polaka. Pytanie brzmi tylko, czy znajdzie on obrońców w Kościele w Polsce?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Piotr Semka z Londynu

Po pierwszym brexicie

Gdy ok. 416 r. n.e. ostatnie rzymskie legiony opuściły Brytanię, kraj ten odłączył się od pierwszej europejskiej wspólnoty politycznej. O tym, co było dalej, opowiada wystawa w British Library w Londynie

W ciągu kolejnych ponad 600 lat wyspą zawładnęły trzy najeźdźcze, germańskie plemiona zza morza – Anglowie, Sasi i Jutowie, którzy stworzyli masę małych królestw. Trzeba było wieluset lat ponownej żmudnej chrystianizacji, aby nawiązano na nowo kontrakty z kontynentem.

Większość z tego, co przetrwało, zgromadzono na wystawie pt. „Królestwa anglosaskie – sztuka, słowo, wojna". Takie wystawy noszą nazwę „a once in a generation exhibition" – wystawy raz na jedno pokolenie.

GERMAŃSKI MROK

Anglowie, Sasi i Jutowie, których nazywa się zbiorczo Anglosasami, podbili ziemie celtyckich Brytów między V a VI w. Najbardziej znanym śladem po tych walkach są legendy o królu Arturze, wodzu brytyjskim.

Anglosasi przywieźli na wyspę z germańskich i duńskich borów swoje pogańskie wierzenia z panteonem bogów – Odynem, Thorem i Freją. W dzisiejszej angielszczyźnie przypominają o tym nazwy dni – Wednesday poświęcony Odynowi, Thursday ku czci Thora i Friday – dzień bogini Frei.

Kultura germańska nie znała ksiąg. Jedyne jej ślady to pismo runiczne. Klasa kapłańska u Germanów była nieliczna i słaba. Nic więc dziwnego, że papiestwo, które dobrze pamiętało obecność chrześcijaństwa w Brytanii za czasów rzymskich, uznało, że odległa wyspa winna wrócić do wiary w Jezusa.

André Maurois w swoich „Dziejach Anglii" opisuje legendę, w której papież Grzegorz Wielki (540–604), przechadzając się obok targu niewolników w Rzymie, zatrzymał się poruszony widokiem młodzieńców o jasnych włosach i białej skórze ludzi z północy. Gdy spytał, skąd

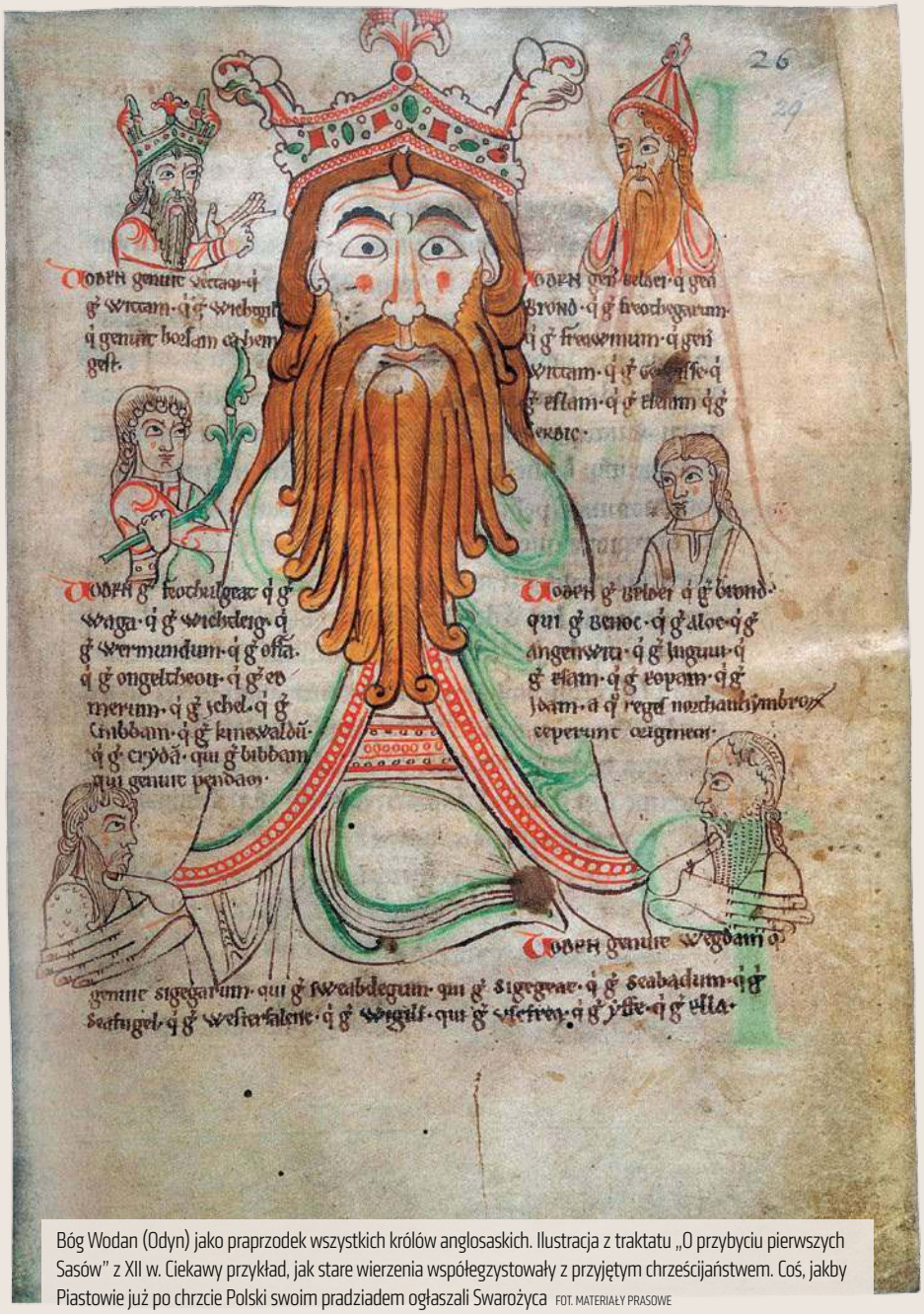

Bóg Wodan (Odyn) jako praprzodek wszystkich królów anglosaskich. Ilustracja z traktatu „O przybyciu pierwszych Sasów" z XII w. Ciekawy przykład, jak stare wierzenia współegzystowały z przyjętym chrześcijaństwem. Coś, jakby Piastowie już po chrzcie Polski swoim pradziadem ogłaszali Swarożyca FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 50a923b935

pochodzą, powiedziano mu, że to Anglowie z Brytanii i że ich lud tkwi w pogaństwie. „Non Angli sed Angeli" („Nie Anglowie, a Aniołowie") – miał odrzec pontifex. „Mają twarze aniołów, więc trzeba, żeby stali się towarzyszami aniołów z nieba".

Pierwsza misja pod wodzą benedyktyna Augustusa, przyszłego biskupa Canterbury, któremu towarzyszyło 40 innych mnichów, została wysłana w 597 r. na wyspy do króla Kentu – Æthelberta. Był to przemyślany wybór. Jego żona, Bertha, była już chrześcijanką jako córka króla Chariberta z rodu frankijskich Merowingów, którzy przyjęli chrzest w 496 r. Tak zaczęła się stosunkowo szybka chrystianizacja licznych królestw anglosaskich. Germańscy kapłani pogańscy słabo opierali się nowej wierze. A władcy szybko zauważali, że chrzest i pojawianie się kapłanów oraz budowa klasztorów oznaczają wzmocnienie ich władzy, kontakty z kontynentem i tworzenie się ośrodków piśmiennictwa wygodnych do kodyfikacji praw oraz wydawania pisemnych przywilejów. Przez pewien czas dochodziło do zgrzytów między wysłannikami z Rzymu i Paryża a misjonarzami z Irlandii, gdzie wiara przetrwała upadek Rzymu, ale obrosła celtyckimi partykularyzmami. Z czasem spory wygasły – zwyciężyły wpływy kontynentu. Stare jednak nie ginie od razu. Na wielkim kamiennym krzyżu z Ruthwell z VIII w., który ozdabia jedną z sal wystawy, wyryte są germańskie napisy runiczne, a po drugiej stronie krzyża – inskrypcje łacińskie.

Anglosaska broszka z motywem krzyża z Winfarthing (u góry) oraz klamra pasa z Sutton Hoo z motywamy celtyckimi, obie z VII w.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

EX BRITANNIAE LUX

Zaczyna się epoka silnych klasztorów – ośrodków życia religijnego i naukowego – oraz tworzenia licznych manuskryptów. Kapłani, chcąc, by przekaz wiary trafiał jak najszerzej, tłumaczą teksty religijne na staroangielski. Te zapisy chronią starodawną mowę od zapomnienia.

Dwa najsilniejsze, obok biskupstwa w Canterbury, ośrodki intelektualne znajdowały się w królestwie Northumbrii w północnej Anglii. To klasztor Wearmouth-Jarrow, gdzie swą „Historię kościelną ludów Anglii" napisze Beda Czcigodny (672–735), oraz klasztor Lindisfarne, silny ośrodek tworzenia manuskryptów. Oba klasztory miały ożywione kontakty z klasztorami irlandzkimi i monastyrem na szkockiej wyspie Iona. Nic dziwnego, że celtyckie ornamenty w wielu księgach anglosaskich budzą skojarzenia ze słynną irlandzką Księgą z Kells.

Kodeks Amiatyński (Codex Amiatinus), ok. 716 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ok. VIII w. zaczyna się złota epoka królestw anglosaskich. Raz na czoło wysuwa się królestwo Kentu, potem Northumbria, wreszcie Mercja. To jeszcze nie jest Anglia w późniejszym rozumieniu, ale z czasem wyłaniają się władcy będący w stanie zapanować nad masą lokalnych królewiątek.

Na wystawie w British Library widać, jak chrześcijaństwo odmieniło stosunek do dziejów. Po czasach pogańskich Germanów zostały zaledwie znaleziska z odkryć archeologicznych – magiczna figurka pogańska tzw. Spong Mana czy kunsztowne złote klamry władców. W czasach, gdy genealogia decydowała o władzy, królowie anglosascy dbają, by skrybowie opisali jak najdłuższy ciąg pokrewieństw władców, co pokazuje „Traktat o przybyciu pierwszych Sasów". Aby sprostać takim zadaniom, trzeba z kontynentu ściągać uczonych mężów z całego ówczesnego świata chrześcijańskiego.

Oto pochylam głowę nad kolekcją listów od Cypriana, biskupa Kartaginy (dziś Tunezja), który zmarł w 258 r. Do Cantenbury trafiły wraz z opatem Hadrianem. Beda Czcigodny opisuje go jako Afrykańczyka: „Vir natione Afri". Hadrian używał listów biskupa Kartaginy do nauki epistologii w kanterberyjskiej szkole katedralnej. Tenże Hadrian był mistrzem Aldhelma, późniejszego opata klasztoru w Sherborne. To on nauczył go pasji do eleganckich enigmatów. Nachylam się nad jedną z 300 zagadek zawartych w traktacie Aldhelma „Aenigmata": „Nikt nie może mnie zobaczyć lub dotknąć, przenikliwy dźwięk mojego głosu rozlewa się po ziemi, rozbijam dęby i biegam po polach – kim ja jestem?". Trzeba uważniej obejrzeć całą stronę, by na jej krawędzi zauważyć napisaną maleńkimi literkami odpowiedź: „Ventus" – „wiatr".

Tuż obok gigantyczny Kodeks Amiatyński (Codex Amiatinus) z początku VIII w. – przepięknie iluminowany. Na pergamin potrzebny do jego stworzenia zużyto skóry ponad 500 cieląt. Stworzony w klasztorze Wearmouth-Jarrow został wysłany w 714 r. do Rzymu jako dar dla papieża od wiernej ziemi Anglów. W końcu wylądował w Toskanii i teraz, po ponad 1300 latach, powrócił do Brytanii – miejsca swych narodzin.

„Ludzie myślą o tej epoce jako o ciemnych wiekach. Tymczasem to, co chcemy

eprasa.pl 50a923b935

pokazać, to stopień wyrafinowania ówczesnej sztuki i życia intelektualnego" – wskazuje kuratorka wystawy Claire Breay.

Najwięcej Brytyjczyków tłoczy się wokół staroangielskiego poematu o Beowulfie w kopii z ok. 1000 r. To opowieść o tytułowym księciu szwedzkim, który zabija strasznego smoka Grendela. Epos porównywany jest do poematów homeryckich.

I jeszcze jeden eksponat – mała niepozorna książeczka oprawiona w brązową skórę. To Ewangeliarz św. Kutberta z wczesnego VIII w. Po śmierci Kutberta w 687 r. książkę włożono do jego trumny. Wyjęto ją w 1104 r. w czasie przeniesienia szczątków do krypty w katedrze w Durham. Jest to najstarsza w Europie książka zachowana w oryginalnej oprawie. Fascynujące są też jej dzieje. Po wiekach skomplikowanych dziejów ewangeliarz trafił do jezuitów, którzy trzy dekady temu oddali go w depozyt British Library. Specjalna publiczna zbiórka wśród obywateli Zjednoczonego Królestwa pozwoliła wykupić modlitewnik od zakonu w 2012 r. za sumę 9 mln funtów i dziś jest to własność narodowej książnicy Brytyjczyków.

Krzyż kamienny z Ruthwell z VIII w. Po jednej stronie wyryte są germańskie napisy runiczne, a po drugiej inskrypcje łacińskie FOT. PIOTR SEMKA

Jednak w dokumentach są też spory jak najbardziej ziemskie. Oto w zbiorze listów opata Alcuina z Yorku oglądać można kopię listu Karola Wielkiego do króla Offy – władcy Mercii z lat 757–796. Karol wzywa kolegę zza morza do wyciągnięcia sankcji wobec nieuczciwych kupców anglosaskich, którzy udają pobożnych pielgrzymów zmierzających do Rzymu, aby uniknąć podatku nakładanego w kraju Franków na obcych handlarzy. Ludzka natura nie zmienia się od stuleci.

RZYMSKOŚĆ ZOBOWIĄZUJE

Te manuskrypty przetrwały napady wikingów, podbój Normanów, rozwiązanie klasztorów po wprowadzeniu reformacji oraz pożar kolekcji księgozbiorów staroangielskich zgromadzonych przez sir Roberta Cottona.

„Książki podróżowały tak jak ludzie i były środkiem przekazu wiedzy i kultury wzdłuż i w poprzek Europy. Tak samo jak wielu rękopiśmienników i artystów, którzy tworzyli te arcydzieła, krążąc między Europą a królestwami anglosaskimi" – piszą autorzy ekspozycji.

Joanna Story, autorka wystawy, wskazuje w katalogu, że do dziś przetrwało jedynie 13 ksiąg w nienaruszonym stanie, które stworzono w Anglii lub które były na tym terenie przed 1100 r. Jak oceniają autorzy wystawy, to tylko niewielka część manuskryptów, które mogły występować na wyspie w tym czasie. Najwięcej dzieł unicestwiono podczas najazdów wikingów, które za cel chętnie brały zamożne klasztory. Tam rabowano głównie złoto i drogocenne kamienie. Księgi zazwyczaj płonęły w pożarach, którymi barbarzyńcy z północy wieńczyli dzieło zniszczenia.

Znacznie więcej zachowało się pisemnych przywilejów – ok. 200. Te strzeżono jak oka w głowie, bo decydowały o prawach do ziem, lasów i majątków.

Niekiedy to samo zjawisko niosło zagrożenia, a także szanse. Reformacja wprowadzona w latach 30. XVI w. przez króla Henryka VIII oznaczała niszczenie klasztorów. Jednak równocześnie lansowany przez Marcina Lutra powrót do popularyzacji czytania Biblii w językach narodowych oznaczał wzrost zainteresowania Pismem Świętym w staroangielszczyźnie. Z tego powodu jeden z liderów reformacji anglikańskiej abp Canterbury Matthew Parker (1504–1575) wynajdował i gromadził teksty z czasu królów anglosaskich, idealizując pierwsze wspólnoty chrześcijańskie na wyspach jako wzór dla anglikanów.

Gdy w 1066 r. książę normandzki Wilhelm Zdobywca podbił Brytanię, z początku narzucono język francuski jako język dworu i kancelarii dworskich. Jednak angielszczyzna się nie dała. Tyle że już po wiekach bardzo różniła się od germańskiej mowy Anglów, Sasów i Jutów.

Rzymska tradycja i celtyckie korzenie Brytów, którzy roztopili się w anglosaskim żywiole, wytworzyły w końcu język, który dziś bardzo się różni od języka niemieckiego. Każdy, kto uczył się mowy Goethego, wie, o ile prostsza jest gramatyka angielska. Różnice z biegiem wieków zaszły tak daleko, że w XVIII w. pisarz Samuel Pepys żartował, iż człowiek żyje zbyt krótko, by nauczyć się po niemiecku.

Nie zrozumiał tego krwawy szaleniec Adolf Hitler, który długo wierzył, że germański komponent we krwi Brytyjczyków skłoni ich do sojuszu z III Rzeszą w dziele wspólnego panowania nad ludami Azji, Oceanii i Afryki.

Anglicy odmówili takiego aliansu być może dlatego, że rzymskie dziedzictwo pomogło im zauważyć w nazizmie nie tylko polityczne zagrożenie, lecz także coś nieskończenie wulgarnego.

Jak napisał André Maurois: „Brytania jest krajem, w którym nie tylko znajdujemy rzymskie pamiątki, ale też sama jest pomnikiem rzymskim".

A to rzymskie dziedzictwo nie przetrwałoby bez setek w większości bezimiennych autorów i skrybów, których księgi obejrzeć można w British Library.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Królestwa anglosaskie – sztuka, słowo, wojna" w British Library w Londynie potrwa do 19 lutego br. Szczegóły na: www.bl.uk/events/anglo-saxon-kingdoms.

eprasa.pl 50a923b935

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

AK-owiec w UB

Prawdziwa historia nie przepada za propagandą. Propaganda przedstawia bowiem przeszłość w sposób uproszczony i czarno-biały. Przeszłość jest zaś na ogół bardzo skomplikowana i pełna odcieni szarości. Propaganda lansuje nieskazitelnych bohaterów, a w prawdziwej historii nieskazitelni bohaterowie występują bardzo rzadko.

Dowodem na to może być pasjonująca książka „Tadeusz Kalita »Spóźniony« melduje". Kim był tytułowy bohater? Żołnierzem Armii Krajowej, który podczas okupacji niemieckiej zapisał piękną kartę. Wykazał się wielkim poświęceniem i bohaterstwem, m.in. brał udział w likwidacji gestapowca Ottona Osmana.

Gdyby Kalita zginął w trakcie okupacji, zająłby miejsce w panteonie bohaterów narodowych. Kalita wojnę jednak przeżył, a po jej zakończeniu został dobrowolnym konfidentem UB. Ponieważ miał znakomite kontakty w środowiskach byłych partyzantów w gminie Boksyce, stanowił dla bezpieki niezwykle cenny nabytek.

Donosy „Spóźnionego" wydobył z archiwum i opublikował dr Jerzy Mazurek. Dokumenty te w interesujący sposób obrazują powojenną rzeczywistość prowincjonalnej Polski. Kalita był agentem wyjątkowo groźnym, dostarczane przez niego informacje mogły zaszkodzić wielu ludziom. „Obywatelka Przeobrażeńska z Kosowic – donosił w styczniu 1953 r. – nigdy nie opuszcza okazji, ażeby nie potępić ustroju Ludowego ze Związkiem Radzieckim na czele".

Najbardziej interesujące jest jednak co innego – informacje o wojennej i powojennej działalności polskiej konspiracji. Śledczych z UB interesowała bowiem nie tylko teraźniejszość, lecz także przeszłość. „Spóźniony" opowiadał więc o akcjach, ludziach, powiązaniach i konfliktach, które występowały w łonie polskiej partyzantki. O trudnych relacjach w trójkącie AK-BCh-NSZ.

Obraz, który wyłania się z donosów „Spóźnionego", jest oczywiście diametralnie inny niż obraz przedstawiany przez speców od tzw. polityki historycznej, ale przez to jest dużo ciekawszy. ©℗

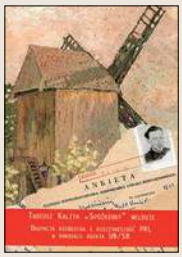

★★★★★★

JERZY MAZUREK (RED.)
„TADEUSZ KALITA »SPÓŹNIONY« MELDUJE"
MHPRL I ISIII UW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pięciu poległych

Porażka Rosji w wojnie krymskiej i śmierć cara Mikołaja I obudziły nadzieję na zmianę położenia Polaków w zaborze rosyjskim. Niestety, nowy władca Rosji, Aleksander II, wprawdzie widział potrzebę reform, jednak nie przewidywał autonomii dla upartych Polaków. Po przybyciu do Warszawy w maju 1856 r. wypowiedział znamienne słowa: „Żadnych marzeń, panowie!", chociaż ogłosił amnestię i zezwolił na powrót emigrantów.

Władze rosyjskie zgodziły się na uroczysty pogrzeb zabitych

Nie zadowoliło to właściwie nikogo i w Kongresówce narastało wrzenie. Pierwszą okazją do publicznej demonstracji stał się pogrzeb wdowy po bohaterskim obrońcy Woli, gen. Józefie Sowińskim (czerwiec 1860 r.). Kilka miesięcy później, w 30. rocznicę wybuchu powstania listopadowego, odbyła się msza żałobna w kościele Karmelitów na Lesznie. Wieczorem przed świątynią młodzież zaintonowała „Boże, coś Polskę" ze zmienionym refrenem („Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie"). W drodze powrotnej do domów śpiewano nawet „Mazurka Dąbrowskiego", wywołując na ulicach prawdziwy popłoch.

W rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską zorganizowano kolejną manifestację, tym razem z chorągwią z Orłem i litewską Pogonią. Naprzeciwko demonstrantów stanął (w pojedynkę!) oberpolicmajster Fiodor Trepow, nawołując tłum do rozejścia się. Pycha carskiego policjanta nie na wiele się przydała i „przy wodotrysku dostał po pysku". Znakomicie poprawiło to humor zebranym, jednak do akcji wkroczył oddział żandarmów. Manifestantów, wśród których było wiele kobiet, płazowano szablami i obalano końmi – w sumie aresztowano 30 osób.

Dwa dni później, 27 lutego 1861 r., pod Pałacem Namiestnikowskim pojawiła się potężna demonstracja z żądaniem uwolnienia aresztowanych. Na czele pochodu niesiono krucyfiks i obraz Matki Bożej, a przybyłych Kozaków obrzucono kamieniami i grudami zmarzniętego błota. Wtedy dowodzący akcją gen. Wasyl Zabłocki (też oberwał kamieniem) nakazał otwarcie ognia. Zginęło pięciu demonstrantów. Ich zwłoki przeniesiono na „noszach z lasek i parasoli" do Hotelu Europejskiego. Budynek oblegały tłumy, „wołając o pomstę za niewinnych i maczając chusty w ich krwi, za sprawę ojczyzny przelanej".

Władze rosyjskie zgodziły się na uroczysty pogrzeb zabitych, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich stanów i wyznań (również rabini). Był to gest bez znaczenia, gdyż carski namiestnik, książę Michaił Gorczakow, dostał już carski nakaz stłumienia zamieszek siłą. Kolejne zajścia w stolicy miały ostatecznie doprowadzić do wybuchu tragicznego powstania styczniowego. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

Harcerz ucieka z klatki

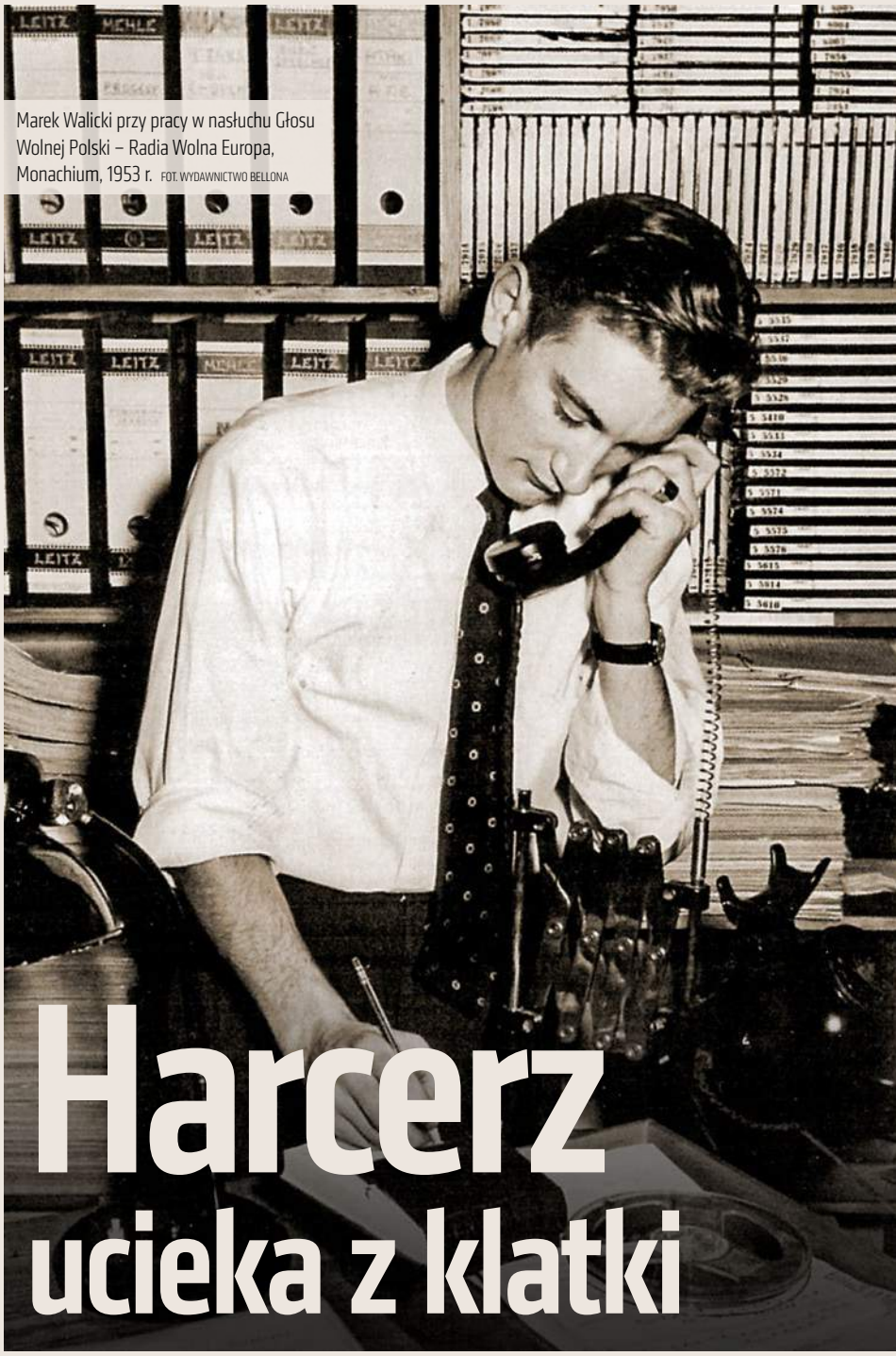

Marek Walicki przy pracy w nasłuchu Głosu Wolnej Polski – Radia Wolna Europa, Monachium, 1953 r. FOT. WYDAWNICTWO BELLONA

Z Markiem Walickim, autorem wspomnień o ucieczce z PRL
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego postanowił pan dać nogę z Polski Ludowej?

MAREK WALICKI: Niemal cała moja książka odpowiada na to pytanie. Tym, którzy nie pamiętają lub nie mają pojęcia, co to były za czasy – po tzw. wyzwoleniu – przypomnę jednak początek rozdziału zatytułowanego „Ucieczka": „Komuniści bez skrupułów niszczyli – w tych latach – wszystkich »reakcyjnych bandytów«, czyli katowali, mordowali i więzili tysiące polskich patriotów, w tym mojego przyrodniego brata, Michała, profesora, wybitnego historyka sztuki". W roku 1949, po odrzuceniu ideologii Roberta Baden-Powella i przerobieniu Związku Harcerstwa Polskiego na wzór sowieckiego Pioniera, dla mnie – harcerza rodem z „Szarych Szeregów" – Polska zamieniała się w klatkę, w której dla takich jak ja nie ma przyszłości.

Zrazu miała zbiec na Zachód trójka nastolatków.

Staszka Gerbera wykluczyła choroba. Był synem właścicieli kina Tęcza w Piasecznie, a więc „burżujów", których komuniści mieli oczywiście na oku i tępili w ramach tzw. walki z „prywatną inicjatywą". Straciliśmy ze sobą kontakt. Dopiero kilka lat temu, odwiedzając grób mojej matki na Powązkach, natknąłem się przypadkowo również na jego mogiłę. Zmówiłem przy niej „wieczne odpoczywanie". Na Zachód przez zieloną granicę uciekałem razem z innym szkolnym kolegą – Marianem Krauzem, który szybko wyemigrował z Niemiec do Kanady. Zmarł parę lat temu.

O wyprawie nie poinformowaliście nawet rodziców?

Zanadto ich kochaliśmy i nie chcieliśmy ich martwić. To była niebezpieczna ekspedycja. Mogąca zakończyć się śmiercią albo więzieniem. Zostawiliśmy jednak listy pożegnalne Gerberowi, który wręczył je naszym rodzicom po dobrym tygodniu, kiedy byliśmy już na Zachodzie, skąd daliśmy znak, że żyjemy.

Trasa via Czechosłowacja do Trizonii [strefa okupacyjna w Niemczech, później RFN – przyp. red.] była jedyną, którą rozważaliście?

Nie. Braliśmy również pod uwagę Świnoujście i Cheb. Nawet odbyłem rekonesans na wyspę Uznam, aby zbadać sytuację. Kiedy jednak zobaczyłem WOP-istów z pepeszami spacerujących po plaży, pożegnałem się z tym pomysłem. Przed przejściem przez graniczny Cheb ostrzegli nas Czesi. Wyłapywano tam podobno wielu uciekinierów. Wybraliśmy więc lesiste wzgórza w pobliżu graniczącego z amerykańską strefą okupacyjną Niemiec miasteczka Železná Ruda-Eisenstein.

Nieopodal Śnieżki o mało co nie zdemaskowali was WOP-iści...

Bywałem w Karpaczu wcześniej i znałem nieźle Karkonosze. Zaskoczyła mnie jednak świeżo wzniesiona strażnica z przybudówką, której – chcąc nie chcąc – nie mogliśmy już ominąć. Szczęśliwie lokalny kapral nie miał doświadczenia, a może po prostu nie wzbudziliśmy jego podejrzeń. Okazał się „dobroduszny", gdyż puścił nas bez przepustek (umożliwiających pobyt

eprasa.pl 50a923b935

w strefie przygranicznej), ułatwiając tym samym przejście na stronę czechosłowacką.

Czesi wyciągnęli pomocną dłoń.

Z praską rodziną Horice byłem mocno zaprzyjaźniony już wcześniej. Nie wydali nas, mimo że w międzyczasie zostali formalnie – jak powiadali – „dobrymi komunistami". Przechowali nas przez kilka dni, żywili, pomogli w zakupie biletów kolejowych, załatwili mapę wojskową (wielce precyzyjną – w skali 1:100 000) interesującego nas obszaru, eskortowali na właściwy dworzec kolejowy i peron. Nie lubię więc, kiedy Polacy określają Czechów lekceważąco mianem „Pepiczki".

Fortuna uciekinierom sprzyjała.

Anioł stróż też chyba czuwał nad nami. Niemniej nie obyło się bez komplikacji. Część trasy pokonaliśmy na... buforach ostatniego wagonu. Udało się przechytrzyć dociekliwego konduktora i umknąć uwadze czechosłowackich strażników. A po skokach z pociągu, zwalniającego nieco na krętej górskiej trasie, wylądowaliśmy tuż przy torze bez najmniejszych obrażeń.

Gdyby nie sprawności harcerskie, ekspedycja zakończyłaby się fiaskiem?

Niewątpliwie „trzy pióra" harcerza orlego ogromnie pomogły. Szczególnie gdy po skoku z pociągu przedzieraliśmy się o zmierzchu podczas jesiennej słoty przez gęsty las. W końcu obraliśmy właściwy azymut, docierając 22 października 1949 r. na upragniony Zachód. Pierwszą noc, wyczerpani, spędziliśmy, śpiąc smacznie w więzieniu policji niemieckiej, a po kilku dniach zgłosiliśmy się do Amerykanów.

Za ucieczkę komuniści ukarali dyrektorkę waszego liceum...

Ciekawe, że dowiedziałem się tego dopiero w wolnej Polsce. Wcześniej nikt mnie o tym nie poinformował. Nawet matka, która po kilkunastu odmowach paszportu dostała go wreszcie i odwiedziła mnie w Stanach, poznała moją żonę oraz wnuki. Sprawę sankcji komuny wobec dyrektor Emilii Steinbokówny poznałem podczas lektury złotej księgi Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Plater, wydanej w 2012 r. przez Stowarzyszenie Przyjaciół i Wychowanków tej szkoły, funkcjonującej w Warszawie i w Zalesiu Dolnym, do którego należę.

Mam nieco żalu do Bellony, że nie zamieściła w mojej książce fotokopii pisma Ministerstwa Oświaty w Warszawie z 3 lutego 1950 r., w którym dyrektor Steinbokówna przeniesiona została w stan spoczynku „za brak odpowiedniego nastawienia młodzieży pod względem ideowym". Bez wątpienia przyczyniła się do tego nasza ucieczka.

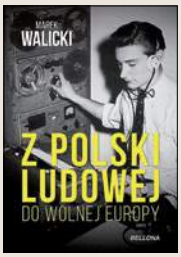

MAREK WALICKI
„Z POLSKI LUDOWEJ DO WOLNEJ EUROPY"
BELLONA 2018

Dziennikarzem Marek Walicki został przypadkowo?

W pewnym stopniu tak. W Polsce chciałem być architektem. Zdałem nawet egzamin do Liceum Sztuk Plastycznych, po którego ukończeniu łatwiej się było dostać na wydział architektury, ale wyperswadowano mi, że wykształcenie ogólnokształcące jest bardziej uniwersalne.

Gdy znalazłem się w Monachium, studiowałem ekonomię polityczną. Następnie, pracując już w sekcji polskiej Radia Wolna Europa, zapisałem się na stomatologię z myślą ukończenia tych studiów w USA. Z różnych powodów okazało się to niemożliwe, toteż pozostałem przy dziennikarstwie. Najpierw w nowojorskim oddziale RWE, a potem w Głosie Ameryki. Rozgłośnie te zastąpiły mi niejako wojsko polskie, do którego zamierzałem się dostać, opuszczając ojczyznę, by wrócić z nim do niej i rozprawić się z komunistami. Nie znałem wówczas realiów geopolityki, toteż były to nieco naiwne młodzieńcze marzenia, choć nie tylko moje, lecz także bardzo wielu znacznie starszych polskich patriotów.

Najgroźniejszą wtyczką komuny w sekcji polskiej RWE był Zbigniew Brydak?

Wyrządził – moim zdaniem – więcej szkód niż osławiony kpt Andrzej Czechowicz. Brydakowi poświęcam w książce sporo miejsca, określając go sparafrazowanym zwrotem komunistycznej propagandy: „zapluty karzeł UB-ecji". Udając przyjaciela – był moim harcerskim przełożonym – polował i na mnie. Powróciwszy do PRL, zasłynął agresywną publicystyką antyemigracyjną w radiostacji Kraj, której adresowane odręcznie biuletyny mi przysyłał.

Do przeprowadzki za ocean nakłonili pana bliscy z USA?

Bynajmniej. Zadecydował – śmiem twierdzić – zdrowy rozsądek. Chciałem skończyć z tymczasowością, założyć rodzinę, studiować, a w Niemczech nie było do tego odpowiednich warunków. Podjąłem więc jeszcze jedną odważną decyzję i chociaż nikt mnie z Głosu Wolnej Polski nie wyrzucał, opuściłem Monachium, ku zdziwieniu redakcyjnych kolegów i samego dyrektora Jana Nowaka.

W Stanach – w St. Louis – miałem jedynie przyszywaną ciotkę. Przysłała mi zaproszenia (wystawione przez jej sąsiada – milionera) – oraz gwarancję zatrudnienia. Najpierw tłukłem bruk wraz z Murzynami, potem – już w New Jersey – byłem malarzem i spawaczem w szwedzko-amerykańskiej fabryce metalurgicznej. Po kilku latach wróciłem przed mikrofon.

Powrót do Polski nigdy nie wchodził w rachubę?

32 lata po ucieczce przyjechałem prywatnie, będąc już obywatelem amerykańskim. Pokazałem córce Krystynie moje stare kąty w Warszawie i Zalesiu Dolnym. Służba Bezpieczeństwa deptała mi wówczas po piętach.

Zawodowo pojawiłem się siedem lat później. Głos Ameryki zaopatrzył mnie wówczas – na wszelki wypadek – w paszport dyplomatyczny, czym nie byli zbyt zachwyceni niektórzy urzędnicy ambasady USA w Warszawie. Można się tylko domyślać, z jakich powodów.

Jeśli zaś chodzi o powrót na stałe, to do roku 1989 nikt na emigracji „niepodległościowej" nie wierzył, że doczekamy się suwerennej Polski, która powitałaby nas z otwartymi ramionami. Lata leciały, pracowałem nadal w Głosie Ameryki, musiałem wyrobić sobie emeryturę i przenoszenie się na stałe do kraju oznaczałoby dla mnie nową rozłąkę, przede wszystkim oddalenie się od dorosłych dzieci z zamerykanizowanymi wnukami. A na to trudno się już zdecydować, mając dobrze ponad 80 lat i chorą żonę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marek Walicki (ur. 1931) – dziennikarz sekcji polskiej Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Mieszka w Waszyngtonie. Autor wspomnień „Z Polski Ludowej do Wolnej Europy".

eprasa.pl 50a923b935

FOT. SVEN HOPPE/DPA/AFP/EAST NEWS

Z Petrem Bystroniem, byłym szefem AFD w Bawarii, deputowanym do Bundestagu, sekretarzem Komisji Spraw Zagranicznych
rozmawia Cezary Gmyz

AfD jest zaszczuwana

CEZARY GMYZ: Od ponad dwóch lat AfD jest reprezentowana nie tylko w parlamentach poszczególnych krajów związkowych, tzw. Landtagach, lecz także w Bundestagu. Jak w tej chwili funkcjonuje pańska partia w strukturach parlamentarnych?

PETR BYSTROŃ: Jako partia funkcjonujemy całkiem sprawnie, ku zaskoczeniu wszystkich pozostałych ugrupowań. A zaskoczenie wynika najprawdopodobniej z tego, że partie te wierzyły w to, co na nasz temat głosiła propaganda, którą same tworzyły. Były przekonane, że do Bundestagu wkroczą kompletni idioci w czarnych podkutych wojskowych buciorach. Okazało się, że jest zupełnie inaczej. Jesteśmy partią, która jeszcze pięć lat temu w ogóle nie istniała. A to oznacza, że każdy z nas przed wkroczeniem do świata polityki miał jakiś zawód, a w dodatku większość z nas w pracy zawodowej osiągała sukcesy i bez problemu była w stanie utrzymać swoje rodziny. I to doświadczenie widać wśród naszych parlamentarzystów. To potwierdzają również twarde dane statystyczne. Wynika z nich, że nasi parlamentarzyści na tle innych są najlepiej wykształceni, większość z nich ma ukończone studia wyższe, i to na prestiżowych uczelniach oraz kierunkach. To dawało efekty w pracy parlamentarnej, jeszcze kiedy nie dysponowaliśmy gronem naukowych współpracowników, ekspertów. Szybko się okazało, że nasi parlamentarzyści potrafią dobrze i rzeczowo przemawiać, co polityków z innych partii zaskakiwało.

Inną sprawą jest to, jak traktują nas pozostałe partie. Jasno widać, że posługują się przede wszystkim dyfamacją i obelgami, izolacja AfD w parlamencie jest zaś bardzo mocna. Funkcjonuje nie tylko w ramach instytucjonalnych, lecz także w głowach pozostałych posłów. Wygląda to tak, że pozostałe partie zablokowały jakąkolwiek współpracę z nami, a wszystkie zgłaszane przez nas wnioski i projekty są odrzucane.

Owszem, ale zwróciłem uwagę, że stosunkowo często wasze projekty są przejmowane przez inne partie i zgłaszane jako własne, z kosmetycznymi tylko zmianami.

Dokładnie tak jest. To prowadzi do kompletnie absurdalnych sytuacji. Właśnie w tej chwili mamy w Landtagu w Bawarii sytuację groteskową. Ugrupowanie, które współrządzi w Bawarii

eprasa.pl 50a923b935

z CSU, czyli Wolni Wyborcy (Freie Wähler), złożyło w czasie wyborów obietnice, które potem porzuciło. My po wyborach zgłosiliśmy je jako nasz projekt na forum Landtagu. I co się stało? Wolni Wyborcy zagłosowali przeciwko swojemu własnemu projektowi. A jednemu z deputowanych się wymknęło, kiedy jeszcze nie wyłączono mikrofonu: „No, przecież nie możemy głosować tak jak AfD". Najczęściej jednak bywa odwrotnie. Inne partie głosują przeciw naszemu projektowi, a po dwóch, trzech tygodniach zgłaszają go jako swój w prawie identycznej formie i wówczas głosują za nim.

Można więc powiedzieć, że jesteście ustawodawczymi trendsetterami.

Tak. I nie jest to żaden dowcip. Dokładnie teraz SPD zgłosiła projekt podwyżki rent i emerytur aż o ponad 400 euro. Była to wcześniejsza propozycja AfD. Uzasadnienie, które czerwoni złożyli do projektu, brzmi tak, jakby zostało spisane z wiecu wyborczego AfD. Przedstawili naszą retorykę jeden do jednego.

Czy to oznacza, że jesteście partią lewicową, skoro wasze pomysły powielają socjaliści?

Oczywiście, że nie jesteśmy partią lewicową. Oznacza to jedynie, że to właśnie AfD troszczy się o ludzi w naszym kraju. To krzycząca niesprawiedliwość, że większość emerytów i rencistów musi żyć za bardzo skromne środki. Jestem z Monachium i na całym świecie wiedzą, że to bardzo bogate, ale też drogie miasto. A co drugi emeryt ma tam mniej niż średnio 800 euro, emerytury, co oznacza, że są tacy, którzy mają jeszcze mniej, np. 300–400 euro, i muszą za to przeżyć, choć przez całe życie zawodowe ciężko pracowali i regularnie płacili składki oraz podatki. Ci ludzie widzą całe masy imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, którzy nie zapłacili ani centa składki czy podatku, ale otrzymują świadczenia, które niejednokrotnie są wyższe niż emerytury. A co gorsza, duża część tych ludzi przybywających do Niemiec w ogóle nie ma ochoty podejmować uczciwej pracy, bo zasiłki, zwłaszcza jeśli ktoś ma dużo dzieci, pozwalają na całkiem godziwe życie. Inna sprawa, że część z tych ludzi ma dodatkowe dochody. Jednak nie jest to ten rodzaj dochodu, od którego się płaci podatki.

No i znowu wyszło szydło z worka – jesteście partią tylko jednego tematu, czyli imigracji.

To zabawne. W 2013 r., kiedy nasza partia była zakładana, też zarzucano nam, że jesteśmy partią tylko jednego tematu. Przypomnę, że główną przyczyną powstania partii była krytyka euro, tej kompletnie bezsensownej akcji ratowania banków, które przespekulowały w Grecji. Wówczas mówiono: AfD to partia jednego tematu, czyli euro. Dwa lata później zaczęto mówić, że jesteśmy partią jednego tematu, czyli migracji. A to w praktyce oznacza, że jesteśmy partią co najmniej dwóch tematów (śmiech). Mówiąc jednak całkiem poważnie – nasz program partyjny liczy sto stron i opisuje wszystkie możliwe obszary, począwszy od spraw obronności, a skończywszy na bezpieczeństwie wewnętrznym, kwestiach społecznych i ubezpieczeniach społecznych. To pełnowartościowy program. Razem z poparciem, które mamy, sprawia to, że tak jak CDU czy SPD jesteśmy partią ludową z masowym poparciem. Problemem jest natomiast to, że media nie tylko tego nie nagłaśniają, lecz także kompletnie to przemilczają.

Skąd ja to znam? Jak zwykle winne są media.

Podam tylko jeden przykład. Nie tak dawno miałem wystąpienie w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Żeby zilustrować stosunek mediów do nas, nie musiałem nawet sięgać po przygotowaną wcześniej prezentację. Wziąłem po prostu do ręki bieżące wydanie największego niemieckiego dziennika, czyli „Bild". I jedna ze stron tej gazety doskonale obrazowała stosunek mainstreamu do nas. Główny materiał był poświęcony organizacjom pozarządowym, które w gruncie rzeczy są zwykłymi szmuglerami ludzi do Europy. To jeden z naszych głównych tematów, to my wprowadziliśmy go do obiegu publicznego, ostro krytykując ten sposób działania. Od samego początku, kiedy jeszcze nikt się tym tematem nie interesował, alarmowaliśmy w tej sprawie i pisaliśmy zawiadomienia do prokuratury. Mimo tego w całym teście nazwa AfD nie padła ani razu. O zdanie spytano natomiast CDU i FDP, które jeszcze niedawno w ogóle nie zajmowały się tym tematem. Jeszcze gorzej było w artykule umieszczonym obok – „CDU i FDP wreszcie chcą coś zrobić z dieslami". Tymczasem całą sprawę z dieslami jako pierwsza półtora roku temu podniosła AfD. To był jeden z głównych tematów naszych kampanii wyborczych. Teraz nagle stare partie się zorientowały, że ta sprawa porusza ludzi. Wskoczyli na nasz obszar, a media zaczęły bębnić, że to zasługa CDU i FDP. I tutaj też nie wspomniano nas ani słowem. Byliśmy za to głównym bohaterem trzeciego tekstu: „Czy AfD jest dla nas hańbą?". Ozdobiono go zdjęciami Auschwitz, budząc skojarzenie, że jesteśmy spadkobiercami nazizmu.

A nie jesteście? Codziennie nieomal czytam, że odwołujecie się do brunatnej ideologii. Bywały też ze strony waszych działaczy wypowiedzi co najmniej kontrowersyjne, gloryfikujące m.in. Wehrmacht. To nie kto inny, tylko wasz były członek i eurodeputowany powiedział, że AfD to NPD w wersji light.

To totalne bzdury. Jesteśmy jedyną partią posiadającą katalog organizacji, których członkowie, nawet byli, nie mogą do nas wstąpić. Wśród nich są wymienione wszystkie te partie prawicowe i lewicowe, które odwołują się do radykalnych ideologii – NPD, DVU, SED, również NSDAP. Jeśli ktoś choćby tylko jeden dzień był ich członkiem, to nie może do nas przystąpić. W innych partiach nie ma takiego zakazu, co oznacza, że były członek NPD czy SED może przystąpić np. do FDP czy CDU.

W Bundestagu zasiada do tej pory partia komunistyczna. I nikomu nie przeszkadza, że rządzą dziedzice partii totalitarnego państwa

W Bundestagu zasiada do tej pory partia komunistyczna, czyli SED, tyle tylko, że dwa razy już zmieniła nazwę i teraz nazywa się Die Linke. Jednak to są ci sami komuniści, którzy po SED odziedziczyli nieruchomości i pieniądze. I nikomu nie przeszkadza, że ci dziedzice partii totalitarnego państwa współrządzą w Berlinie czy Turyngii. Czy może sobie pan wyobrazić, że tutaj, w Bundestagu, jako współpracownik jednego z deputowanych lewicowych zatrudniony jest były terrorysta z Frakcji Czerwonej Armii, Christian Klar? Człowiek, który mordował innych ludzi i był skazany za mord polityczny na 10 lat więzienia. Tacy ludzie pracują dla komunistów w Bundestagu.

eprasa.pl 50a923b935

AfD jest jedyną partią, do której nigdy nie przyjęto żadnego członka NSDAP. Tymczasem naziści byli członkami CDU, SPD, FDP, a nawet Zielonych, no i oczywiście w NRD wstępowali oni do SED, której spadkobiercą, i to w sensie dosłownym, jest Die Linke. I ci ludzie, którzy przyjmowali w swoje szeregi partyjne ludzi należących do NSDAP, mają czelność określać nas jako nazistów?! To kompletny absurd.

Trudno jednak mówić, że darzycie sympatią cudzoziemców.

Do mnie pan to mówi? Jestem Czechem, którego rodzice zbiegli z komunistycznego „raju". AfD obok Zielonych jest partią o największym odsetku obcokrajowców i są wśród nich również ludzie, którzy zasiadają w Bundestagu i parlamentach krajowych. W naszej partii działa też grupa Żydów, którzy widzą, że inne partie atakują państwo Izrael, które my wspieramy.

Wszystkie badania pokazują, że bardzo wielu naszych wyborców to właśnie obcokrajowcy. Na AfD głosuje bardzo wielu Polaków, dla których jako jedyna partia przetłumaczyliśmy nawet nasz program. Pokaźną grupę naszych wyborców stanowią również Włosi, Rosjanie i przedstawiciele innych narodów, którzy nie chcą, by Europa została zislamizowana. To jednocześnie ludzie, którzy nie poddali się lewicowej zachodnioniemieckiej indoktrynacji, której dokonywało pokolenie '68.

Rozumiem, że może być pan rozgoryczony postawą mediów wobec was, ale od czasu, kiedy weszliście do Bundestagu, przedstawiciele AfD zaczęli się pojawiać czasem w prestiżowych programach telewizyjnych.

Niestety, muszę z panem się nie zgodzić. Owszem, zdarzy się od czasu do czasu, że jakiś nasz polityk objawi się w jednym czy drugim programie, co jest drobną zmianą w stosunku do czasów, kiedy nie było nas w Bundestagu. Zważywszy jednak na to, że jesteśmy najsilniejszą partią opozycyjną, jesteśmy kompletnie niedoreprezentowani. Dość powiedzieć, że polityk, który jest najczęściej prezentowany w mediach, to Robert Habeck, reprezentujący najmniejszą frakcję, czyli Zielonych. W ciągu ostatniego roku aż 17 razy gościł w najważniejszym niemieckim talk-show. Na drugim miejscu jest Annalena Baerbock, też z Zielonych. Nadreprezentacja Zielonych w mediach wywindowała im poparcie sondażowe na 18 proc., a startowali z poziomu 8 proc. Nie muszę chyba dodawać, że Zieloni zapraszani do telewizji nie muszą się obawiać konfrontacji, bo są traktowani przyjaźnie zarówno przez prowadzących, jak i innych polityków. My jesteśmy zapraszani zawsze w formule pięciu na jednego, a właściwie sześciu, bo moderator, który powinien być bezstronny, też gra z naszymi przeciwnikami. To tak, jakby sędzia piłkarski w trakcie meczu strzelał bramki.

Chyba trochę pan przesadza. W końcu dostaliście przewodnictwo w trzech komisjach, w tym w bardzo ważnej – budżetowej?

Świetnie, że poruszył pan ten temat. Nie tak dawno odbyła się debata budżetowa. Jak pan wie, w każdym parlamencie to najważniejsza debata w roku. Tak jest i w Niemczech, gdzie zawsze bierze w niej udział kanclerz. Proszę sobie wyobrazić, że choć jesteśmy główną partią opozycyjną, a w dodatku mamy przewodniczącego komisji budżetowej, w głównym wydaniu wiadomości telewizji ARD nie pokazano naszego szefa komisji budżetowej i ani jednego innego polityka AfD. Tak właśnie wyglądają media publiczne w Niemczech.

Wszystkie badania pokazują, że bardzo wielu naszych wyborców to obcokrajowcy. Na AfD głosuje m.in. bardzo wielu Polaków

Chociaż jesteście najsilniejszą frakcją opozycji w Bundestagu, to w odróżnieniu od pozostałych partii nie macie przedstawiciela w prezydium parlamentu.

Tak właśnie wygląda demokracja w Niemczech. To oczywiście skandal. Po prostu pozostałe partie porozumiały się, że żaden członek naszej frakcji nie będzie mógł być wiceprzewodniczącym Bundestagu. Naszym pierwszym kandydatem był Albrecht Glaser, człowiek ze wszech miar godny szacunku. Był kandydatem na prezydenta, przedtem 40 lat był w CDU, we władzach tej partii we Frankfurcie. Jego kandydaturę odrzucono pod byle pretekstem, bo śmiał wyrazić się krytycznie o islamizacji. Drugą kandydatką była Mariana Harder-Kühnel. Jedna z najlepszych prawniczek w Niemczech, która skończyła prawo z najwyższą notą summa cum laude, matka trojga dzieci. Tym razem nawet nie starano się znaleźć pretekstu, by odrzucić jej kandydaturę. Nikomu zaś nie przeszkadza, że najmniejszą frakcję w prezydium Bundestagu, jaką są Zieloni, reprezentuje Claudia Roth, ekstremistka nienawidząca Niemiec, która nie była w stanie skończyć studiów, nieukrywająca, że brała narkotyki. To wkurza nawet ludzi, którzy nie są zwolennikami AfD.

A jakie są pana doświadczenia jako deputowanego?

Byłem kandydatem na szefa podkomisji, która nadzoruje instytuty Goethego na całym świecie. Zajmują się one promocją języka i kultury Niemiec. Nie chcę się przechwalać, ale sam jestem produktem Instytutu Goethego, bo właśnie tam nauczyłem się niemieckiego. Nawet moi wrogowie przyznawali, że mam właściwe kompetencje, ale jednogłośnie przepadłem. Widać, człowiek z czeskimi korzeniami, który dobrze się zintegrował w Niemczech, nie może być symbolem wielokulturowych otwartych na świat Niemiec, jeśli nie ma odpowiedniej legitymacji partyjnej.

Kiedy mówię, że poziom agresji w niemieckim życiu publicznym jest większy niż w Polsce, nikt mi nie wierzy.

To jednak prawda. W Niemczech poziom agresji zarówno werbalnej, jak i fizycznej jest bardzo wysoki. Nie ma tygodnia, by nie doszło do jakiegoś ataku na AfD. Agresywny ton, szczucie na nas zarówno ze strony innych polityków, jak i mediów jest smutną codziennością. Klimat nienawiści, ale również przyzwolenia na akty przemocy wobec nas są powszechne. Od niszczenia naszych stoisk informacyjnych, zrywania plakatów przez ataki na nasze domy, w których wybijane są szyby, a fasady obrzucane są workami z farbą, podpalenia naszych samochodów, terror telefoniczny do fizycznych ataków i usiłowania zabójstw. To jest coś, z czym nasi politycy, zwłaszcza ci bardziej rozpoznawani, mają do czynienia niemal każdego dnia. Ostatni mało nie zatłuczono na śmierć mojego kolegi z Bundestagu Franka Magnitza. A wszystko to przy prawie zupełnej bierności organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor wywiadu jest korespondentem TVP w Berlinie.

eprasa.pl 50a923b935

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

NIE MA KIESZENI, NIE MA KORUPCJI

Ponieważ w Kenii szaleje korupcja, prezydent tego kraju postanowił z nią walczyć. Najpierw nakazał stworzenie strony internetowej, poprzez którą mieszkańcy mogli mu zgłaszać skandaliczne przypadki. Drugim jego pomysłem jest zmiana policyjnego umundurowania. Funkcjonariusze w Kenii nie będą mieli kieszeni. W ten sprytny sposób prezydent Uhuru Kenyatta chce sprawić, by nie mieli gdzie schować pieniędzy – głównie ci z drogówki biorący łapówki za niewypisywanie mandatów. Ciekawe, kiedy wpadnie na to, że skuteczniejsze może być obcinanie rąk.

PRZEDSZKOLE Z ISLAMEM

Niemieckie biuro do spraw opieki nad młodzieżą cofnęło licencję przedszkolu działającemu w Nadrenii-Palatynacie. W placówce znaleziono salafickią literaturę (nic dziwnego, skoro od siedmiu lat przedszkolem opiekował się kaznodzieja głoszący takie rzeczy w meczecie – to jednak jakoś wcześniej urzędników nie zaniepokoiło) i uznano, że promowanie tej ideologii jest łamaniem niemieckiej konstytucji. Władze przedszkola twierdzą, że to decyzja niezrozumiała.

ODSZKODOWANIE ZA TO, ŻE JEST

Raphael Samuel z Indii uważa, że ludzie powinni zrezygnować z prokreacji. 27-latek jest przekonany, że poczęcie skazuje na życie, które jest cierpieniem. Młody mężczyzna postanowił pozwać swoich rodziców za to, że przyszedł na świat. Jego rodzice, którzy są prawnikami, przyjęli to ze spokojem. Matka zapowiedziała, że z ciekawością pozna argumentację na temat pozyskania zgody na poczęcie od nieistniejącej jeszcze osoby.

PALENIE PAPIEROSÓW PO HAWAJSKU

Na Hawajach papierosy mogą kupować dziś ci, którzy ukończyli 21. rok życia. Emerytowany kongresmen – Richard Creagan – postuluje jednak nowy przepis, który systematycznie będzie podnosił wymagany wiek do legalnego kupowania używki. Wiek miałby się podnosić co roku o 10 lat. Po dekadzie na papierosy mogliby pozwolić sobie tylko stulatkowie.

NAJNUDNIEJSZY SPORT NA ŚWIECIE

W Szwecji, na pamiątkę ucieczki do Norwegii Gustwa Wazy, rozgrywany jest co roku Bieg Wazów. To najdłuższy narciarski wyścig na świecie. Obecny król Szwecji Karol XVI Gustaw stwierdził, że to śmiertelnie nudne zawody. – Nic nudniejszego chyba już nie ma. Godzinami biegną i biegną, i dopiero pod koniec zaczynają walczyć. Można wyjść i wrócić do pokoju, a w telewizorze jest dalej to samo – podsumował. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Artykuł 212 przygnębia

Wiadomość o skazaniu dziennikarza „Sieci" Wojciecha Biedronia z art. 212 Kodeksu karnego za to, że w istocie pomylił się w swoim tekście o sędzim Łączewskim, jest potrójnie przygnębiająca.

Po pierwsze – przygnębiające jest, że Wojciech Łączewski nadal jest sędzią i nie został ze stanu sędziowskiego wydalony. Jestem bardzo daleki od rytualnego pokrzykiwania o „wstrętnej kaście" sędziowskiej. Więcej nawet – uważam to za głupotę. Ale gdyby jakiś sędzia pytał mnie, skąd takie pokłady negatywnych emocji, to wskazałbym właśnie ten przypadek jako patologiczny przykład niemożności oczyszczenia się środowiska.

Po drugie – przygnębiające jest, że sąd z artykułu o zniesławieniu skazuje za ewidentny błąd w tekście. Biedroń napisał „postępowanie dyscyplinarne" zamiast „postępowanie wyjaśniające". Owszem, pomylić się nie powinien. Ale gdzie tu zniesławienie? Trudno orzeczenie odebrać inaczej niż jako odwet na dziennikarzu, który ujawnił kłopotliwe dla sędziego fakty.

Po trzecie wreszcie – przygnębiające jest, że art. 212 wciąż jest w Kodeksie karnym. PiS, gdy był jeszcze w opozycji, grzmiał, jaki to szkodliwy przepis i jak koniecznie trzeba go usunąć. Gdy tylko zaczął rządzić, natychmiast o 212 zapomniał. To znaczy – zapomniał tylko częściowo, bo politycy PiS przypominają sobie o nim, gdy chcą tego przepisu użyć przeciw dziennikarzom.

Ironią losu tak się złożyło, że przyjazny władzy dziennikarz został właśnie skazany na mocy przepisu, który nagle rządzącym przestał przeszkadzać, za, w gruncie rzeczy, napisanie prawdy. Może więc ta przykra historia spowoduje, że sprawa likwidacji art. 212 wróci. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

Maciej Pieczyński

Komik, który zagrał prezydenta w serialu, ma szansę zostać głową państwa. Wołodymyr Zeleński jest czarnym koniem wyborów na Ukrainie

FOT. AP/EAST NEWS

Clown czy sługa narodu?

Wasilij Hołoborodźko, nie wiedząc jeszcze, że jego słowa niebawem ciałem się staną, cedził przez zęby: „Potem się dziwimy, dlaczego nasi politycy przychodzą do władzy i za każdym razem popełniają te same błędy – dlatego, że z jeb…nej matematyki zapamiętali tylko tyle, jak odejmować, dzielić i mnożyć swój majątek… Wybierać nie ma kogo, zawsze z dwóch pedałów wybieramy mniejsze zło, i tak całe 25 lat! Nic się nie zmienia! Gdyby mnie tam wysłali, już ja bym ich urządził! Wszystkie przywileje bym posłał na ch…! Zrobiłbym tak, żeby prosty nauczyciel żył jak prezydent, a prezydent jak nauczyciel".

Hołoborodźko, zwykły nauczyciel historii w jednej z kijowskich szkół w tej krótkiej tyradzie podsumował ćwierćwiecze ukraińskiej polityki, wyrażając zapewne emocje wielu swoich rodaków. Jak się okazało, cały monolog nagrał uczeń Hołoborodźki i opublikował w Internecie. Film zdobył ogromną popularność. Odsłony w sieci przełożyły się na poparcie w realnym świecie. Hołoborodźko wystartował w wyborach i niespodziewanie został prezydentem Ukrainy. To oczywiście political fiction. A konkretniej – fabuła serialu komediowego „Sługa narodu", wyprodukowanego przez popularny kabaret Studio Kwartał 95. W rolę Hołoborodźki wcielił się Wołodymyr Zeleński. W swoim kabarecie chętnie wyśmiewa wszystkie strony politycznego sporu. W skeczach regularnie pojawiają się: Julia Tymoszenko, Petro Poroszenko, Oleg Laszko, Wołodymyr Hrojsman, Witalij Kliczko.

Frontman ukraińskiego kabaretu najwyraźniej uwierzył, że może w realnym świecie powtórzyć sukces wykreowanej przez siebie postaci.

BLISKO OLIGARCHY

Komik wszedł do polityki na poważnie. W większości sondaży zajmuje jedno z trzech pierwszych miejsc – wraz z urzędującym prezydentem i Julią Tymoszenko. W sylwestrową noc na antenie kanału telewizyjnego 1+1, w przerwie noworocznego programu „Wieczorny kwartał", ogłosił swój start w wyborach. Przemówienie Zeleńskiego zostało wyemitowane przed tradycyjnym noworocznym orędziem urzędującego prezydenta.

Opinia publiczna odebrała to jako jednoznaczny sygnał poparcia telewizji dla nowego kandydata. Stację kontroluje oligarcha Igor Kołomojski, były gubernator obwodu dniepropietrowskiego, usunięty ze stanowiska po tym, jak popadł w konflikt z Poroszenką.

Przeciwnicy Zeleńskiego uważają, że jest on marionetką w rękach Kołomojskiego. Komik żartował na ten temat w jednym ze swoich skeczy. Komentując dziennikarskie sugestie o tym, że jego kampanię sfinansuje oligarcha, stwierdził: „Kołomojski nie dlatego został Kołomojskim, że dawał pieniądze, komu popadło. Na odwrót. Wątpliwe, czy zainwestuje w coś, co mu się nie opłaci". Idąc tym tropem, Zeleński dywagował: „Czy można zostać prezydentem i nie kraść? To pytanie retoryczne. Nikt jeszcze nie próbował. Drugie pytanie: Czy można kraść tak, żeby nikt nie zauważył? Wszyscy próbowali, ale nikomu się nie udało".

eprasa.pl 50a923b935

Faktem jest, że kabaret Kwartał 95 występuje właśnie na antenie telewizji należącej do Kołomojskiego. Jednak stopień zależności między oligarchą a kandydatem na prezydenta nie jest oczywisty. Z jednej strony, Zeleński jest wielką gwiazdą, której stacja 1+1 zawdzięcza sporą oglądalność, a sam komik wydaje się zbyt ambitny i zdeterminowany, aby uznać go wprost za marionetkę. Z drugiej strony, kandydat jest w wielu niuansach polityki zwyczajnie niekompetentny i zapewne, wzorem wykreowanej przez siebie postaci nauczyciela historii, na szczegółowe pytania dziennikarzy będzie musiał odpowiedzieć, że „szczerze nie ma pojęcia, ale wszystkiego się dowie". Pytanie tylko, kto będzie mu doradzał, a zatem kto pośrednio będzie sprawował urząd prezydenta.

– To jest właśnie największe niebezpieczeństwo. Z otoczenia Zeleńskiego na razie znamy tylko Kołomojskiego – mówi „Do Rzeczy" Oleskij Harań, politolog, profesor Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, dyrektor Fundacji Inicjatyw Demokratycznych. Pod koniec stycznia Zeleński spotkał się z dyplomatami z państw zachodnich. Według medialnych doniesień wypadł fatalnie – denerwował się, dawał niekonkretne odpowiedzi, wydawało się, że nie ma pojęcia, o czym mówi. Na pytanie o to, jaki ma plan na rozwiązanie problemu Donbasu, miał odpowiedzieć, że usiądzie do stołu rozmów z Putinem.

Zeleński niewątpliwie jest kandydatem atrakcyjnym dla południa i wschodu Ukrainy. Jest zdecydowanie rosyjskojęzyczny. To jednak nie oznacza, że prorosyjski. Wręcz przeciwnie. Kwartał 95 często pokazuje Rosję w krzywym zwierciadle. Jeden ze skeczy nosił znaczący tytuł „Wybory na Putina Federacji Rosyjskiej". Zeleński wyśmiewał też m.in. rosyjską dumę ze zdobycia Krymu, na który po aneksji przyjeżdżają już tylko oficerowie FSB, bo turystów brak. Parodiował demoniczny obraz Ukraińców „banderowców, żrących słoninę i mordujących dzieci", przedstawiany w prokremlowskiej telewizji. – Zeleński nie jest najbardziej rosyjskojęzycznym spośród kandydatów. Nie należy zapominać, że wciąż na Ukrainie funkcjonuje elektorat, który w latach 2002–2012 głosował na Janukowycza. Przy czym język nie jest żadnym dowodem na prorosyjskość kandydata. Wielu rosyjskojęzycznych Ukraińców czuje się patriotami Ukrainy – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Jewhen Mahda, ukraiński politolog.

CZAR DLA ZMĘCZONYCH LUDZI

Jednocześnie, zauważają komentatorzy, w retoryce Zeleńskiego można dostrzec antyzachodnie akcenty. Komik przenosi do realnej polityki poglądy Hołoborodźki. W jednej ze scen serialu „sługa narodu" rozprawia się z delegacją Międzynarodowego Funduszu Walutowego, przedstawioną jako banda cyników, których jedynym celem jest poniżyć dumną Ukrainę i zniszczyć jej gospodarkę w zamian za kredyty. Hołoborodźko na oficjalnej konferencji prasowej odpowiada na propozycje „złego Zachodu" bez ceregieli: „A idźcie w dupę!".

– Trudno sobie wyobrazić, żeby Zeleński cokolwiek rozumiał w niuansach trudnych relacji polsko-ukraińskich. Komik, który potrafi żartować ze wszystkiego, na pewno nie jest najlepszym kandydatem do rozmów o polityce historycznej czy o geopolityce Trójmorza – uważa Eugeniusz Biłonożko, redaktor naczelny portalu polonijnego PonoNews. Zdaniem Harania kandydatura Zeleńskiego, który założył zresztą już partię Sługa Narodu, może być testem planowanych na jesień wyborów parlamentarnych. Gdyby tak się okazało, nieprzewidywalność komika przestałaby być problemem: – Musiałby pokazać listy kandydatów do Rady Najwyższej i dowiedzielibyśmy się, kto z nim współpracuje, kto za nim stoi – mówi prof. Harań. Dodaje jednak: – Wydaje się, że wysokie sondaże zaskoczyły samego Zeleńskiego. Nie podejrzewał, że może zostać prezydentem. Nie ma planu, nie ma strategii – dodaje. Faktem jest, że Zeleński ogłosił parę ogólnych punktów programu. Można je streścić jednym sformułowaniem: „Oddać władzę obywatelom". Polacy słyszeli to hasło już wielokrotnie. I to również z ust artysty, który postanowił wejść do polityki z hasłem walki o demokrację bezpośrednią.

Na czym polega fenomen Zeleńskiego? – Z jednej strony, społeczeństwo ukraińskie już od pięciu lat przeżywa permanentny stres i potrzebuje decyzji typu „tu i teraz" – komentuje Jewhen Mahda. – Rośnie popyt na „czarodziejską różdżkę" w rękach polityka. Z drugiej strony, to znany showman, który pokazuje, że potrafi śmiać się z polityków. Wielu Ukraińców myli Zeleńskiego z Hołoborodźką. À propos, nikt jeszcze nie wyjaśnił, dlaczego Zeleński zaczął być brany pod uwagę w sondażach już w 2017 r., kiedy jeszcze nie wygłaszał żadnych politycznych oświadczeń. To pokazuje, że jego niezależność jest mitem – dodaje.

Nauczyciel, który został prezydentem, to amerykański sen ukraińskiego wyborcy. Hołoborodźko odchudził administrację, skończył z korupcją i oligarchom się nie kłaniał. A ponadto do pracy dojeżdżał skromnie rowerem. – Zeleński jest natomiast człowiekiem bardzo bogatym, a do tego trzeba być naiwnym, żeby wierzyć, że nie ma żadnych związków z oligarchą, w którego telewizji pracuje – mówi prof. Harań. Tak czy inaczej według sondaży komik może wejść do drugiej tury z Poroszenką bądź Tymoszenko. Dla urzędującego prezydenta byłby wygodnym rywalem – rosyjskojęzyczny „clown" (jak nazywają go pogardliwie krytycy z obozu Poroszenki) kontra „poważny głównodowodzący armii", który wprowadził stan wojenny. Przy czym Zeleński, jako człowiek zupełnie nowy w polityce, nie ma jeszcze tak silnego negatywnego elektoratu jak jego rywale.

Jak jednak zauważa prof. Harań, zwolennicy „sługi narodu" to głównie ludzie młodzi. A ci chętnie „lajkują" w Internecie, deklarują poparcie, ale w ich żelazną wolę walki o swojego kandydata już trudno uwierzyć. Szczególnie że spośród głównych kandydatów to właśnie wyborcy Zeleńskiego w najmniejszym stopniu wierzą w jego wygraną. Czy komik powtórzy sukces wykreowanej przez siebie postaci? Odpowiedź 31 marca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

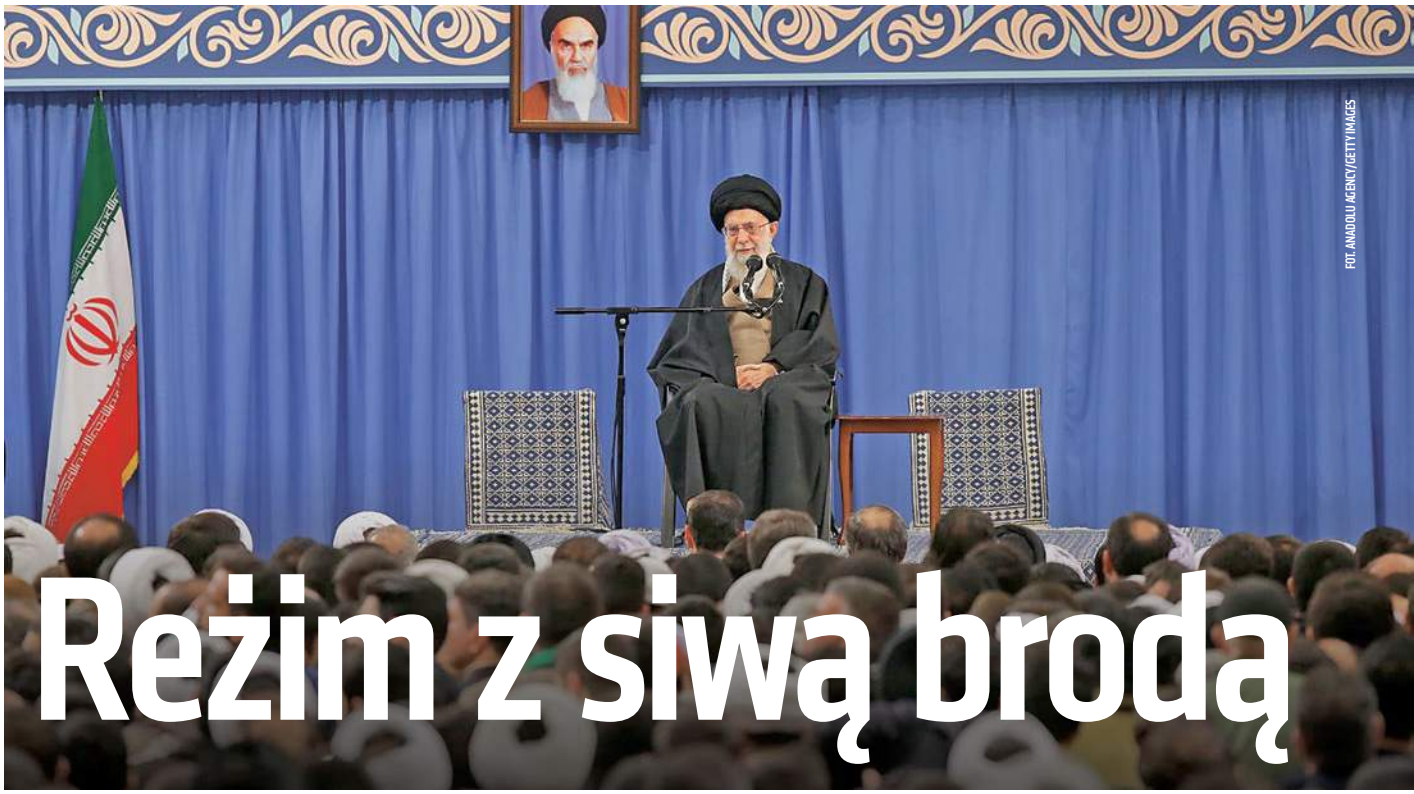
FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Reżim z siwą brodą

Jacek Przybylski

„Śmierć Ameryce!" – zagroził w przesłaniu z okazji 40. rocznicy rewolucji islamskiej ajatollah Ali Chamenei, brodaty starzec w ciemnych szatach, który od trzech dekad trzyma w swoich rękach realną władzę nad Iranem

Tłumy skandujące „Śmierć Ameryce!": tysiące duchownych i żołnierzy wyszły w ubiegłym tygodniu na ulice irańskich miast w ramach rządowych obchodów 40. rocznicy rewolucji islamskiej, która doprowadziła do obalenia prozachodniego reformatora i dyktatora Mohammada Rezy Pahlawiego, a tym samym gwałtownie przerwała ponad 2500-letnie panowanie perskiej monarchii.

Demonstranci trzymali w rękach banery zwiastujące szybki upadek „Dużego Szatana" (czyt. Stanów Zjednoczonych) oraz „Małego Szatana" (Izraela). Nie zabrakło również tradycyjnego obrazka z tego typu uroczystości w Iranie: zbiorowego palenia amerykańskich i izraelskich flag.

Irańczycy nieśli też portrety Ruhollaha Chomejniego – przywódcy Iranu do roku 1989 – oraz obecnego najwyższego przywódcy Iranu ajatollaha Alego Chameneiego. W uroczystościach wziął też oczywiście udział ten ostatni. Przemawiając do oficerów irańskich sił powietrznych, zapowiedział, że Iran nie zamierza porzucać hasła „Śmierć Ameryce!". Wyjaśnił jednak, że władze w Teheranie nie życzą śmierci wszystkim Amerykanom, a jedynie przywódcom USA: prezydentowi Donaldowi Trumpowi, doradcy ds. bezpieczeństwa Johnowi Boltonowi oraz szefowi dyplomacji Mike'owi Pompeo. Władze w Teheranie wykorzystały również okazję do zademonstrowania siły militarnej, w tym nowego pocisku dalekiego zasięgu.

FIASKO REWOLUCJI

Wielu – zwłaszcza młodych – Irańczyków zdaje sobie jednak sprawę, że tak naprawdę nie mają czego świętować. „W 1979 r. ajatollah Chomejni obiecał Irańczykom dostatnią przyszłość. 40 lat później skorumpowany irański reżim nie przyniósł jednak nic poza złamanymi obietnicami" – zauważył wcześniej Mike Pompeo. Wielu Irańczyków nie jest zachwyconych, że tak młode mocarstwo jak Stany Zjednoczone – które w 2026 r. będzie obchodzić dopiero 250 lat swojego istnienia – poucza naród, o którym pisali jeszcze starożytni Grecy. Trzeba jednak przyznać Pompeo rację: teokratyczny reżim zawiódł wielki naród dumnych Persów na bardzo wielu płaszczyznach.

Pierwsza złamana przez przedstawicieli rewolucji islamskiej obietnica dotyczy irańskiej gospodarki i jakości życia Irańczyków. – Przez ostatnie 40 lat Iran rozwijał się szybciej niż przez wcześniejsze 400 lat – ogłosił niedawno w Radiu Farda wpływowy ajatollah Mohammad Yazdi, przekonując, że rewolucjoniści dotrzymali danego narodowi słowa.

Problem w tym, że Irańczycy, którzy w 1979 r. obalili szacha głównie ze względów ekonomicznych, doskonale wiedzą, że to karygodne kłamstwo. Ajatollahowie – teoretycznie reprezentujący trzecią drogę między socjalizmem a kapitalizmem – mieli zapewnić lepszą przyszłość wszystkim mieszkańcom kraju. Jakie są efekty niemal półwiecza ich rządów?

Tuż przed rewolucją, aby kupić jednego dolara amerykańskiego, wystarczyło mniej więcej 70 irańskich riali. Na początku zeszłego roku za „zielonego" trzeba było zapłacić 42 tys. riali, a dziś ceny jednego dolara oscylują na czarnym rynku w okolicach 122 tys. riali. A to i tak cena po odzyskaniu przez rial części swojej wartości, bo jesienią 2018 r. czarnorynkowy kurs sięgał 190 tys. riali.

eprasa.pl 50a923b935

Były szef banku centralnego nie może opuszczać kraju, a na oficjalnym zakazie handlu dolarami fortunę zarabiają afgańscy przemytnicy, którzy – jak informował „The Wall Street Journal" – z klientami w Iranie komunikują się za pomocą komunikatorów na smartfony, a zieloną walutę dostarczają w tekturowych opakowaniach pod gorącą pizzą.

Na fiasko rewolucji islamskiej wskazują też dane dotyczące produktu krajowego brutto. Tuż przed obaleniem szacha w 1978 r. irańska gospodarka była o 25 proc. większa niż turecka i niemal siedmiokrotnie potężniejsza niż gospodarka Korei Południowej – kraju, który podobnie jak Iran w latach 70. ubiegłego wieku rozpoczął walkę o miano przemysłowego mocarstwa. Obecnie gospodarka Iranu jest dwa i pół razy mniejsza niż turecka i siedmiokrotnie mniejsza niż Korei Południowej. W rankingu Banku Światowego pod względem PKB Iran spadł zaś z 18. miejsca w roku 1977 na miejsce 27.

Wolniejszy wzrost gospodarczy to nie koniec problemów Iranu. Kraj o niezwykłym potencjale – zamieszkany przez 75 mln w większości młodych osób, o ogromnych zasobach naturalnych (trzecie co do wielkości złoża ropy i drugie największe złoża gazu ziemnego na świecie) – pogrążony jest w największym kryzysie od kilku dekad. Oczywiście wśród jego przyczyn są również międzynarodowe sankcje. Według prognoz Międzynarodowego Funduszu Walutowego gospodarka Iranu skurczy się w tym roku o ponad 3 proc., tymczasem przed wprowadzeniem sankcji prognozowano wzrost o 4 proc.

ŚMIERĆ I CHŁOSTA

Jeszcze gorsza od sankcji jest jednak nieudolność rządzących, którzy od lat nie potrafią przeprowadzić w kraju niezbędnych reform. Wzrost gospodarczy Iranu wciąż jest więc uzależniony od przemysłu naftowego, który jest wyjątkowo wrażliwy na wahania cen na międzynarodowych giełdach.

Kraj osłabia również korupcja, tolerowanie szarej gospodarki oraz zbyt wysoki udział państwa w sektorze przedsiębiorstw. Prywatyzacja jest konieczna, ponieważ większość z państwowych firm jest nierentowna. Reforma byłaby jednak trudna, ponieważ co najmniej jedna trzecia gospodarki jest w rękach ludzi powiązanych bezpośrednio lub pośrednio ze Strażnikami Rewolucji.

Galopująca inflacja – według oficjalnych danych wynosi nieco ponad 20 proc. – sprawia, że towary gwałtownie drożeją. Jedni, aby ochronić kapitał, kupują więc złoto, dolary czy też wszelkie ruchomości (np. samochody). Inni, aby móc przeżyć w czasach kryzysu, wyprzedają komputery, smartfony, biżuterię czy dywany, aby zdobyć środki na bieżące zakupy. Do tego bezrobocie wśród młodych wzrosło z 23 proc. dekadę temu do ponad 30 proc. obecnie.

W Iranie coraz częściej dochodzi więc do protestów na wielką skalę. Przeciw podwyżkom. Przeciw korupcji. Za zniesieniem reguł państwa wyznaniowego. W zeszłym roku władze w Teheranie reagowały na nie, wyprowadzając na ulice członków sił bezpieczeństwa, które do rozpędzania demonstracji używały nie tylko pałek, gazu łzawiącego czy działek wodnych, lecz także ostrej amunicji. Według danych Amnesty International w starciach na ulicach zginęło ok. 30 osób, a 7 tys. trafiło za kratki. Wśród aresztowanych są m.in. dziennikarze, prawnicy, studenci, aktywiści broniący praw człowieka, a także kobiety, które protestowały przeciw zmuszaniu ich do zakrywania włosów chustami. Według AI co najmniej dziewięcioro z uwięzionych opozycjonistów umarło w niejasnych okolicznościach za murami więzień.

Część osób, jak np. dziennikarza Mostafę Abdiego, który informował o przypadkach łamania praw człowieka, skazano zaś na karę ponad 26 lat więzienia i 148 batów (w Iranie wciąż funkcjonuje kara publicznej chłosty). Część aktywistów aresztowano z kolei bez żadnych dowodów pod wygodnym dla władz zarzutem zbierania tajnych informacji. Irańska bezpieka wyłapuje też liderów protestów w poszczególnych zakładach pracy i zmusza ich do składania w telewizji oświadczeń, w których przyznają się do współpracy z zagranicznymi agentami w celu obalenia reżimu.

Wiele osób ostatecznie straciło już więc nadzieję na poprawę losu i opuściło swoją ojczyznę. Według danych MFW co roku za granicę wyjeżdża około 150–180 tys. wykształconych Irańczyków. Tak istotny drenaż mózgów z pewnością będzie miał negatywny wpływ na rozwój kraju w przyszłości.

PRZYJACIELE PUTINA I HEZBOLLAHU

Poważnym problemem Irańczyków są też liczni wrogowie ajatollahów, którzy – mimo iluzji wyborów – trzymają w rękach prawdziwą władzę. Poza Stanami Zjednoczonymi, które do dziś nie pogodziły się z utratą części strefy wpływów na Bliskim Wschodzie, oraz Izraelem – z którym Iran miał przyjazne stosunki przez 30 lat, ale po rewolucji islamskiej przywódcy w Teheranie publicznie obiecują, że zrównają Izrael z ziemią lub zmiotą go do Morza Śródziemnego – do grona przeciwników władz w Teheranie należy m.in. Arabia Saudyjska. Saudyjczycy i Irańczycy od dekad rywalizują o miano regionalnej potęgi. Spory między Rijadem a Teheranem wynikają też ze względów religijnych: sunnicka Arabia Saudyjska od dawna postrzegała siebie jako ojczyznę islamu i lidera świata muzułmanów. Tymczasem Iran to kraj, w którym zdecydowanie dominują szyici. Rewolucja islamska sprawia zaś, że w kraju wprowadzono rządy teokratyczne, a duchowni w Teheranie zaczęli marzyć o tym, aby rozszerzyć swoją strefę wpływów na inne kraje muzułmańskie.

Jednym z głównych sojuszników Iranu jest Rosja. Ajatollahów i Władimira Putina łączą wspólne interesy, wrogość wobec USA oraz realizowane przez Teheran zakupy rosyjskiego uzbrojenia, które ma być odpowiedzią na amerykańską broń w Arabii Saudyjskiej. Irańskie bojówki z sukcesami walczą też na terenie Syrii. W Libanie proirański jest Hezbollah, ale sunnici w tym kraju trzymają już stronę Saudyjczyków. Z kolei w Jemenie za Iranem są rebelianci, a sojusznikiem Arabii Saudyjskiej jest oficjalny rząd na uchodźstwie.

Reżim irańskich teokratów mógłby rozpaść się od środka. Aby stało się to realne, swoją politykę musiałyby zmienić kraje zachodnie. Gdyby zamiast tylko grozić i nakładać kolejne sankcje – dając ultrakonserwatywnym ajatollahom nowe argumenty do apelu o obronę oblężonej ojczyzny – skupić się na wspieraniu prozachodnich postaw i prodemokratycznej opozycji, to starzy liderzy rewolucji islamskiej musieliby prędzej czy później podzielić los upadłych towarzyszy ze Związku Sowieckiego.

Plan minimum powinien zaś dążyć do zmiany zachowania teokratycznych elit. Aby to osiągnąć, Unia Europejska powinna wspierać umiarkowanych liberałów pokroju Hasana Rouhaniego. Klęska jego rządów może bowiem wzmocnić ultrakonserwatystów i oddalić perspektywę zmian na szczytach władzy w Teheranie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

Stefan Sękowski

Nie takie bloki straszne

Wielka płyta nie jest wieczna, ale budynkom nie grozi zawalenie. Są bardziej bezpieczne, niż się często sądzi. I będą dalej, o ile będziemy dbać o ich utrzymanie

Kilkanaście milionów mieszkańców bloków z wielkiej płyty może odetchnąć z ulgą. Dwa lata Instytut Techniki Budowlanej oceniał na zlecenie rządu stan techniczny i bezpieczeństwo budynków wielkopłytowych (na próbie ok. 300 bloków w kilku województwach), by dojść do wniosku, że są bezpieczne. – Wyniki naszych badań potwierdziły brak zagrożenia bezpieczeństwa budynków wielkopłytowych wznoszonych w różnych latach. W badanych przez nas budynkach stwierdzaliśmy tylko tzw. uszkodzenia niestrukturalne, niestanowiące zagrożenia dla bezpieczeństwa konstrukcyjnego budynków – mówi „Do Rzeczy" dyrektor Instytutu Techniki Budowlanej dr inż. Robert Geryło.

To bardzo ważna informacja. W Polsce stoi ok. 60 tys. bloków z wielkiej płyty. Mieszka w nich co najmniej 12 mln osób. Gdyby potwierdziły się obawy, że istnieje systemowy problem związany z bezpieczeństwem mieszkania w nich, byłaby to tragedia dla milionów Polaków i ogromny problem społeczny. Budynki z wielkiej płyty mają złą sławę. Zwłaszcza ci, którzy wprowadzali się do swoich nowych M w latach 80., narzekają na kiepską akustykę czy słabą jakość budulca. Zresztą sami autorzy opracowania „Budownictwo wielkopłytowe. Raport o stanie technicznym" ITB nie ukrywają, że te „zrealizowane w latach 1960–1990 charakteryzują się niską jakością funkcjonalno-użytkową mieszkań, nadmierną przenikalnością cieplną przegród zewnętrznych, niedostatecznym stanem instalacji i urządzeń budowlanych oraz niską estetyką elewacji. Dalsze użytkowanie budynków z wielkiej płyty wiąże się więc z potrzebą przeprowadzania specjalistycznych przeglądów okresowych oraz ocen stanu technicznego i badań przydatności do użytkowania budynków, z uwzględnieniem optymalizacji kosztów na prace konserwacyjne, naprawy bieżące i ewentualne modernizacje budynków".

Co więcej, obawy potęgowane były także przez pojawiające się co jakiś czas katastrofy budowlane. Choćby tę z 7 grudnia 1983 r. w Łodzi, gdy w wyniku uszkodzenia instalacji gazowej przez koparkę podczas remontu doszło do wybuchu (zginęło osiem osób). Albo tę z Gdańska, gdzie 17 kwietnia 1995 r. – także w wyniku eksplozji gazu – zginęły 23 osoby. No i wreszcie argument dotyczący „terminu ważności" budynków. Budowane były od końcówki lat 60. do 90. XX w., a ich żywotność wyznaczano na ok. 50 lat. I ten czas właśnie nadchodzi.

BĘDĄ STAŁY

– Pogląd o 50-letnim czasie możliwej eksploatacji jest błędny. Czas życia tego rodzaju budynków mieszkalnych jest znacznie dłuższy i będą mogły być eksploatowane przez kolejne dekady. O każdy budynek należy jednak dbać i poddawać go okresowym (rocznym i pięcioletnim) kontrolom stanu technicznego – uspokaja Geryło. Także z awaryjnością sytuacja jest lepsza, niż się powszechnie sądzi. Z badań wynika, że w ciągu ostatnich 50 lat raptem 10 proc. wszystkich awarii w budownictwie zdarzyło się w budynkach z wielkiej płyty, a w ostatnich 10 latach były one incydentalne. Jest z nimi trochę jak z katastrofami lotniczymi: zdarzają się znacznie rzadziej niż np. wypadki samochodowe, jednak jest o nich o wiele głośniej, gdyż gdy już się wydarzą, tragedia dotyczy jednocześnie wielu ludzi.

Ponadto katastrofy, które się wydarzyły, nie miały związku z wadami konstrukcyjnymi bloków. Co więcej – jak piszą eksperci – „budynki wzniesione metodami uprzemysłowionymi, na co wskazuje analiza wybranych przypadków katastrof budowlanych wywołanych wybuchami gazu, wykazują się większą odpornością na uszkodzenia lokalne i możliwość powsta-

eprasa.pl 50a923b935

nia katastrofy o znacznym zakresie niż budynki wzniesione metodami tradycyjnymi". Przykładowo, gdański blok w 1995 r. nie zawalił się, ale osiadł na niższych kondygnacjach (mimo to dzień później wysadzono resztę budynku). Gdyby tak się nie stało, zginąć mogłoby jeszcze więcej osób.

Największym problemem wielkiej płyty są łączenia ścian, tzw. wieszaki i szpilki. Poszczególne płyty są nimi połączone, te z kolei związane są żelbetowym prętem i zalane betonem. Choć niestety nie zawsze tak było, zwłaszcza w latach 80. dopuszczano się fuszerek, gdy brakowało np. materiałów (albo

FOT. MATEUSZ ZAGÓRSKI/ADOBE STOCK

ktoś je „zbrakował" na własny użytek). Rdzewiały, co wywoływało obawy, że budynki mogą się rozpadać. Autorzy raportu widzą ten problem i jako remedium proponują wzmocnienie konstrukcji za pomocą łączników i stalowych kotew, a także termomodernizację, która utrudni korozję (i oczywiście w pierwszej kolejności ociepli same domy). Jednak najczęstsze uszkodzenia bloków wcale nie dotyczą łączeń. To – jak wskazuje prezes Geryło – głównie zarysowania, nieszczelności, uszkodzenia balkonów i, co ważne, zużycie instalacji gazowych lub elektrycznych. I to właśnie stare instalacje – grożące np. wybuchem gazu – mogą stanowić większe zagrożenie niż same płyty. Stąd często trzeba je wymieniać.

PIERWSZE PLANOWANO SENSOWNIE

Bloki z wielkiej płyty wrosły w krajobraz polskich miast. Ich budowa zaczęła się pod koniec lat 60. XX w. Chodziło o szybkie i tanie stawianie bloków dla jak największej liczby ludzi. Trzeba było zaspokoić głód mieszkaniowy pokolenia powojennego wyżu demograficznego. Technologia była inna niż wcześniejsze – tym razem gotowe „klocki" produkowano w ok. 160 fabrykach w Polsce i na miejscu układano z nich gotowy blok.

Chociaż bloki te były budowane w mniej więcej podobnej technologii (z czasem nieco unowocześnianej), to jednak nie można ich wrzucić do jednego worka. I to nie ze względu na same budynki, ale ich otoczenie. – Do końcówki lat 70. osiedla jeszcze sensownie rozplanowywano pod względem urbanistycznym, żeby ludziom się w nich dobrze żyło. W ostatniej dekadzie PRL brakowało pieniędzy, więc bloki były coraz paskudniejsze, identyczne, monotonne, często stawiane pośrodku niczego. Masowe bezrefleksyjne realizacje, które wtedy powstały, najbardziej popsuły nasz krajobraz – mówi Beata Chomątowska, autorka reporterskiej książki „Betonia. Dom dla każdego". Zanim do tego doszło, starano się, by osiedla tworzyły organiczną całość, by w niewielkiej odległości, np. w czasie spaceru, można było znaleźć szkołę, sklep czy urząd pocztowy, a także by budynki otaczało dużo zieleni, tak jak w budowanych jeszcze wcześniejszą techniką Sadach Żoliborskich w Warszawie czy na Osiedlu Piastowskim w Lublinie. Wiele budynków czy osiedli z okresu PRL można nawet pochwalić za ciekawy wygląd. – Architekt Helena Syrkusowa mówiła, że każdy blok ma twarz swojego projektanta. Można zauważyć plastyczność fasad, np. jeden z bloków w Krakowie przy ul. Mazowieckiej wygląda jak obraz abstrakcyjny. Z kolei bloki na osiedlu przy pl. Grunwaldzkim we Wrocławiu mają obłe, ażurowe kształty, jednocześnie tworzą ciekawą całość – mówi Chomątowska.

NIE TYLKO EMERYTURA

Głównym powodem, dla którego osiedla z wielkiej płyty nadal cieszą się dużym zainteresowaniem, jest ekonomia. Mieszkania na rynku wtórnym są często tańsze od nowych w budynkach deweloperskich, nie mówiąc już o domkach jednorodzinnych. Dlatego nadal będą odgrywały one ważną rolę w polskim krajobrazie. Tym bardziej że możliwy jest… powrót do starych rozwiązań. W grudniu 2018 r. pracownia BBGK Architekci wygrała konkurs zorganizowany przez Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju na projekt osiedla z prefabrykatów. Z jednej strony proponowane rozwiązanie zakłada konstrukcję budynków niczym z klocków, z drugiej umożliwia bardziej twórcze układanie elewacji. – Powszechne wykorzystywanie nowego systemu prefabrykacji pozwoli osiągnąć efekt skali. Liczymy na duże oszczędności i zwiększenie podaży mieszkań – mówił z tej okazji minister inwestycji Jerzy Kwieciński, a prezes PFR Nieruchomości Mirosław Barszcz dodał: „[…] chcemy przenieść rodzimy rynek z epoki mieszkań budowanych w tradycyjnych, drogich technologiach do epoki nowoczesnych rozwiązań, które pozwolą budować wysokiej jakości mieszkania, ale szybciej i taniej". Projekt ma być wykorzystywany nie tylko w programie „Mieszkanie Plus", lecz także udostępniony (za opłatą) innym chętnym wykonawcom.

W marcu mają ruszyć szkolenia dla rzeczoznawców i właścicieli budynków dotyczące renowacji bloków. Ministerstwo chce także dofinansowania ich renowacji. Jeśli zostanie uchwalona odpowiednia ustawa, to właściciele (czyli zazwyczaj spółdzielnie mieszkaniowe) mają otrzymywać z Funduszu Termomodernizacji i Remontów dofinansowanie w wysokości 16 proc. kosztów ocieplenia i 50 proc. kosztów montażu dodatkowych kotew, które wzmocnią płyty. Jako że MIR szacuje liczbę nieocieplonych budynków na ok. 50 tys., łączna wartość dofinansowania może wynieść nawet 7 mld zł.

Dopóki nie polepszy się sytuacja w portfelach Polaków, dopóty tego typu nieruchomości będą odgrywały ważną rolę w naszym krajobrazie. Wielka płyta wieczna nie będzie, ale zawczasu warto o nią zadbać – co jest w pierwszej kolejności zadaniem w niej mieszkających.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl 50a923b935

Brexit to niepodległość

Z prof. Alanem Skedem, wykładowcą London School of Economics, założycielem UK Independence Party
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: To pan stworzył UKIP, partię, która od lat pchała Wielką Brytanię do brexitu. Przyjmuje pan na siebie przynajmniej część odpowiedzialności za cały ten bałagan?

ALAN SKED: Z przyjemnością przyjmuję na siebie część odpowiedzialności za wyprowadzenie Wielkiej Brytanii z UE. Kilka miesięcy temu gazeta „Der Tagesspiegel" przedstawiła mnie w swoim tekście jako człowieka, który wymyślił brexit. To dla mnie komplement, bo brexit faktycznie był od wielu lat moim marzeniem i – co pokazało referendum z 2016 r. – było to również marzenie milionów Brytyjczyków.

Na razie jednak proces wychodzenia z UE nie wygląda najlepiej. Przygotował pan zapasy podstawowych produktów na wypadek brexitu bez jakiejkolwiek umowy z UE?

Nie i nie znam ani jednej osoby, która czyniłaby jakiekolwiek przygotowania na brexit bez umowy. Zupełnie się nie boję takiego rozwiązania i uważam, że dałoby nam ono duże możliwości i oszczędziłoby naszemu budżetowi 39 mld funtów, których nie musielibyśmy w takim przypadku wpłacać do kasy UE.

Skąd ta pewność? Centre for European Reform, think tank z siedzibą w Londynie, ogłosiło niedawno, że do września 2018 r. brytyjska gospodarka straciła na brexitowym referendum 2,3 proc. PKB. Po 29 marca ma być jeszcze gorzej.

To śmieszne. Po pierwsze, to prounijny think tank. Ta liczba to czyste spekulacje, równie dobrze mogliby 2,3 proc. pomnożyć dwukrotnie, wtedy być może jeszcze więcej ludzi by się przestraszyło. W ostatnich latach rośniemy szybciej niż Francja i Niemcy. IMF daje nam lepsze prognozy niż Niemcom i Francuzom. To są sprawdzone dane, a nie raporty instytucji zainteresowanej utrzymaniem Wielkiej Brytanii w UE.

Robi pan zakupy w Sainsbury's?

Tak, nawet tak się składa, że byłem tam godzinę temu.

Pod koniec stycznia kierownictwo tej sieci, a także m.in. Marks & Spencer, ostrzegało w liście do rządu, że grożący wam brexit bez umowy może się skończyć brakami w zaopatrzeniu i wzrostem cen. Tego ostrzeżenia nie da się chyba tak łatwo zbyć.

To jasne, że wielki biznes chciałby nas utrzymać w UE, bo łatwo im lobbować w Brukseli. To oczywiste, że unia jest bardzo na rękę wielkim korporacjom, ale równocześnie mniejsze firmy mają z tego powodu pod górkę. Dlatego nie dziwi mnie, że wielcy gracze biją na alarm.

James Dyson, brytyjski miliarder, który zbił gigantyczny majątek na sprzęcie AGD, namawiał do głosowania za opuszczeniem UE. Niedawno jednak okazało się, że przenosi centralę swojej firmy z Wiltshire do Singapuru. To również pana nie niepokoi?

Tak, to faktycznie głośna sprawa i zwolennicy pozostania w UE używają tego argumentu. Dyson jednak nie przenosi siedziby swojej firmy do Brukseli, Amsterdamu ani Frankfurtu, tylko do Singapuru! To właśnie w Azji zarabia najwięcej pieniędzy. Singapur to bardzo przyjazne środowisko dla biznesu. Co ważne, Dyson zostawia na Wyspach duże centra rozwojowe firmy, w których ludzie znajdują bardzo dobrze płatną pracę. Dlatego to nie jest dla mnie żaden argument za pozostaniem w UE.

Mieszka pan w Londynie. Grupa lobbingowa Frankfurt Main Finance twierdzi tymczasem, że do końca marca 2019 r. londyński sektor finansowy straci do 800 mld euro na rzecz Frankfurtu. Taki scenariusz to dla pańskiego miasta katastrofa.

Do dziś mieliśmy stracić 200 tys. miejsc pracy w finansach, które miały uciec do Frankfurtu. Tymczasem teraz mówi się o utracie 6 tys. stanowisk pracy w tym sektorze. Przykładowo bank Goldman Sachs rzeczywiście wysyła z powodu brexitu kilkuset pracowników z Londynu na kontynent, ale pozostawia u nas trzon swojej działalności.

Kto chciałby się na dobre przenosić do Frankfurtu, skoro Londyn zbudował wspaniałą infrastrukturę dla międzynarodowej finansjery? Dodajmy do tego jedyne w swoim rodzaju w Europie środowisko kulturowe i językowe. Trudno przebić takie warunki i brexit nie jest tu przeważającym argumentem przeciw Londynowi.

Ewidentnie nie przeraża pana wizja brexitu bez umowy. Dlaczego to miałoby się udać?

W obecnej chwili to bodaj najlepsze rozwiązanie. Podpisanie do tego dobrej umowy o wolnym handlu z UE to przepis

eprasa.pl 50a923b935

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

na sukces dla mojego kraju. Wychodząc z Unii bez umowy, nie będziemy musieli płacić 39 mld funtów za rozwód, pozbędziemy się europejskich ceł zewnętrznych, co przyniosłoby obniżkę cen podstawowych produktów. Moglibyśmy wreszcie swobodnie handlować z tą częścią świata, która naprawdę się rozwija, zamiast dawać priorytet stojącej w miejscu Unii.

Moglibyśmy sami zarządzać własnymi podatkami i cłami. Pieniądze zaoszczędzone na składce do UE moglibyśmy przeznaczyć na obniżkę podatków albo choćby na wsparcie biedniejszych Brytyjczyków. Przychodzi mi do głowy jakiś tysiąc lepszych sposobów na wydawanie pieniędzy niż wysłanie ich do Brukseli.

Pańskiego spokoju nie mącą też niepokojące doniesienia z Francji, która niemal w panice przygotowuje się do brexitu bez umowy?

Nie dziwi mnie, że Francja boi się takiego rozwiązania. Taki krok przyniósłby wiele komplikacji również Niemcom, które eksportują do nas towary za grube miliardy. Wielka Brytania to największy rynek eksportowy dla UE… Czy niemiecki przemysł samochodowy, włoscy producenci wina i choćby hiszpańska branża turystyczna będą chciały korzystnych czy niekorzystnych umów z Wielką Brytanią? Myślę, że w tej rozgrywce mamy dobrą pozycję negocjacyjną, bo wydajemy w Europie naprawdę bardzo dużo pieniędzy.

Wyklucza pan przeprowadzenie drugiego referendum? Sondaż YouGov, przeprowadzony już po odrzuceniu przez brytyjski parlament umowy wynegocjowanej przez Theresę May, pokazywał, że 56 proc. Brytyjczyków głosowałoby dziś za pozostaniem w UE, a brexitu chciałoby 44 proc. wyborców. Może po prostu po 2,5 roku chaosu Brytyjczycy trochę inaczej na to patrzą?

Nie zapominajmy jednak, że sondaże pokazywały bardzo podobne wartości tuż przed referendum. Pamięta pan, że mieliśmy przegrać to głosowanie? Przecież wygrana zwolenników brexitu była szokiem dla świata. Jasne, możemy co pół roku przeprowadzać referenda aż do uzyskania wyniku pożądanego przez euroentuzjastów. Tylko gdzie w tym wszystkim byłaby demokracja?

Kolejne referendum miałoby katastrofalne skutki, jeżeli chodzi o zaufanie Brytyjczyków do naszego parlamentu. Myślę, że groziłyby nam rozruchy podobne do tych, jakie dziś widzimy we Francji. Ludzie byliby wściekli.

Niemal 30 lat temu zaczął pan namawiać Brytyjczyków do wyjścia ze Wspólnoty. To była jednak kompletnie inna Unia.

Tak, dziś jest o wiele gorzej, jeżeli chodzi o wolność jej członków. Przełomem, w negatywnym znaczeniu, było pojawienie się euro, które wyrządziło wiele krzywdy, szczególnie dla krajów Europy Południowej. Wspólna waluta przyczyniła się w tych państwach do znacznego wzrostu bezrobocia, równocześnie napędzając bogactwo Niemiec. Dlatego polski rząd zachowuje się mądrze, nie paląc się do przyjęcia euro.

Myślę, że euro w ciągu kilku najbliższych lat upadnie, ponieważ fundamenty wspólnej waluty są źle zaprojektowane. Ta strefa nie jest „optymalnym obszarem walutowym". Nie oszukujmy się, od lat opiera się to na tym, że Niemcom wiedzie się świetnie, a cała reszta ma z tym same problemy.

W czasie ostatniego kryzysu Grecja, która nie może manipulować przy swojej walucie, przeszła przez gorszy kryzys niż ten, który dotknął Amerykanów pod koniec lat 20. ubiegłego wieku.

Euro, wbrew zaklęciom jego twórców, nie sprawiło, że UE stała się bardziej jednolita. Obecnie wygląda na to, że strefa euro zmierza w kierunku recesji. To z kolei oznaczałoby problem ze spłatą zadłużenia, a stąd już tylko krok do kolejnego potężnego kryzysu tej waluty. Tym razem to może być już naprawdę jej koniec.

Jednak w UE nie widać jakiegoś wielkiego ruchu oporu przeciw wspólnej walucie.

Widać jednak generalny opór przeciw Brukseli. Tak zwane partie populistyczne wszędzie zyskują. Widzimy, co się dzieje we Francji, jak zyskuje AfD w Niemczech, z kolei Włochami rządzą otwarci eurosceptycy. W Polsce i na Węgrzech też – jak się zdaje – społeczeństwa mają powoli dość dyktatu potężnej centrali w Brukseli. Na naszych oczach kończy się sen liberałów o coraz większym zacieśnianiu więzów w Europie.

A coraz większa integracja strefy euro? Wspólny budżet strefy euro, którego chcą Macron i Merkel, nie jest przedłużeniem snu euroentuzjastów?

Tylko że ta elita właśnie odchodzi do historii. Mieliśmy takich ludzi w Wielkiej Brytanii i naród powiedział im wyraźnie: „Mamy dość integracji, chcemy iść własną drogą". Brexit był głosem za niepodległością. Wyobrażam sobie tę panikę wśród największych euroentuzjastów w oczekiwaniu na rezultaty eurowyborów. Wygląda na to, że nowy europarlament nie będzie chciał dalszego pogłębiania tej dystopii. Europa to wspólnota zróżnicowanych krajów i narodów. Nie da się nimi wszystkimi zarządzać w jeden sposób. Myślę, że jesteśmy świadkami renesansu narodów Europy. To przecież najbardziej naturalny sposób na identyfikację ludzi.

Nie widzi pan żadnych plusów w zacieśnianiu integracji? Może przynajmniej przyzna pan euroentuzjastom rację w jednym – więcej Unii oznacza jeszcze większe minimalizowanie zagrożenia wybuchem konfliktu w Europie?

Po II wojnie światowej Europa się zmieniła i jedynym realnym zagrożeniem dla pokoju był Związek Sowiecki, który wszakże był powstrzymywany przez potężne NATO. To właśnie ten sojusz jest narzędziem utrzymywania pokoju, a nie UE.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Alan Sked jest emerytowanym wykładowcą London School of Economics, założycielem UK Independence Party, która od wielu lat opowiadała się za wyprowadzeniem Wielkiej Brytanii z UE.

eprasa.pl 50a923b935

Pożyczkowy rekord

Prawie 640 mln zł – aż tyle na pożyczki przeznaczyła w zeszłym roku Agencja Rozwoju Przemysłu. Z oferty ARP skorzystało wiele polskich przedsiębiorstw, które znalazły się w trudnej sytuacji finansowej. Najczęściej przedsiębiorcy sięgają jednak po pieniądze na rozwój i inwestycje

W 2018 r. Agencja Rozwoju Przemysłu S.A. udzieliła aż 40 pożyczek o łącznej wartości prawie 640 mln zł, których wartość wahała się od kilkuset tysięcy złotych do 100 mln zł. Spośród wszystkich pożyczkobiorców prawie jedną czwartą stanowiły firmy prywatne z sektora MŚP.

– Z oferowanego przez nas finansowania najczęściej korzystały firmy działające w przemyśle ciężkim: producenci maszyn czy przemysł zbrojeniowy – mówi Paweł Kolczyński, wiceprezes Agencji Rozwoju Przemysłu S.A.

Pożyczki to jeden z ważniejszych obszarów działalności Agencji Rozwoju Przemysłu S.A. – spółki Skarbu Państwa działającej w ramach Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju. Od 2005 r. ARP S.A. przeznaczyła na ten cel ponad 5 mld zł. Z oferty skorzystało wiele polskich przedsiębiorstw, które znalazły się w trudnej sytuacji finansowej. Dzięki pieniądzom z ARP S.A. uratowano tysiące miejsc pracy, unowocześniając duże i średnie przedsiębiorstwa.

NIE TYLKO DLA WIELKICH

W ostatnim czasie liczba pożyczek pomocowych spada, a rośnie wsparcie dla rozwoju i inwestycji przedsiębiorstw. ARP S.A. oferuje firmom wiele różnych produktów: od pożyczki obrotowej przez inwestycyjną do finansowania projektu innowacyjnego. I chociaż wyspecjalizowała się w finansowaniu dużych przedsiębiorstw, to jest otwarta także na współpracę z przedstawicielami małych i średnich firm, które generują miejsca pracy w regionach mniej uprzemysłowionych.

Mogą to być pożyczki na finansowanie konkretnej inwestycji czy działań rozwojowych, ale także na uzupełnienie kapitału obrotowego. W ten sposób umożliwia przedsiębiorcom ominięcie barier w pozyskaniu kapitału, na które napotykają często firmy prowadzące działalność innowacyjną, która niemal z założenia związana jest z dużym ryzykiem inwestycyjnym.

– Widzimy coraz większe zainteresowanie wśród małych i średnich przedsiębiorstw. Dzisiaj mniej firm potrzebuje kroplówki, wzrasta z kolei zapotrzebowanie na finansowanie nowych inwestycji. Widać to szczególnie wśród firm z sektora MŚP, które chociaż mają perspektywiczne plany rozwoju, nie zawsze mogą liczyć na łatwy dostęp do finansowania. W ARP S.A. wychodzimy naprzeciw ich oczekiwaniom i dostosowujemy ofertę pożyczek do ich potrzeb – zauważa wiceprezes Paweł Kolczyński.

ALTERNATYWA DLA BANKÓW

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A. udziela finansowania na projekty innowacyjne, inwestycje, przedsięwzięcia restrukturyzacyjne, a także na wsparcie płynności finansowej przedsiębiorstw czy finansowanie zamówień.

Oferta pożyczkowa ARP S.A. jest uzupełnieniem oferty bankowej, a dla niektórych firm alternatywą dla niej. Ogromną zaletą jest to, że nie ogranicza jej prawo bankowe. Może więc angażować się w branże i przedsięwzięcia o ogromnym potencjale, które przez banki są uznawane za zbyt ryzykowne.

Od tradycyjnych banków ARP S.A. różni również to, że finansuje działania restrukturyzacyjne oraz spółki z przejściowym ujemnym wynikiem finansowym. W takich przypadkach stara się jednak nie tylko ratować spółki przed upadkiem – poprzez proste zasilanie kapitałem – lecz także wyprowadzać je na prostą. Aby skorzystać z finansowania, potrzebny jest więc przede wszystkim dobry biznesplan. Wszystkie projekty są bowiem realizowane zgodnie z rynkowymi zasadami, a inwestycja nie ma charakteru bezzwrotnego.

Obecnie więcej pożyczek udzielanych jest na zasadach komercyjnych

eprasa.pl 50a923b935

niż w formie pomocy publicznej. – Dzięki naszemu wsparciu wielu przedsiębiorców do nas wraca, kiedy planuje duże inwestycje i potrzebuje na nie środków. To efekt wzajemnego zaufania i dobra informacja, bo oznacza, że jesteśmy liczącą się alternatywą dla oferty bankowej i wiarygodnym partnerem nie tylko na czas przejściowych problemów finansowych, lecz także wtedy, gdy firma chce się rozwijać – podkreśla wiceprezes Kolczyński.

DLA WSZYSTKICH BRANŻ

I chociaż w ARP S.A. wciąż priorytetowo traktowane są przedsiębiorstwa przemysłowe, o kluczowym znaczeniu dla regionów słabiej uprzemysłowionych, to aktualni pożyczkobiorcy Agencji reprezentują aż 20 różnych branż: od przemysłu lekkiego przez spożywczy, chemiczny, maszynowy czy RTV AGD do przemysłu ciężkiego.

Z oferty pożyczek inwestycyjnych skorzystała m.in. Rema S.A. – średniej wielkości producent pilarek i innych maszyn do obróbki drewna, wspierany przez ARP S.A. finansowo od 2013 r. W kwietniu zeszłego roku udzieliła spółce czwartej już pożyczki w wysokości 3 655 000 zł na pokrycie wydatków związanych z realizacją kolejnego projektu inwestycyjnego ukierunkowanego na badania i rozwój oraz wdrożenie wyników prac B+R do procesów produkcyjnych.

Obecnie Rema S.A. jest podmiotem rozwijającym się, prowadzącym rentowną działalność oraz jednym z kluczowych pracodawców w regionie o najwyższej stopie bezrobocia w województwie (Reszel, powiat kętrzyński, woj. warmińsko-mazurskie). Inny ubiegłoroczny pożyczkobiorca to firma Pronar sp. z o.o. – lider rynku maszyn i urządzeń dla rolnictwa, usług komunalnych i recyklingowych.

Działająca na Podlasiu spółka – zatrudniająca ponad 2 tys. osób – na podstawie aneksowanej pożyczki z 2014 r. pozyskała 30 mln zł. Wcześniejsza pożyczka (na kwotę 60 mln zł) pozwoliła na sfinansowanie m.in. zakupu maszyn i urządzeń do nowoczesnego Centrum Badawczo-Rozwojowego.

Wśród ubiegłorocznych pożyczkobiorców nie zabrakło również przedstawicieli branży spożywczej, takich jak np. spółka Awima sp. z o.o. (producent liofilizowanych owoców i warzyw, który we wrześniu 2018 r. zawarł z ARP S.A. umowę pożyczki inwestycyjnej) czy Libru SEA (firma produkująca wysokiej jakości ryby wędzone, która w październiku 2018 r. otrzymała pożyczkę inwestycyjną m.in. na zakup nieruchomości wraz z zakładem przetwórstwa rybnego, pokrycie nakładów inwestycyjnych na modernizację tego zakładu oraz na zasilenie kapitału obrotowego zakładu).

Wśród pożyczkobiorców byli także przedstawiciele branży budowlanej (Mirbud, Przedsiębiorstwo Robót Drogowych Lubartów), meblarskiej (Jafra Connect) czy instytucji naukowych (Instytut Wysokich Ciśnień PAN) oraz badawczo-rozwojowych (np. firma Adaptronica skorzystała z linii pożyczkowej dla sektora technologii kosmicznych).

ARP S.A. udzieliła także pożyczek restrukturyzacyjnych takim przedsiębiorstwom jak słupska spółka Hydro-Naval Sp. z o.o. – produkująca maszyny i urządzenia dla branży offshore oraz cywilnych i wojskowych jednostek pływających – która w czerwcu ubiegłego roku pozyskała od Agencji 9,37 mln zł finansowania.

We wrześniu zeszłego roku pożyczkę restrukturyzacyjną uzyskała również Jafra Connect Sp. z o.o. Spółka zajmuje się produkcją mebli w zakładzie w Karnicach (woj. dolnośląskie). Dzięki środkom ARP S.A. dotychczasowa restrukturyzacja mogła nabrać tempa, a spółka zniwelowała problemy płynnościowe związane z większą produkcją.

Podobnych przykładów jest wiele. Eksperci ARP S.A. dostosowują bowiem warunki finansowania do indywidualnych potrzeb przedsiębiorców i nie pobierają opłat za rozpatrzenie wniosku. Pożyczki udzielane są na podstawie prostych i przejrzystych procedur, a przedsiębiorcy mogą się ubiegać o finansowanie swojej inwestycji brutto. Zaletą ARP S.A. jest również finansowanie kapitału obrotowego standardowo na okres dłuższy niż oferują tradycyjne banki komercyjne.

eprasa.pl 50a923b935

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Mnożenie „atomówek”

Jeśli nie budujemy elektrowni atomowej, to nie budujemy, choć mają je właściwie niemal wszyscy w naszej części świata: Czesi, Niemcy, Rosjanie, Litwini, Słowacy, Ukraińcy, Rumuni, Bułgarzy, Węgrzy, Szwedzi, Finowie itd. Jeśli już jednak budujemy, to od razu dwie naraz. Oczywiście na początek. Ale właściwie dlaczego tylko dwie, a nie od razu cztery? Albo osiem? Przecież kto jak nie my – Polacy, nieprawdaż?

To znaczy, rzecz jasna, ogłaszamy, że budujemy, a potem wiadomo. Zresztą ileż to już lat „budujemy” tę naszą elektrownię atomową? Jeśli wliczyć w to PRL, to dobrze ponad pół wieku. I to bardzo dobrze ponad pół wieku. No, ale od kilku lat mamy w tej sprawie ogromne przyspieszenie – a to za sprawą premiera tysiąclecia Donalda Tuska i jego czołowego speca od energetyki atomowej, a jeszcze bardziej – własnych atomowych zarobków – Aleksandra Grada. Oto rząd PDT w 2009 r. ogłosił z emfazą, że elektrownia jądrowa powstanie w Polsce do roku 2019. Potem nieco ostudzono emocje, przyznając samokrytycznie, że może do 2019 r. to jednak nie, lecz za to do 2025 – to już na pewno, „na 100 proc.”. I od razu stworzono w tym celu odpowiednie spółki celowe i publiczne pieniądze popłynęły do nich szerokim strumieniem. Za tę przygodę zapłaciliśmy jako podatnicy, lekko licząc, miliard złotych – nietrudno porachować, ile musiał wysupłać ze swej kieszeni statystyczny Polak, a atomowej elektrowni jak nie było, tak – rzecz prosta – nie ma. Ale w końcu, to fakt, nikt nie obiecywał, że będzie tanio.

A ambitni następcy Platformy u steru rządów, to jasne, nie chcą być gorsi. Po uroczystym zaanonsowaniu budowy największego w tej części Europy Centralnego Portu Lotniczego, po ogłoszeniu programu „Milion aut elektrycznych w Polsce do 2025 r.”, po wbiciu łopaty pod przekop Mierzei Wiślanej i zadeklarowaniu budowy promów pasażerskich w Szczecinie nie pozostało im nic innego, jak i w kwestii elektrowni atomowej przebić poprzedników. No i niewykluczone, że przebiją, choć na razie to jeszcze nie cały rząd PiS, ale „tylko” minister energetyki zdradził, że chce zbudować, do 2043 r., aż dwie siłownie jądrowe – jedną na północy, a drugą w centrum kraju.

Cóż, trudno nie życzyć Polsce i sobie, w przypadku rzeczonych inwestycji, by jak najprędzej okazało się, że tym razem mowa jednak o budowaniu, a nie „budowaniu”. A siłownie atomowe są na samym początku listy inwestycji naprawdę niezbędnych. Jeśli bowiem naprawdę poważnie myślimy o dobrej przyszłości Polski, to warto pamiętać, że nie będzie ona możliwa bez jak najtańszej i jak najczystszej energii. W obu tych przypadkach, przy naszym położeniu geograficznym i politycznym, elektrownie jądrowe są całkiem niezłym rozwiązaniem. Tyle tylko, że do sfinansowania ich budowy potrzeba grubo ponad 100 mld zł – oprócz tego miliarda, który już wydaliśmy. Ktoś wie, skąd je wziąć? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

SI przewidziała Wiosnę

We wrześniu 2017 r. zastosowałem modele uczenia maszynowego do analizy artykułów prasowych z trzech źródeł: gazeta.pl, rp.pl i wPolityce.pl. Próba była niewielka, bo tylko nieco ponad 7 tys. artykułów z okresu lipiec–sierpień 2017 r. Zastosowałem tzw. analizę wydźwięku do nazwisk kluczowych polityków rządu i opozycji, czyli badałem, jak prasa pisze o politykach – dobrze czy źle. Wyniki były ciekawe. Najlepszy wynik miał ówczesny wicepremier Mateusz Morawiecki, na drugim miejscu uplasował się Robert Biedroń, ówczesny prezydent Słupska, który wyprzedzał prezydenta Dudę. Najgorszy wynik uzyskał Grzegorz Schetyna, który jako jedyny badany polityk częściej był wymieniany w kontekście negatywnym niż pozytywnym.

Na podstawie tych analiz napisałem artykuł naukowy, który ukazał się w kwartalniku politologicznym Uniwersytetu Warszawskiego „ePolitykon”, gdzie przedstawiłem następujące konkluzje: najlepszym kandydatem na zastąpienie premier Szydło jest Mateusz Morawiecki; dopóki Grzegorz Schetyna pozostaje liderem Platformy Obywatelskiej, dopóty ta partia nie ma szans na wzrost popularności; dobrym kandydatem na lidera opozycji jest Robert Biedroń. Warto dodać, że w momencie pisania artykułu do „ePolitykon” nie było jeszcze mowy w domenie publicznej o dymisji premier Szydło, a Robert Biedroń nie planował publicznie ogólnopolskiej kariery politycznej.

Minęło półtora roku i, jak widać, analizy oparte na modelach uczenia maszynowego sprawdziły się w rzeczywistości. Mateusz Morawiecki został skutecznym premierem, Wiosna Roberta Biedronia od razu po powstaniu stała się trzecią siłą polityczną w Polsce i zagraża Platformie Obywatelskiej, którą Grzegorz Schetyna ciągnie w dół.

Politycy na co dzień przywiązują wielką wagę do tego, jak są postrzegani w mediach. Okazuje się, że mają rację, ponieważ ich pozycja i kariera może pozostawać pod silnym wpływem opinii medialnej. Gdy media piszą i mówią dobrze o danej osobie, jej wartość jako polityka rośnie. Podobnie jest zresztą z częstością wystąpień. Robert Biedroń, mimo że był tylko prezydentem średniej wielkości miasta, pojawiał się często w mediach ogólnopolskich, co stworzyło fundament obecnego politycznego sukcesu.

Analiza wydźwięku prawdopodobnie jest dzisiaj standardowym narzędziem analitycznym w każdej partii politycznej i jest brana pod uwagę tak samo poważnie jak wyniki sondaży lub badań zaufania do poszczególnych polityków.

Rodzi się pytanie, jakie byłyby wyniki analizy wydźwięku przeprowadzone dzisiaj. O tym za tydzień. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl 50a923b935

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | PAULINA **GROCHOWSKA** | RENATA **PRZEMYK**
ŁUKASZ **DRAPAŁA** | MAREK **PIEKARCZYK** | JAKUB **WOCIAL** | KRZYSZTOF **KILJAŃSKI**
ORAZ **ORKIESTRA SYMFONICZNA** POD BATUTĄ JANA **STOKŁOSY**

Niezapomniany koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

GDAŃSK

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019

GODZ. 20.00

Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego

BILETY DOSTĘPNE
W KASACH FILHARMONII BAŁTYCKIEJ

Bilety24
WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW | **#GINTROWSKI**

MECENAS KONCERTU: LOTOS

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, GDAŃSK

PATRONI MEDIALNI: trojmiasto.pl, Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl 50a923b935

FOT. ADOBE STOCK

Łatwy sposób na wyższą emeryturę

Już od 1 lipca 2019 r. firmy zatrudniające co najmniej 250 osób powinny uruchomić Pracownicze Plany Kapitałowe. Do 2021 r. stopniowo dołączane będą kolejne grupy pracodawców. W sumie w programie dodatkowego, dobrowolnego oszczędzania ma wziąć udział kilkanaście milionów Polaków

Polacy wciąż mają mało oszczędności, a dobrowolne programy oszczędzania na emeryturę (IKE, IKZE, PPE) nie zdobyły w naszym kraju wystarczającej popularności. Tymczasem warunki demograficzne są zatrważające. W 2013 r. na jednego emeryta pracowało pięć osób. W 2020 r. będą to cztery osoby, a w roku 2060 już tylko dwie.

Według prognoz wysokość emerytur osób kończących karierę zawodową za 20–30 lat będzie więc wynosić zaledwie 30–40 proc. ostatniego wynagrodzenia brutto. To zaś oznacza, że bez dodatkowych oszczędności przyszli emeryci będą uzależnieni od wsparcia rodziny, zasiłków socjalnych lub będą zmuszeni do dalszej pracy zawodowej.

Aby zwiększyć komfort życia przyszłych emerytów, rząd opracował więc program, który ma ułatwić Polakom długoterminowe oszczędzanie. Dzięki niemu każdy pracownik może zyskać w przyszłości dodatek na jesień życia, do wykorzystania już po ukończeniu 60 lat (pieniądze będzie można wypłacić niezależnie od tego, czy dana osoba będzie już na emeryturze czy będzie jeszcze pracowała).

DOBROWOLNE, PRYWATNE, DZIEDZICZONE

Rząd liczy na to, że program pracowniczych planów kapitałowych zmieni postrzeganie rynku kapitałowego przez Polaków. Autorzy projektu wyciągnęli bowiem wnioski z błędów popełnionych w przeszłości i stworzyli program, który zasadniczo różni się od Otwartych Funduszy Emerytalnych, które wyraźnie nadszarpnęły zaufanie Polaków do długoterminowego oszczędzania. Program PPK

eprasa.pl 50a923b935

powstał w oparciu o najlepsze praktyki krajów skandynawskich, a także takich państw jak Niemcy, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Kanada czy Nowa Zelandia.

Najważniejsza cecha nowego programu polega na tym, że w odróżnieniu od składki do OFE, która pochodziła z części składki na ubezpieczenie społeczne, w przypadku PPK mamy do czynienia z całkowicie prywatnymi środkami po opodatkowaniu, które stanowią element trzeciego filaru systemu emerytalnego.

Co ważne, aby dodatkowo uspokoić oszczędzających, w ustawie jasno i wyraźnie zapisano, że pieniądze zgromadzone w PPK stanowią prywatną własność ich uczestników. Zebrane w ten sposób oszczędności mogą być także dziedziczone. Poza tym PPK to program dobrowolny, z którego – w przeciwieństwie do obowiązkowego do 2013 r. OFE – w każdej chwili można się wypisać.

JAK DZIAŁAJĄ PPK?

Docelowo do Pracowniczych Planów Kapitałowych zostanie automatycznie zapisany każdy pracownik w wieku 19–55 lat podlegający obowiązkowo ubezpieczeniom emerytalnemu i rentowemu (czyli nie tylko osoby zatrudnione na umowę o pracę, lecz także np. na umowę-zlecenie lub umowę agencyjną).

Dodatkowe oszczędzanie jest dobrowolne i przyjazne dla pracownika, ponieważ aby przystąpić do PPK, nie trzeba robić zupełnie nic. Wszystkimi formalnościami zajmuje się bowiem pracodawca. Jedynie, aby się wypisać z PPK, pracownik musi podpisać specjalną deklarację i oświadczyć w niej, że nie chce przekazywania środków na rachunek PPK. Przedstawiciele rządu wierzą jednak, że w programie weźmie udział ponad połowa pracowników, ponieważ PPK są dla nich po prostu korzystne.

W ustawie umieszczono zapis, dzięki któremu uczestnik PPK, który zrezygnował z udziału w programie, w każdym momencie będzie mógł ponownie do niego przystąpić. Z wnioskiem o dołączenie do programu mogą się zwrócić do pracodawcy również osoby między 55. a 70. rokiem życia.

Pracownicze Plany Kapitałowe będą wprowadzane etapami w zależności od wielkości firmy. Już 1 lipca obecnego roku PPK powinny uruchomić firmy zatrudniające co najmniej 250 osób. Od 1 stycznia 2020 r. stosowne umowy o zarządzanie PPK będą musiały zawrzeć przedsiębiorstwa, w których pracuje od 50 do 249 osób, a od 1 lipca 2020 r. – firmy zatrudniające od 20 do 49 osób. Pozostali przedsiębiorcy na podpisanie umowy o zarządzanie PPK będą mieli czas do 1 stycznia 2021 r.

Wyłączone spod obowiązywania ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych są osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą, czyli tzw. samozatrudnieni.

2–4 proc.

TAKI ODSETEK WYNAGRODZENIA BRUTTO NA PPK BĘDZIE MÓGŁ PRZEKAZYWAĆ PRACOWNIK

1,5–4 proc.

TAKI ODSETEK WYNAGRODZENIA BRUTTO NA PPK BĘDZIE MÓGŁ PRZEKAZYWAĆ PRACODAWCA

240 zł

TYLE ROCZNIE BĘDZIE DOPŁACAŁO PAŃSTWO KAŻDEMU OSZCZĘDZAJĄCEMU W RAMACH PPK

SKĄD SIĘ BIORĄ OSZCZĘDNOŚCI?

W ramach PPK pieniądze na indywidualne konta będą regularnie wpłacać zarówno pracownicy, jak i ich pracodawcy. Co więcej, do zgromadzonych oszczędności dokładać się będzie również rząd.

Ile można wpłacić? Pracownik na konto prowadzone w ramach PPK wpłaca 2 proc. wynagrodzenia brutto. Jeżeli pensja nie przekracza 120 proc. minimalnego wynagrodzenia, to wpłata pracownika może zostać obniżona nawet do 0,5 proc. Pracownik może jednak zadeklarować wpłatę dodatkową do 2 proc., co w sumie z wpłatą podstawową daje 4 proc.

Pracodawca na rachunek pracownika w ramach PPK wpłaca co najmniej 1,5 proc. wynagrodzenia brutto. Jednocześnie może jednak zadeklarować, że będzie dokonywał również wpłaty dodatkowej w wysokości do 2,5 proc. W sumie wpłata od pracodawcy może więc wynosić maksymalnie 4 proc. wynagrodzenia.

W zależności od deklaracji pracownika i pracodawcy co miesiąc na konto w PPK będzie więc wpływać łącznie od 3,5 aż do 8 proc. wynagrodzenia. Zaletą programu jest też to, że zarówno pracownik, jak i pracodawca mogą w każdym czasie podjąć decyzję o zwiększeniu lub zmniejszeniu wysokości wpłat dodatkowych do PPK. Wpłaty dodatkowe mogą być także różnicowane przez pracodawcę np. ze względu na staż pracy lub na podstawie przyjętego regulaminu wynagrodzeń czy też układu zbiorowego pracy. Co ważne dla pracodawcy, wpłaty finansowane przez podmiot zatrudniający nie stanowią podstawy wymiaru składek na ubezpieczenia emerytalne i rentowe, a tym samym nie stanowią również podstawy do naliczenia składek na ubezpieczenie chorobowe, wypadkowe, zdrowotne oraz składek na fundusze pozaubezpieczeniowe.

Aby program był jeszcze bardziej atrakcyjny, państwo do PPK dopłaci 250 zł w ramach jednorazowej wpłaty powitalnej, a następnie będzie zwiększać zgromadzone w ten sposób oszczędności o 240 zł rocznie.

Co się dzieje ze zgromadzonym kapitałem? Zarządzają nim instytucje finansowe spełniające rygorystyczne kryteria. Gromadzone na rachunkach uczestników PPK środki będą lokowane w tzw. fundusze zdefiniowanej daty. Każdy pracownik biorący udział w programie zostanie automatycznie przypisany do funduszu w zależności od swej daty urodzenia. Fundusz ten, w miarę zbliżania się uczestnika do 60. roku życia, ma obowiązek dostosowania polityki inwestycyjnej w taki sposób, aby zapewniała właściwe bezpieczeństwo powierzonych środków.

Jednocześnie zainwestowane w długoterminowej perspektywie pieniądze zasilą polski rynek kapitałowy i obniżą koszty finansowania inwestycji, co będzie korzystne dla całej gospodarki.

Gdzie i jak będą inwestowane pieniądze wpłacone do PPK? Jakie są opłaty za zarządzanie? Na jakich zasadach można wypłacić zaoszczędzone środki jeszcze przed ukończeniem 60. roku życia? Jakie są preferencje dla najmniej zarabiających? Na te i inne pytania dotyczące PPK odpowiemy już za tydzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 50a923b935

TEST „DO RZECZY": OPPO FIND X AUTOMOBILI LAMBORGHINI EDITION

Aż 7299 zł. tyle trzeba zapłacić za model Find X Automobili Lamborghini Edition chińskiej firmy OPPO, która na przełomie stycznia i lutego zadebiutowała na polskim rynku.

OPPO zajmuje piątą pozycję na światowym rynku smartfonów. A pierwsza limitowana seria potwornie drogiego smartfona stworzonego we współpracy z Lamborghini na chińskim rynku w sierpniu zeszłego roku wyprzedała się w ciągu zaledwie czterech sekund. Popyt był tak duży, że na czarnym rynku cena modelu szybko poszybowała znacznie powyżej oficjalnej ceny.

Co takiego ma w sobie smartfon, który kosztuje tyle, ile nastolatki płacą za swój pierwszy samochód? Po pierwsze jest solidnie wykonany, wygląda elegancko i smukło (ma zaledwie 9,4 mm grubości). Na przykrytych szkłem Gorilla Glass 5 pleckach z włókna węglowego ma wygrawerowany trójwymiarowy symbol Lamborghini. Do słynnej włoskiej marki nawiązują też takie detale jak ikony aplikacji czy tapeta ze zdjęciem sportowego włoskiego wozu. Wyświetlacz typu OLED ma przekątną 6,42 cala, rozdzielczość Full HD+ (1080 x 2340) i jest praktycznie pozbawiony jakichkolwiek ramek.

Smartfon dysponuje technologią rozpoznawania twarzy wraz ze specjalnym mechanizmem automatycznego wysuwania się przedniego obiektywu, gdy tylko chcemy odblokować telefon.

Tylny, podwójny obiektyw o rozdzielczości 20 MP i jasności f/2.0 również się wysuwa, kiedy włączymy aplikację do robienia zdjęć. Fotografie są bardzo dobrej jakości, a dzięki temu, że obiektywy przeważnie są ukryte, nie ma problemu z tym, iż są „zapalcowane".

Współpraca z twórcą niezwykle luksusowych aut zobowiązuje także do tego, aby również pod maską znalazło się to, co producent ma najlepszego. W modelu Find X Automobili Lamborghini Edition mamy więc najpotężniejszy procesor dostępny w smartfonach z Androidem, czyli Snapdragon 845, a także 8 GB pamięci RAM (czyli sporo więcej, niż potrzebuje przeciętny Kowalski) oraz aż 512 GB wbudowanej pamięci. Do tego smartfon nie rozgrzewa się zbyt mocno, nawet gdy jest bardzo intensywnie eksploatowany.

Do zestawu dołączony jest również zestaw dobrych bezprzewodowych słuchawek O-Free. Niestety, Chińczycy wzięli przykład z Apple'a i zrezygnowali z tradycyjnego wejścia na słuchawki. Trzeba więc nosić ze sobą przejściówkę (jest w zestawie) lub pogodzić się z koniecznością używania słuchawek bezprzewodowych.

Szkoda również, że tak drogi telefon wciąż jest obsługiwany przez starego Androida 8.1 Oreo. Wadą jest brak modułu NFC, co oznacza, że możemy zapomnieć o tym, aby naszego superdrogiego telefonu używać do płacenia zbliżeniowo za luksusowe zakupy przy użyciu Google Pay. W smartfonie za tak duże pieniądze przydałaby się też opcja bezprzewodowego ładowania.

Na pochwałę zasługuje za to bateria o pojemności 3400 mAh, a także technologia niezwykle szybkiego ładowania, dzięki której akumulator telefonu od 0 do 100 proc. ładuje się w nieco ponad pół godziny. I na koniec dobra wiadomość dla mniej zamożnych: w Polsce dostępna jest również podobnie wyglądająca wersja modelu Find X (pozbawiona znaczka kultowej marki, bezprzewodowych słuchawek i z mniejszą ilością dostępnej pamięci etc.) – jej cena to 3699 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIATR W KOŁA

Rowery z napędem wiatrowym? Tego jeszcze nie było, choć sam pomysł jest bardzo ciekawy. Nie sądzę jednak, by przyjął się w Polsce, mimo że coraz częściej prezydenci miast budują szerokie drogi rowerowe, kosztem – niestety – jezdni i chodników. O szerokość i miejsce chodzi wszak przy praktycznym wykorzystaniu CycleWing, czyli… roweru z żaglem.

Urządzenie w ciągu minuty pomoże przekształcić rower – dzięki zamontowaniu sporych rozmiarów żagla – w pojazd kołowy napędzany wiatrem. Po zainstalowaniu aplikacji CycleWing i niewielkiej konsoli składającej się z graficznego wyświetlacza oraz dwóch przycisków umieszczonych przy kciukach przy kierownicy rowerzysta zyskuje pełną elektroniczną kontrolę nad żaglem i może ustawić go tak, aby zapewnić optymalny napór powietrza w zależności od warunków. Gdy wiatr sprzyja, jedziemy, pedałując tylko od niechcenia, a gdy nie dmucha, urządzenie można schować i wozić na bagażniku.

Konstruktorzy dali sobie 20 dni na zebranie 75 tys. dol. niezbędnych do uruchomienia produkcji. Na razie idzie kiepsko – pozyskali ok. 1,5 tys. dol. Żeby stać się użytkownikiem CycleWing, trzeba wpłacić na akcję prowadzoną na portalu Kickstarter ok. 1,5 tys. zł i czekać do listopada na dostawę lub na zwrot pieniędzy, jeśli zbiórka okaże się niewypałem.

NOWA GENERACJA MIKRODRONÓW

Po pierwsze, mieści się w dłoni. Po drugie, robi całkiem niezłej jakości zdjęcia z lotu ptaka. Po trzecie, nie jest szczególnie skomplikowany w obsłudze. Po czwarte, kosztuje nieco ponad 800 zł, co – jak na mikrodrona tej klasy – nie jest wcale dużo. I po piąte, ów mikrodron nazywa się po prostu Micro Drone v. 4.0 i można go zamawiać na portalu Indiegogo. Czy warto? Raczej tak, biorąc pod uwagę to, że świetnie wypełnia lukę między amatorskimi dronami a tymi profesjonalnymi, umożliwiając również nagrywanie filmów w rozdzielczości HD. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 50a923b935

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

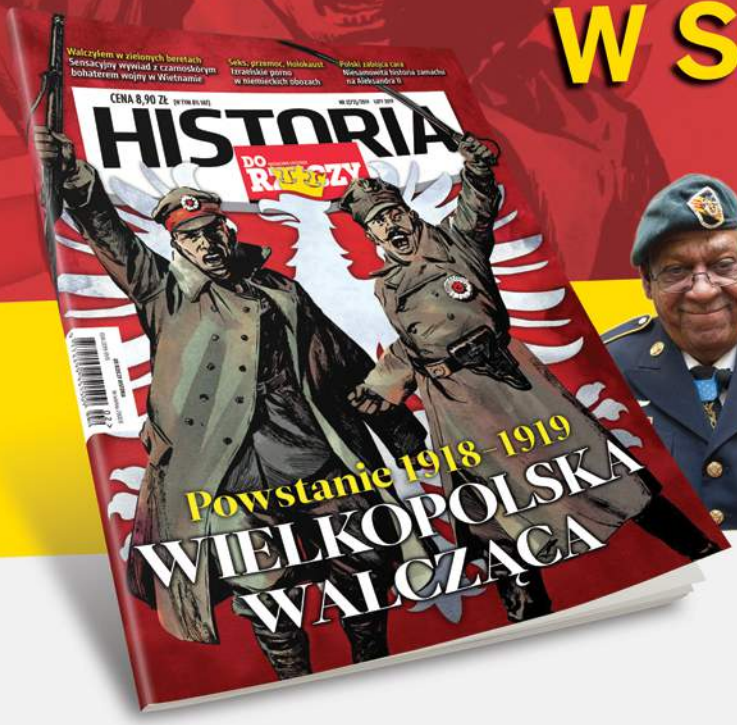

WALCZYŁEM W WIETNAMIE
WYWIAD Z BOHATEREM ZIELONYCH BERETÓW

Marek Rezler – **Wielkopolska Walcząca**
Marcin Bartnicki – **Niemiecki plan ataku na Warszawę**
Piotr Zychowicz – **Seks, przemoc i Holokaust**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica syberyjskiego meteorytu**
Nikołaj Iwanow – **Zagadka zdrady generała NKWD**
Zvika Greengold – **Byłem asem pancernym Izraela**
Piotr Semka – **Rosenbergowie: śmierć atomowych szpiegów**
Sławomir Koper – **Polski zabójca cara**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 50a923b935

Z Jarosławem Pinkasem, głównym inspektorem sanitarnym
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Ludzie mają wobec siebie obowiązki

KATARZYNA PINKOSZ: Coraz częściej przedszkola i żłobki deklarują, że będą w pierwszej kolejności przyjmować dzieci zaszczepione. To dobry trend?

JAROSŁAW PINKAS: Każdy sposób, by wzmocnić zaufanie do szczepień, jest dobry. Rodzice coraz częściej wymuszają na samorządach, by te zapewniły bezpieczeństwo, w tym zdrowotne, dzieciom uczęszczającym do szkół i przedszkoli. Dzięki temu rozpoczyna się publiczna dyskusja, ludzie zaczynają się przekonywać, że szczepienia są ważne. Być może dzięki temu osłabnie tzw. ruch antyszczepionkowy.

Jednak najważniejszy argument przemawiający za szczepieniami, który jeszcze słabo się przebija, dotyczy naszego obowiązku społecznego. Nie boję się powiedzieć: ludzie mają wobec siebie obowiązki. Są osoby, które nie mogą być szczepione, np. dzieci z deficytami odporności. Jeśli my się nie szczepimy, to stwarzamy dla nich realne zagrożenie – one mogą zachorować, zarażając się od nas. Powinniśmy traktować obowiązek szczepień jako coś szlachetnego, a nie przymus. Musimy dawać coś innym, a nie tylko brać, żądać.

Jest pan idealistą, takie nastawienie nie jest dziś popularne.

Na tym stanowisku potrzebny jest idealizm. Bez niego niczego byśmy nie osiągnęli, choć oczywiście musi on iść w parze z pragmatyzmem. A w kwestii szczepień trzeba być niezwykle pryncypialnym. W 99 proc. w ruchach antyszczepionkowych są osoby, którym wydaje się, że postępują słusznie, uważają, iż walczą o wspólne dobro, ale otacza ich nieuczciwość. Często nie potrafią korzystać z racjonalnej wiedzy, ponieważ deprecjonuje się tych, którzy ją krzewią: lekarzy, profesjonalistów medycznych, naukowców. Brakuje dziś autorytetów, odpowiedzialności za słowo, a każdy, kto ma dostęp do smartfona, uważa, że ma pełny dostęp do wiedzy. W Internecie jest wiele informacji niesprawdzonych.

Jak w tej chwili w Polsce wygląda sytuacja z odrą?

Odra obecnie jest dużym problemem dla całej Europy. Dane opublikowane niedawno w British Medical Journal pokazują, że w 2018 r. zachorowało w Europie ponad 80 tys. osób. 61 proc. z nich było hospitalizowanych, a 72 osoby zmarły. Ogromny problem jest na Ukrainie – w tym roku było już 20 tys. zachorowań, jest sporo powikłań i zgonów.

A w Polsce?

W 2018 r. wystąpiło potrojenie liczby zachorowań w stosunku do 2017 r., a styczeń 2019 r. był naprawdę fatalny. Mamy już ok. 270 przypadków odry w tym roku. Przy czym jest to odra zawleczona, chorują głównie osoby, które przyjechały do Polski lub z nimi się stykają, a nie były zaszczepione. Powszechne szczepienia przeciw odrze były wprowadzane w Polsce w 1974 r. Osoby urodzone wcześniej, jeśli nie chorowały ani nie zostały zaszczepione, nie są bezpieczne. Również pierwsze szczepionki nie były na tyle doskonałe, żeby odporność była długotrwała. Jeśli jednak ktoś został zaszczepiony, to nawet gdy zachoruje, przechodzi odrę lżej. Naszym największym sukcesem jest to, że nie mamy żadnego poważnego powikłania ani zgonu, a zdarza się on raz na tysiąc zachorowań. U nas tego nie było.

Powrót odry spowodował, że więcej rodziców zaczęło szczepić dzieci? W pewnym momencie brakowało szczepionek?

Nastąpił wzrost zainteresowania szczepieniami, czasami nawet rzeczywiście był utrudniony dostęp do szczepionek. Mamy zagwarantowane kolejne dostawy, jednak obecnie cała Europa chce kupować szczepionki, a przecież wyprodukowanie większej ich liczby nie jest takie proste. Byliśmy jednak na tyle rozsądni, że już wcześniej zamówiliśmy znacznie większą liczbę, jesteśmy więc raczej bezpieczni, jeśli chodzi o kolejne dostawy.

Śledziliśmy trendy i zareagowaliśmy profesjonalnie, staraliśmy się też wszelkimi możliwymi kanałami informować, że odra istnieje, bo tzw. ruch antyszczepionkowy chciał tę chorobę wykreślić ze świadomości.

Skoro mamy głównie odrę zawleczoną, to może należałoby wymagać na granicy karty szczepień?

Analizowaliśmy takie rozwiązanie, jednak działania administracji rządowej powinny być racjonalne. Dokumentację

eprasa.pl 50a923b935

FOT. ADOBE STOCK

dotyczącą szczepień można kupić na Ukrainie za 300 hrywien [ok. 45 zł – przyp. red.]. Wprowadzenie karty byłoby więc fikcją, a nie możemy przecież zamknąć granic ani badać przeciwciał przeciw odrze u każdego, kto przekracza granicę Polski. Rozsądek mówi, abyśmy my byli zaszczepieni, bo wtedy będziemy bezpieczni. Ukraina jest w stanie wojny, a ponadto działają tam niezwykle silnie tzw. ruchy antyszczepionkowe, gdyż rozpowszechniono informacje, że rząd kupuje szczepionki tanie, niepełnowartościowe. Mamy zagrożenie wokół siebie, dlatego powinniśmy być krajem dobrze wyszczepionym.

Namawia pan do szczepień, a sam jest pan zaszczepiony przeciw odrze, grypie?

Oczywiście, zarówno przeciw odrze, jak i przeciw grypie. Moja rodzina też się szczepi. Zresztą to pytanie nie powinno być skierowane do lekarza, gdyż szczepienie powinno być czymś naturalnym. To dramat, że tylko 4,6 proc. lekarzy zaszczepiło się przeciw grypie.

Z jednej strony są antyszczepionkowcy, z drugiej padają głosy, że kalendarz szczepień powinien być rozszerzony.

Jestem dumny z tego, że trzy lata temu udało się nam z ministrem Radziwiłłem wprowadzić powszechne szczepienia przeciw pneumokokom. Niedługo będziemy widzieć tego efekty: mniej dramatów spowodowanych zakażeniem pneumokokami, mniej hospitalizacji dzieci, ale także mniej zapaleń płuc u osób starszych. Teraz prowadzona jest dyskusja na temat szczepień przeciw HPV, czyli wirusowi brodawczaka ludzkiego. Codziennie w Polsce z powodu raka szyjki macicy umiera pięć Polek. To porażka nas wszystkich. Kraje, które wprowadziły powszechne szczepienie przeciw HPV, odnoszą niebywałe sukcesy: w Australii niedługo nie będzie raka szyjki macicy. Chciałbym, żeby w Polsce było też powszechne szczepienie dzieci przeciw rotawirusom – takie są zalecenia ekspertów. To ważne także dla pracodawców, ponieważ każde zwolnienie lekarskie mamy, której dziecko choruje, jest realną stratą dla pracodawcy.

Nie tylko występuje pan przeciw antyszczepionkowcom, lecz także walczy z medycyną alternatywną.

Jestem dumny, że wywołałem dyskusję publiczną na ten temat. Medycyna jest jedna. „Alternatywna medycyna" nie istnieje: mamy albo medycynę, albo szarlatanerię. W dzisiejszym świecie medycyna musi być oparta na faktach, a nie na niestworzonych historiach, fake newsach. Oczywiście jeśli ktoś używa ziół, to jest to po prostu medycyna. Nie ma ona jednak nic wspólnego z szarlatanerią ani stosowaniem niesprawdzonych metod.

GIS sprawuje też pieczę nad bezpieczeństwem żywności. Niedawna afera dotycząca wołowiny rodzi pytania, czy polska żywność jest zdrowa, bezpieczna i dobrze kontrolowana. Czy jest?

Według mnie polska żywność jest zdrowa i bezpieczna. Oczywiście zawsze można ją kontrolować lepiej i propozycje ministra rolnictwa idą w dobrym kierunku. Pamiętajmy jednak, że zawsze znajdzie się ktoś nieuczciwy. Przestępcza działalność doprowadziła do fatalnej opinii o polskim mięsie. Według mnie to przypadek incydentalny, jednak na jego podstawie zaczęto wyciągać wnioski, że jesteśmy krajem, który źle kontroluje żywność. To nie jest prawda. Mamy duży eksport polskiej żywności, która jest w wielu miejscach badana i kontrolowana. Mamy też w GIS możliwości analityczne. Przeanalizowaliśmy dane o zatruciach pokarmowych od początku 2018 r. Niczego, co można wiązać ze złą jakością wołowiny, nie znaleźliśmy.

Niedawny raport NIK zarzucił też, że dodatki do żywności są często stosowane w Polsce bez żadnej kontroli.

Niezależni eksperci nie zostawili na tym raporcie suchej nitki, więc spuśćmy na to zasłonę milczenia. Nie jest prawdą, że stosujemy zbyt dużo dodatków do żywności. Polska żywność jest naprawdę bezpieczna.

Najważniejsze jest jednak to, żeby spożywać jak najwięcej żywności nieprzetworzonej, która jest najlepsza, i skoncentrować się na zmianie nawyków żywieniowych. Na 80 proc. chorób, które nas dotykają, pracowujemy sami. Są one efektem naszych zaniedbań zdrowotnych, palenia papierosów, złego odżywiania, zbyt małej aktywności fizycznej. Gdybyśmy popracowali nad tym, to nagle mogłoby się okazać, że w polskim systemie opieki zdrowotnej wystarcza pieniędzy na leczenie chorób, na które nikt sobie nie zapracował!

70 tys. osób w tym roku w Polsce umrze na choroby odtytoniowe. Można tego uniknąć. Musimy zmienić nasze nawyki. Jak jednak wygląda realizacja piramidy żywienia i aktywności fizycznej, w której to piramidzie najważniejszy jest ruch? Ilu Polaków zrobi dziś zalecanych dla zdrowia 10 tys. kroków? Czy pięć razy dziennie będziemy dziś jeść warzywa i owoce?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n. med. Jarosław Pinkas
– główny inspektor sanitarny, konsultant krajowy w dziedzinie zdrowia publicznego, wiceminister zdrowia w latach 2005–2007 i 2015–2017, minister w kancelarii premiera w latach 2017–2018.

eprasa.pl 50a923b935

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Bolesław Zapomniany

W „Kronice wielkopolskiej", pod rokiem 1033, znajdujemy zdanie odnoszące się do króla Polski, syna Bolesława Chrobrego: „Ten Mieszko zrodził z siostry cesarza Ottona dwóch synów, to jest Bolesława i Kazimierza. Gdy umarł w roku pańskim 1033, nastąpił po nim pierworodny syn jego Bolesław. Skoro ten został koronowany na króla, wyrządzał swej matce wiele zniewag. Matka jego pochodząca ze znakomitego rodu, nie mogąc znieść jego niegodziwości, zabrawszy maleńkiego syna Kazimierza, wróciła do ziemi ojczystej do Saksonii, do Brunszwiku i umieściwszy tam syna dla nauki, miała wstąpić do jakiegoś klasztoru zakonnic. Bolesław zaś z powodu srogości i potworności występków, których się dopuszczał, źle zakończył życie i choć odznaczony został koroną królewską, nie wchodzi w poczet królów i książąt Polski".

Fragment do dziś wywołuje burzę, dotyczy bowiem króla, którego nie ma w oficjalnych pocztach – Bolesława zwanego Zapomnianym, który miał przejąć władzę po śmierci Mieszka II i utracić ją na rzecz Kazimierza Odnowiciela. Czy rzeczywiście istniał? A może pod jego imieniem kryje się błąd kronikarza utożsamiającego Bolesława Zapomnianego z Bezprymem, bratem Mieszka II, który przejął władzę po jego wygnaniu z kraju? Dodajmy, że cała rzecz dzieje się w 1034 r., kiedy umiera sterany i okaleczony syn Chrobrego. Pozostawił kraj tak osłabiony, że wkrótce najedzie go Brzetysław z Czech, wybuchnie także powstanie pogańskie.

Bolesław Zapomniany nie występuje u Galla Anonima, źródła starszego niż „Kronika wielkopolska". Długosz zanotował jego urodzenie, jednak – jak uważa Gerard Labuda – „dość ślepo powtarzał wiadomości zapisane przez »Kronikę«". Wincenty Kadłubek nie wymienia żadnego Bolesława, jednak, co ciekawe, przytacza opowiadanie, które wskazuje, że Kazimierz Odnowiciel miał nieznanego z imienia brata. Roczniki traskie i krakowskie z kolei mylą owego Bolesława z… synem Kazimierza Odnowiciela – Bolesławem Szczodrym – i podają, że wstąpił on na tron w roku 1038, zmarł w tym samym roku, po czym… umarł ponownie w 1081 r.!

FOT. WIKIPEDIA

Cóż na to historycy? August Bielowski i Karol Szajnocha uznali historyczność Zapomnianego. Anatol Lewicki podobnie jak Szajnocha dowodził, że Bolesław był synem Mieszka, ale pochodzącym z nałożnicy, a nie legalnej małżonki – Rychezy. Historycy analizowali podania mówiące, że matka Kazimierza Odnowiciela umarła przy połogu, a macocha chciała jego śmierci, jednak wysłany przez nią oprawca umieścił małego Kazimierza w klasztorze, z którego wydobyto go po śmierci Bolesława Zapomnianego. Zbyt jednak opowieści owe zbieżne są z późniejszą historią Zbigniewa, syna Władysława Hermana.

Tadeusz Wojciechowski uważał, że Bolesław Zapomniany był postacią historyczną. Nie wyrokując, czy zrodzony został z Ryksy, z innej żony czy nałożnicy Mieszka II, uznał go za najstarszego syna króla. Młodszy – Kazimierz – oddany został do klasztoru, z którego zamierzała wydostać go matka, aby osadzić na tronie. Spowodowało to ostrą reakcję Bolesława, który najpierw wygnał z kraju Ryksę, a później jej syna. Także Oskar Balzer uznał te hipotezy za fakty historyczne. Kłopot w tym, że zarówno on, jak i Wojciechowski pominęli przekaz „Kroniki Galla Anonima" z XII w., łamiąc zasadę prymatu źródła starszego nad późniejszym, bo „Kronika wielkopolska" powstała dopiero ok. 1296 r. Dlatego Stanisław Kętrzyński odrzucił tę argumentację, udowadniając, że autor „Kroniki" korzystał z roczników Hildesheim i pomylił rzekomego Bolesława z… Bezprymem, bratem Mieszka II, który faktycznie przejął wówczas władzę. Argumenty Wojciechowskiego przyjmowali kolejni historycy, których nazwiska są jak kamienie węgielne na podwalinach polskiej mediewistyki: Kazimierz Tymieniecki, Kazimierz Jasiński i Henryk Łowmiański. Przeciwnikiem istnienia Bolesława Zapomnianego był Gerard Labuda, który przytaczał m.in. argument o numeracji kolejnych władców Polski – wszystkie bowiem późniejsze źródła historyczne wymieniają jako kolejnych Bolesławów: Krzywoustego (trzeciego) i Kędzierzawego (czwartego), a gdyby istniał Zapomniany, musieliby być oni tytułowani odpowiednio czwartym i piątym.

Historiografia polska odrzuciła zatem istnienie Bolesława Zapomnianego. Jeśli miałbym zabrać głos w tej sprawie, to przychodzi mi do głowy tylko jedna przyczyna, dla której mógłby zostać skazany na zapomnienie. Byłby to fakt, że Bolesław wyrzekł się chrześcijaństwa i wrócił do pogańskiej wiary, co można łączyć z reakcją pogańską, która wybuchła dokładnie w tym okresie. To już jednak fantastyka historyczna. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

SENATOR LIBICKI, KIRGISKA KUCHNIA I SMAŻONE BARANIE OKO

Mój asystent pochodzi z Kirgistanu, cztery lata temu przyjechał do Polski do swojego wuja, który od 19 lat mieszka w Poznaniu. Czasem mam więc kontakt z kirgiską kuchnią, gdy np. mój asystent odwiedza swojego wuja i przywozi coś, co ugotowała jego żona. Są to m.in. manty – podobne do naszych pierogów z mięsem (uformowanym w kulkę), ale z trochę delikatniejszym ciastem; samsy to też mięso, ale w cieście podobnym do francuskiego; płow – ryż z mięsem; czak-czak – coś podobnego do malutkich kawałków chleba maczanych w miodzie…
Trzy lata temu byłem w Kirgistanie, gdzie gościłem na weselu wuja mojego asystenta. Jest tam taki zwyczaj, że podczas uroczystej kolacji pan domu przynosi usmażoną głowę barana, a dwóch najważniejszych gości – znalazłem się w tym honorowym duecie – dostaje po jednym oku do zjedzenia. Oczywiście nie mogłem odmówić, bo to wielkie wyróżnienie i zjadłem to oko, co mogę porównać do zjedzenia dużej chrząstki kurczaka. Kolejnymi specjałami, których tam spróbowałem, były wielbłądzie i końskie mleko. To pierwsze jest bardzo smaczne, ale po kilku godzinach człowiek się przekonuje, że europejski żołądek nie jest do niego przyzwyczajony. Po końskim mleku nie ma podobnych przygód, choć jest – moim zdaniem – mniej smaczne. Nie zachęcam do tak ekstremalnych doznań, ale wcześniej wymienione potrawy serdecznie polecam.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Manty z mięsem

Składniki:

- **200 dag wołowiny**
- **200 dag baraniny**
- **4 cebule**
- **jajko**
- **ok. 2 szklanek mąki**
- **2 łyżki oleju**
- **sól, pieprz**

Przygotowanie:

Z mąki, oleju, jajka i szczypty soli wyrabiamy ciasto, podlewając je wodą. Odstawiamy, aby odpoczęło. Mięso kroimy bardzo drobno i mieszamy z posiekaną cebulą. Doprawiamy solą i pieprzem, nie żałując tego drugiego. Ciasto dzielimy i rozwałkowujemy na niewielkie, cienkie placuszki. Wykładamy farsz na środek i mocno sklejamy. Gotujemy na parze przez ok. pół godziny. Podajemy polane gęstą śmietaną. ***oprac. raw***

Jan Filip Libicki jest senatorem RP.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na obiad tylko do schroniska

Hotelowy tydzień w ośrodku narciarskim obejmował śniadania i obiadokolacje. Hotel przyzwoity, coś między trzema a czterema gwiazdkami, bufet obfity, z dużym wyborem. Na śniadanie sałatka tzw. imieninowa, pomidory, ogórki, sery, wędliny, płatki, owoce. Kawa dość paskudna, z maszyn. Brakowało mi białego sera, podstawowego składnika polskiego śniadania, ale rzecz poszła w stronę brunchu. Jak wskazywały moje obserwacje, amatorów oliwek i marynowanych pieczarek o godz. 8 było sporo.

FOT. ADOBE STOCK

W środku dnia zdarzyło nam się jadać w uroczym schronisku Orle w Górach Izerskich – budynku resztówce przedwojennej huty szkła. Kiedy człowiek zmarznięty, zmachany i wygłodzony, dociera do schroniska, marzy o gorącej zupie. Nie oczekujemy eksperymentów kulinarnych. Spełnieniem marzeń jest kapuśniak czy żurek, byle gorące. Na drugie klasyka PRL – mielony, schabowy, naleśniki. I to wszystko tu jest, szybko i tanio. Atmosfery w takim schronisku nie da się porównać do żadnego lux hotelu. Sprzęty podstawowe, bez aspiracji do designu, na ścianach stare narty i sanki przypominają, że nie zawsze jeździło się na rossignolach. Pani w bufecie nalewa zupę do plastikowych talerzy, ale też nic tak nie smakuje jak ta zupa. Jak bowiem mawiała moja ciocia, „grunt to rodzinę przegłodzić", a tutaj wszyscy są wygłodzeni. Nikt się nie odchudza ani nie wybrzydza na tłuste skwarki w zupie.

Wieczorem obiadokolacja już w naszym luxie. Duży wybór dań w podgrzewanych pojemnikach pokazuje, że kucharz się postarał. To, czy jedzenie z podgrzewacza, które tkwi tam parę godzin, może być smaczne, pozostawiam jako pytanie otwarte. Natomiast kierunek, w którym idzie ta kuchnia, wydaje się charakterystyczny dla epoki „foodies", w której żyjemy. O kuchni mówi się i pisze we wszystkich mediach, wychodzą dziesiątki książek o gotowaniu, kucharze są gwiazdami telewizyjnymi. Przesłanie jest jedno: eksperymentujmy. Eksperyment jest fundamentem kuchni. Zwykła pomidorowa, ogórkowa czy żurek stały się symbolami wstecznictwa, dania, które lubiliśmy, a które gotowała babcia, odesłano na śmietnik historii.

Nasz kucharz również realizował program nouvelle cuisine swoiście pojętej. Jednak aspiracje a realizacja to dwie różne sprawy. Gęś twarda i żylasta, w sosie z knorra, za to z grejpfrutem i żurawinami, ryba wysuszona na wiór, makaron kokardki z krewetkami (kokardki do owoców morza?). Zupy wyłącznie francuskie typu krem.

Na szczęście chociaż na obiad można było zjeść zwykły kapuśniak. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

TYSIĄC KONI POD MASKĄ

Zaledwie trzy sekundy. Tyle czasu potrzebuje standardowy McLaren 600LT – z 3,8-litrowym silnikiem o mocy 600 KM – aby rozpędzić się od zera do pierwszej setki. Prędkość maksymalna tej seksownej bestii wynosi zaś 320 km/godz. Nieźle, ale dla niektórych to wciąż za mało. Specjaliści z amerykańskiej firmy Hennessey Performance postanowili więc trochę McLarena podrasować. Po mechanicznych modyfikacjach stworzono trzy ulepszone wersje. W pierwszej pod maską drzemie 708 KM, co pozwala rozpędzić auto do setki w zaledwie 2,6 s. Druga ma już 805 KM, co skraca czas sprintu do 2,4 s. W trzeciej, najmocniejszej odmianie HPE1000 moc wzrosła do 1001 KM. Moment obrotowy wynosi zaś niewiarygodne 1172 Nm (w wersji standardowej to „tylko" 620 Nm). Dzięki temu McLaren 600LT na rozpędzenie się do pierwszej setki potrzebuje zaledwie 2,1 s.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

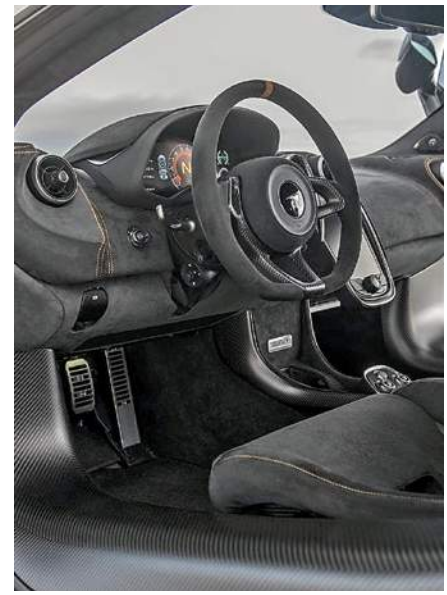

KSIĄŻĘ JUŻ NIE POPROWADZI

97-letni Filip – mąż królowej Elżbiety II i książę Edynburga – dobrowolnie zrzekł się prawa jazdy i będzie podróżował wyłącznie jako pasażer. Pałac Buckingham decyzję tę ogłosił trzy tygodnie po tym, jak nieopodal królewskiej posiadłości w Sandringham w hrabstwie Norfolk na północ od Londynu doprowadził do zderzenia prowadzonego przez siebie land rovera z kią. Książę wyszedł ze zdarzenia bez szwanku. W wyniku wypadku dwie osoby z kii zostały jednak lekko ranne. Obaj kierowcy byli trzeźwi.

FOT. DAVID HARTLEY/REX/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Dwa tygodnie po wypadku wścibscy fotoreporterzy zrobili jednak księciu zdjęcia, jak prowadzi bez zapiętych pasów bezpieczeństwa. I ostrzegali brytyjskich kierowców, że książę znów wyjechał na drogi. W liście do kierowcy książę napisał, że „w normalnych warunkach nie miałby żadnych problemów z dostrzeżeniem nadjeżdżającego samochodu", ale – jak podkreślił – został oślepiony przez słońce.

Zrzeczenie się prawa do prowadzenia pojazdów może pomóc Filipowi uniknąć nowych kłopotów – prokuratorzy wciąż nie zdecydowali bowiem, czy wnieść oskarżenie w związku z wypadkiem. Debata nad seniorami za kierownicą trwa nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w całej Europie. Starsi kierowcy z jednej strony są przeważnie ostrożniejsi i bardziej przewidujący niż narwani młokosi, ale z drugiej mają często osłabione zdolności psychomotoryczne. Europarlamentarzyści pracują więc nad ujednoliceniem unijnych przepisów i wprowadzeniem obowiązku cyklicznych badań lekarskich dla osób, które skończyły np. 70 lat.

SUPERKOMPUTER NA KOŁACH

Najbardziej wydajny i najbardziej inteligentny pojazd na świecie ma już w przyszłym roku trafić do rąk klientów – zapowiada Toyota. Japoński koncern chce zacząć sprzedawać model autonomiczny, w którym – jeśli tylko pozwalają na to przepisy danego kraju – kierowca będzie mógł puścić kierownicę i powierzyć superkomputerowi prowadzenie auta na autostradach oraz drogach szybkiego ruchu. Samochód będzie wyposażony nie tylko w dużą liczbę różnego rodzaju czujników, lecz także w urządzenie do komunikacji z innymi samochodami autonomicznymi, dzięki czemu komputer pokładowy będzie wiedział o niebezpieczeństwie na danym odcinku drogi, zanim jeszcze zbliży się do przeszkody. Jak poinformowali przedstawiciele Toyoty, choć nad rozwiązaniami dotyczącymi autonomicznych aut pracuje ponad tysiąc osób, a prace nad rozwojem tej technologii pochłonęły już niemal 3 mld dol., to samo stworzenie prototypu autonomicznego samochodu jest stosunkowo proste. Trudno jest doprowadzić do takiej redukcji kosztów, aby tego typu auta stały się atrakcyjne cenowo dla klientów.

TRUCICIELE DO KONTROLI

Rząd pracuje nad przepisami, które mają wreszcie wyeliminować z ruchu samochody najbardziej zanieczyszczające powietrze. Podczas badania okresowego każde auto ma obowiązkowo przechodzić kontrolę emisji spalin. Celem urzędników jest walka z nielegalnym procederem wycinania z samochodów z silnikiem Diesla filtrów cząstek stałych (DPF). Ich zadaniem jest wyłapywanie ze spalin szkodliwych dla zdrowia cząstek sadzy. Wymiana takiego filtra jest jednak droga, więc wiele osób prosi mechaników o wycięcie niesprawnych filtrów, tym samym zamieniając własne auto w mobilnego truciciela. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 50a923b935

TRE MONTI
SKI & BIKE RESORT

NAJLEPSZA INWESTYCJA W CENTRUM KARPACZA!

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!

130 przestronnych apartamentów

30 dni pobytu właścicielskiego

Bogata infrastruktura i atrakcje regionu

Lokalizacja w centrum Karpacza – idealna do inwestowania

wprost NIERUCHOMOŚCI

numer telefonu
22 299 00 22

sprzedaz@tremonti.pl

www.tremonti.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Prawnego.

eprasa.pl 50a923b935

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Emokracja i poprawda

Emokracja to najwyższe stadium rozwoju demokracji. A właściwie ostatnie stadium jej zdegenerowania. Takie, w którym „zarządzanie" emocjami ostatecznie i całkowicie wypiera racjonalną argumentację jako sposób budowania wspólnoty między wybieranymi i wyborcami.

We wcześniejszych etapach demokracji, od greckiej agory poczynając, odwoływano się oczywiście do emocji, a także do argumentów, do rozumu, do pamięci o tym, co było, do realnych doświadczeń po to, żeby przekonać większość współobywateli do takiego, a nie innego głosowania, do głosowania na tych, a nie innych. Podstawą wspólnoty demokratycznej jest demos, wszyscy obywatele, cały lud, wewnętrznie różnorodny, z którym polityk demokratyczny szuka kontaktu. Ważną częścią tego demosu są nawet „starzy, gorzej wykształceni, mieszkający na wsi" – to właśnie oni bowiem, mieszkańcy zamiejskich demów, dali nazwę temu systemowi politycznemu.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Podstawa emokracji jest zupełnie inna. Tworzy ją emos – wspólnota namiętnych emocji, do których rozum nie ma żadnego dostępu. Ta wspólnota łączy tylko część obywateli i odgradza ich od innych, od pozostałych ścianą emocji: strachu, pogardy, nienawiści. Fundamentem tej swoistej wspólnoty nie jest obywatel, ale wzmacniacz przekazu, który ma zastąpić rzeczywistość. Istotę emokracji tworzą media, które budują szklaną, nieprzepuszczalną dla faktów, dla rzeczywistości bańkę.

W dobrze funkcjonującej demokracji obywatele, poinformowani o sprawach publicznych przez opisujące je z różnych punktów widzenia media, zdolni także odwołać się do własnego doświadczenia, własnej wiedzy i pamięci, są w stanie powiedzieć swoim politykom (i mediom): „Sprawdzam". To słowo, ta zdolność jest źródłowo związana z pojęciem prawdy. Demokracja nie może decydować o prawdzie, ale prawda decyduje o demokracji. Tam, gdzie prawda, czyli zgodność z rzeczywistością, liczy się w politycznej grze, może mieć na nią wpływ, tam jest jeszcze demokracja „starego typu". Tam, gdzie rzeczywistość nie ma już żadnego znaczenia w ocenie polityka, jego programu, jego osiągnięć i błędów, gdzie przed prawdą, przed sprawdzeniem chroni go bańka emocji nadawanych przez media (najczęściej negatywnych, nakierowanych na unicestwienie samej możliwości pojawienia się kogoś, kto mógłby powiedzieć jak dziecko w baśni Andersena: „Cesarz jest nagi"), tam znajdujemy się w świecie poprawdy. Tam jest już po prawdzie, już liczy się tylko po-prawność, zgodność nie z rzeczywistością, tylko z aktualnie nadawanym komunikatem „serdecznej kontroli" nad pensjonariuszami danej bańki. Im większe stężenie emocji, tym większy sukces emokracji. Nie liczba obywateli się liczy, tylko siła odrzucenia rzeczywistości, siła izolacji od niej.

Kto wygrywa w tej konkurencji? Przez 30 lat po Okrągłym Stole miażdżącą przewagę w kluczowej dla funkcjonowania demokracji sferze mediów zachowała jedna ze stron dzisiejszego sporu politycznego. Zbudowały one – dominująca przez dwie dekady na rynku dzienników opinii „Gazeta Wyborcza", telewizja publiczna Drawicza, Rywina, Kwiatkowskiego, Dworaka, Miazka, Brauna (oczywiście Juliusza), wspierana od 1997 r. przez TVN Waltera – doskonałą, wręcz pancerną bańkę dla swoich emoofiar.

Skutki można poznać z naukowego opracowania opublikowanego niedawno przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego. Wynika z niego, że postawy zwolenników partii opozycyjnych w stosunku do zwolenników PiS są zdecydowanie bardziej negatywne niż odwrotnie. Wyborcy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia, w znacznie większym stopniu dehumanizują zwolenników PiS niż odwrotnie. Zwolennicy partii opozycyjnych rzadziej rozmawiają ze zwolennikami PiS niż na odwrót, a – jak wyjaśnia autorka badań – bez kontaktu obraz innych można wyrobić sobie na podstawie przekazów politycznych albo komentarzy w Internecie.

I o to w emokracji chodzi. O to, co pokazała najlepiej Wisława Szymborska, publikując wiersz „Nienawiść" z okazji obalenia rządu Jana Olszewskiego. Wiersz wyrażał doskonale zbiorową emocję tych, którzy postanowili 4 czerwca 1992 r. demokrację zastąpić emokracją. Prawdę – o strachu agentów przed lustracją, poprawdę – o rzekomo przygotowywanym przez premiera Olszewskiego wojskowym zamachu stanu. To był początek emokracji w Polsce. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Informuję, że pan nie istnieje

Proszę sobie wyobrazić następujące pismo, które pewnego pięknego dnia dociera do państwa od polskich urzędników, ostateczne, w sensie, że nie ma od niego odwołania: „Szanowny Panie, Szanowna Pani. Niniejszym pragniemy poinformować, że Pan, Pani nie istnieje. Przykro nam, ale to fakt. Nadmieniamy także, że choć przez ostatnie lata żyli Państwo na nasz koszt, to nie mamy do Państwa o to pretensji i nie będziemy żądać zwrotu poniesionych przez Polskę nakładów. Niemniej od tej pory, w związku ze stwierdzeniem faktu Pana, Pani nieistnienia zakręcamy kroplówkę i teraz mogą sobie Państwo spokojnie umrzeć. Łączymy różne wyrazy”. Polskie państwo właśnie wykręciło taki numer. Ja tam nie chcę nikogo bronić czy oskarżać, bo ja na to nie mam czasu, ja po prostu stwierdzam fakty.

Polskie państwo zarejestrowało partię bardzo kontrowersyjnie barwnego Janusza Korwin-Mikkego. Ta partia stanęła legalnie do wyborów. Prawie, prawie ją wybrano, ale ponieważ nie przekroczyła 5-procentowego progu wyborczego, to do parlamentu nikt z tej partii nie wszedł. Niemniej wynik był tak dobry, że partia dostała subwencje, czyli nasze pieniądze, w sumie nie w kij dmuchał – 11 mln. Teraz będzie najzabawniejsze w pewnym sensie, ale nie dla każdego. Otóż państwo polskie się namyśliło i stwierdziło prawomocnym orzeczeniem sądu, że partia Korwin-Mikkego, ta sama, która o mało nie dostała się do Sejmu i Senatu, i ta sama, która została uraczona naszymi, bo z naszych podatków, 11 banieczkami, że ona nie istnieje. Jak to? Tak to.

Wiadomo, że Korwin-Mikke pieniędzy nie musi zwracać, co jest informacją w połowie dobrą, a w połowie złą dla samej partii, która zniknęła, gdyż ta partia pieniędzy już nie dostanie. Głupie? Ja tego nie oceniam, bo ja nie mam czasu, tylko tak mówię, że spieszmy się kochać partie, bo szybko znikają. Znikanie partii to jednak pewne novum, nie ma co kryć. Najczęściej znikały pieniądze, ludzie, zmarszczki czy cellulit. Zresztą prywatnie muszę powiedzieć, że znikanie bywa dobre. Kiedyś, pamiętam, w gazecie, którą kierowałem, nie zniknął cellulit na udach pewnej gwiazdy na pewnym zdjęciu i co ja wtedy miałem. Normalnie miałem, jak zawsze: sąd, oskarżenia, zadośćuczynienia, odszkodowania, łzy kobiece i pasek na oczach. Nie będę tu zdradzał żadnych tajemnic, ale nadmienię, że był to bardzo znany cellulit i że on w zasadzie mógł oraz powinien zniknąć. Kiedyś napiszę tu więcej o znikających w wyniku działań medialnych grafików kilogramach, zmarszczkach, łysinach i et cetera (et cetera akurat znikają rzadko, bo celebryci nie mają tu interesu – taki żarcik pure nonsense, przepraszam). Na koniec pragnę państwa jednak uspokoić z tym znikaniem: czytelnik nie partia i nie cellulit, tak łatwo nie zniknie. Uff. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Dość symetryzmu!

Są rzeczy w polskich mediach, które sofistów przyprawiłyby o zawrót głowy, a zwykłych filozofów wpędziłyby w bezsenność. Sytuacja przydarzyła się ponad tydzień temu w jądrze ciemności przy ulicy Czerskiej, potocznie zwanym siedzibą spółki Agora. Właśnie wtedy odbył się 10-osobowy protest przeciwko… symetryzmowi „Gazety Wyborczej”. Według aktywistów w wieku studenckim niektórzy pracownicy dziennika w obliczu ataku na Magdalenę Ogórek wyrazili za daleko idącą zawodową solidarność. Naiwnie potępili agresywne zachowanie protestujących pod siedzibą TVP Info, w związku z czym „na równi z telewizją publiczną stali się odpowiedzialni za hejt wobec manifestantów”.

Skoro był protest, to musiały być też hasła. Idee przewodnie, spajające rewolucyjną młodzież. „Zamiast umywać ręce, podszlifujcie warsztat”, „Dziennikarzy, nie plotkarzy”, „Dość symetryzmu” – dźwięczało w uszach echo w hallu biurowca. Młodzież rozdawała również ulotki. Zdezorientowani pracownicy „GW” mogli się z nich dowiedzieć, że „rzekomy »atak« na Ogórek” w rzeczywistości stanowił „atak medialnej paniki”, którą oni sami podkręcili. A jeśli ktoś padł ofiarą linczu – jak zasugerowała w tweecie Dominika Wielowieyska, krytykując ludzi, którzy osaczyli dziennikarkę TVP – to byli to sami protestujący, a nie prowadząca „Studio Polska”, której jedynie „wykrzyczano prawdę”.

Dostało się również słynącemu z umiarkowania i miłości do PiS Wojciechowi Czuchnowskiemu, który po zajściach opublikował na łamach dziennika „List do Pani Elżbiety Podleśnej” – krytykujący liderkę protestów. Ów tekst, zgodnie z interpretacją antysymetrystów, złamał „podstawy etyki dziennikarskiej, był oparty na fake newsach, tweetach, sztucznej symetrii i poczuciu własnej moralnej wyższości”. Tak właśnie powstała atmosfera zastraszenia obrońców wolności słowa, którym grozi się utratą pracy, a przecież „nie popełnili żadnego przestępstwa”.

– „GW” podaje się za liberalną gazetę przestrzegającą najwyższych standardów dziennikarskich i angażującą się społecznie. Gazetę, która rozdaje swoje dodatki na masowych protestach i chętnie umieści aktywistkę na okładce. Jednocześnie – jak widać – chętnie też umyje ręce, gdy tylko działania protestujących wydadzą się „zbyt radykalne” liberalnej elicie – stwierdzili w manifeście ostatni sprawiedliwi, wzywający innych dziennikarzy do „zaprzestania czytania prawicowej publicystyki”. Do manifestantów zeszli Jarosław Kurski z kolegami. „Trwa rozmowa o jakości debaty publicznej w Polsce” – poinformowano na Twitterze „Wyborczej”.

Trudno powiedzieć, na ile owocne były to obrady, bo jak się później okazało, lider protestu regularnie pisuje do dziennika. Można zatem domniemywać, że wszystko pozostało w rodzinie. ©℗

eprasa.pl 50a923b935

OKIEM BLOGERKI

Łańcuszek Biedronia

KATARYNA

***ROBERT BIEDROŃ:** Zebrałem już takie pieniądze, które pozwalają mi na zorganizowanie wydarzenia na Torwarze, na objazd po Polsce. Kilkaset tysięcy złotych, które zebrałem dzięki sklepowi, gdzie można kupować koszulki, bluzy.*

Robertowi Biedroniowi udało się wpakować swoją partię w poważne kłopoty, jeszcze zanim sąd zdążył ją zarejestrować pod nową nazwą. Łańcuszek, przez który pieniądze trafiają do partii Wiosna, pozwala de facto finansować partię ze źródeł, z których partia nie ma prawa być finansowana, i to w sposób umożliwiający wspierającemu skorzystanie z ulgi podatkowej.

Nie wiem, jaki pomysł znajdzie teraz partia Wiosna na wyprostowanie tego wszystkiego

W łańcuszku mamy trzy podmioty – spółkę prowadzącą sklep, fundację, której ta spółka przekazuje wszystkie zyski ze sprzedaży, i partię polityczną wspieraną w niejasny jeszcze sposób przez fundację. Robert Biedroń, chwaląc się kilkusettysięcznym wsparciem otrzymanym ze sklepu z koszulkami, będzie się teraz musiał mocno nagłowić, jak się z tego wytłumaczyć, bo partia polityczna może dostawać pieniądze wyłącznie od osób fizycznych będących obywatelami polskimi z miejscem zamieszkania w Polsce i w ograniczonej wysokości. Jeśli wśród klientów sklepu były osoby z zagranicy, to założenie sklepu okazałoby się świetnym pomysłem na obejście tych ustawowych ograniczeń, bo klientem sklepu może być każdy, nie ma też żadnych limitów kwot, jakie można w nim wydać. Zresztą pieniądze ze spółki nie idą na partię bezpośrednio, po drodze trafiają na konto fundacji, przy czym darowizny przekazane fundacji spółka może sobie odliczyć od podstawy opodatkowania. Jeśli więc ostatecznie zyski ze sklepu poszły na sfinansowanie partii, wówczas oznacza to, że nie tylko udało się ominąć zakaz finansowania partii przez firmy, lecz także udało się skorzystać ze zwolnienia podatkowego przysługującego przy przekazywaniu darowizny na działalność fundacji. Podobnie zresztą rzecz się ma z darowiznami przekazanymi bezpośrednio na fundację przez osoby fizyczne – one także mają prawo odliczyć sobie takie darowizny od podstawy opodatkowania, a same darowizny nie muszą się mieścić w przewidzianym dla partii politycznych limicie. Jeśli więc osoba fizyczna wpłaca darowiznę na partię nie bezpośrednio partii, ale związanej z nią fundacji, korzysta z ulgi podatkowej, może wpłacić dowolną kwotę i – co często nie jest bez znaczenia – ukryć fakt wsparcia partii, bo listy osób fizycznych wspierających fundację nie są jawne na żadnym etapie, a nawet jeśli wypłyną, to formalnie nie było to wsparcie partii, tylko organizacji pozarządowej.

Nie wiem, jaki pomysł znajdzie teraz partia Wiosna na wyprostowanie tego wszystkiego, zwłaszcza że już wiadomo o istnieniu umowy na wynajem Hali Torwar na partyjną konwencję nie przez partię, ale przez fundację. Zarówno partie, jak i fundacje podlegają kontroli i nie wyobrażam sobie, żeby w tym przypadku takiej nie było, skoro sam lider złożył wielokrotnie dość obszerny autodonos. Jeśli nie uda się skutecznie zakrzyczeć takiej kontroli oskarżeniami o niszczenie opozycji, to pozostanie tłumaczenie się z każdej wydanej przez fundację i partię złotówki, a w świetle wywiadów Biedronia już wiadomo, że może być duży problem z wykazaniem, że ani jedna złotówka przekazana fundacji przez sklep i osoby fizyczne nie poszła na wydatki partii, a wszystkie pieniądze, którymi partia płaciła, otrzymała bezpośrednio od osób fizycznych. ©℗

PODSŁUCHANE

Może być?

Jacku, musimy szybko pokazać jakiś sukces. Moi ludzie mówią, że nas hejtują za konferencję. O, tu popatrz, na Twitterze: „To tak, jakby ktoś wbił ci na chatę, zrobił imprezę dla kumpli, znieważył przy tym matkę, coś tam w korytarzu rzucił do ojca, że jeszcze ma kasę oddać, a na koniec poklepał po ramieniu, że było git". I tak cały czas.

Ale jak to, Mateusz? No przecież mamy sukces: konferencję właśnie. Wszyscy dojechali, katering był dobry. Próbowałeś kaczki?...

Nie, to za mało. Coś konkretnego potrzebujemy.

Czekaj, co by tu... No, zamachu żadnego nie było.

Słabo, słabo, myśl dalej.

Mitchell przeprosiła.

Przestań mi tu wyjeżdżać z pomysłami jak rabin z kozą.

Ciii, nie mów o żadnych rabinach, bo ktoś usłyszy i będą problemy.

Fakt, racja. No więc?

Słuchaj, tak na szybko to ja nie umiem. To jest dyplomacja, tu są procesy, to trwa...

Proces to my będziemy mieli, jak przez tę imprezę dostaniemy w tyłek. No więc?

Merkel się wkurzyła. Może być?

Od biedy... Dobra, dzwonię do tego drugiego Jacka. Zobaczymy, co się z tego uda sklecić. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dopóki »dzban« niesie, dopóty »ucho« Prezesa nie urwie się".

***LECH WAŁĘSA** na Twitterze*

eprasa.pl 50a923b935

fot. Jerzy Gumowski

Zachód zachodzi

Jestem ciekaw czy w tym nowym roku, który się dopiero co zaczął, będziemy inkasować ze strony UE baty równie ciężkie jak w minionym, ergo: czy przyniesie nam on równie żenujące upokorzenia brukselskie związane z reformatorskimi podrygami PiS, choćby na arenie sądowniczej. Nie tylko my obrywamy od Brukseli za tę sferę problemów (jesienią 2018 Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, iż państwo włoskie *„przetrzymuje człowieka w warunkach poniżających”*; chodziło o uwięzionego szefa mafii sycylijskiej, Bernardo Provenzano!), lecz jedynie Polska jest batożona za decyzyjny wpływ rządzących polityków na systemową strukturę jurysdykcyjną, czyli za to, co jest normą u naszych unijnych *„partnerów”* (podobnie jak ze stoczniami: Warszawie zabroniono je dotować/ratować, a Berlinowi oraz Paryżowi zezwolono!). Niech żyje równość! — vive l'égalité, n'est ce pas?

Sprawiedliwe (równoprawne) traktowanie wszystkich zrzeszonych miało być fundamentem europejskiego związku państw, planowanego już setki lat temu przez różnych władców motywowanych ideą paneuropejską i noszących przydomek *„Wielki”* obok imienia (vide Karol Wielki czy Napoleon Wielki). Posiadam datowany 1822 sztych Ponce'a według rysunku Vafflarda ukazujący romantyczną alegorię Europy z załączonym czterowierszem:

„Już się odkrywa, ukazuje ta szczęsna część świata,
Gdzie mają powstać krajowe narodów zrzeszenia.
Węzłem powszechnej Rzeszy połączy je zakon,
Wpośród zrzeszonych ludów jeden Bóg, jeden tron”.

„Zakon”, a więc religijny stan prawny (przedwojenne słowniki tłumaczyły ów termin po prostu jako *„święte prawo Boże”*). I tak też rozumieli to chrześcijańscy pomysłodawcy zjednoczenia Europy w latach 50. XX w. (Włoch de Gasperi, Francuz Schuman i Niemiec Adenauer), chociaż trzeba pamiętać, że Europejska Wspólnota Gospodarcza (pierwocina UE) nie powstałaby bez presji Amerykanów realizujących pomocowy Plan Marshalla. A czemu właśnie Bruksela została unijną metropolią? Ten gród, na skutek swej zadawnionej *„wolnomyślicielskiej”* tradycji, świetnie się nadawał do roli stolicy politpoprawnej zlewaczałej Unii Europejskiej, bo już w wieku XIX był ściekiem wszelakich lewackich, nihilistycznych i zboczonych elementów Starego Kontynentu (to pod skrzydłami brukselskiego magistratu dekowali się Marks tudzież jego kompania, to tam zwiał przed odsiadką anarchista Proudhon, to w Brukseli znalazł również azyl pedałujący duet Verlaine–Rimbaud, itd., itp.). Dzisiaj termin *„Bruksela”* urósł do statusu logo gangreny trawiącej cywilizację Zachodu.

Stara prawda, że wszelkie imperia upadają prędzej czy później, musiała też tyczyć Europy. Za proroka uchodzi tu niemiecki kulturoznawca Oswald Spengler, którego rozprawa **„Upadek Zachodu”** (1918) została zainspirowana **„Zmierzchem świata starożytnego”** Ottona Seecka (1895), a później był już istny wysyp dzieł epigońskich, jak **„Śmierć Zachodu”** (2001) amerykańskiego historiozofa Patricka J. Buchanana. Wszyscy ci autorzy mieli rację: Zachód jest obecnie przeżarty lewactwem politycznym oraz kulturowym, luzactwem erotycznym (zwłaszcza dewiacyjną ofensywą LGBTQ), degradacją humanistyki i kultowości religijnej, negacją tradycyjnych tożsamości i norm, a najgorsze jest, iż nie wykazuje woli walki przeciwko tym hańbom i patologiom będącym rakiem człowieczeństwa. Właśnie ów brak woli walki wskazywał jako główną potencjalną chorobę wybitny niemiecki filozof Edmund Husserl, pisząc (**„Kryzys nauk europejskich…”**, 1936): *„Największym niebezpieczeństwem, jakie grozi Europie i jakie może spowodować olbrzymi kryzys europejski — jest znużenie. Przeciwstawić mu można zwłaszcza jedno — heroizm rozumu. Tylko dzięki odważnej walce Europa może obronić swą duchowość”.*

Nie obroniła — przeciwnie: zatraciła. Zatraciła swą tożsamość i duchowość bazujące na chrześcijaństwie od kilkunastu wieków. Lewackie totalitaryzmy XX stulecia (komunizm i nazizm) wymierzyły tej duchowości straszliwe ciosy, a współczesny terror sił politpoprawnych dorzyna ją. Przed czym przestrzegał współczesny Husserlowi wielki anglosaski poeta Thomas Stearns Eliot, twierdząc, że umacnianie/odbudowywanie cywilizacji chrześcijańskiej to jedyny ratunek dla degenerującego się globu. Tymczasem UE ustawiła swe drogowskazy w stronę dokładnie przeciwną. Gdybym musiał wypunktować je możliwie lapidarnie, wskazałbym 5 × L: Liberalizm (ekonomiczny), Libertynizm (erotyczny), Leseferyzm (tolerancjonistyczny), Lewackość (ideologiczną) i Laickość (fideistyczną). Dla tradycyjnych wartości kultowych i kulturowych jest to 5 × nokaut (KO): KOmunizm, KOntrkulturalizm, KOntrkatolicyzm, KOnsumpcjonizm, KOpulacjonizm.

Głośny francuski pisarz Michel Houllebecq, spytany czy wierzy w Unię Europejską, prychnął: *„ — Wierzę jeszcze w kulturę europejską, lecz nie w UE, bo to nonsensowny konstrukt polityczny”* (2017). Rok później był już większym pesymistą, przyznając, że kultura zachodnia dogorywa, oraz że lansowane przez Brukselę *„nowe, lewicowo–liberalne wartości wiodą prostą drogą do katastrofy duchowej i społecznej”*. Jako jedno ze źródeł dekadencji wskazał rewoltę obyczajową schyłku lat 60–ych. U nas analogicznie to widzi prof. Andrzej Bryk z UJ: *„ — W latach 90. weszliśmy do Unii rządzonej już przez zbuntowane pokolenie 1968 roku, stosujące taktykę długiego marszu przez instytucje (...) Ideolodzy tego pokolenia zdecydowali się przekształcić najpierw kulturę, język opisujący rzeczywistość, i w ten sposób, narzucając nowe jej zdefiniowanie, przebudować społeczeństwo. Kluczem do tego było pojęcie wyzwolenia z opresji istniejącej kultury. To taka klasyczna, propagandowa, prometejska formuła przejęta od nowej lewicy (...) Ci ludzie patrzyli na świat przez pryzmat filozofii marksizmu kulturowego, zapożyczonej od nowej lewicy (...) Dzisiaj to hegemoniczna narracja europejska. W rzeczywistości tworzy wykorzenioną kulturę nihilizmu i moralnego chaosu, gdzie rozum nie dąży do prawdy”* (2018).

Także sferą ekonomiczną UE rządzi krętactwo. Ja pośród znajomych zazwyczaj rzucam proste pytanie tyczące smaku: dlaczego w Hiszpanii kawa Nescafé sprzedawana z takim samym opakowaniem co w Polsce ma bajeczny aromat, którego nie uświadczysz kupując ten produkt nad Wisłą. Ważniejsze pytania wobec Unii tyczą np. hegemonistycznej roli Niemców. Sporo unijnych państw *„strefy euro”* ma poważne gospodarcze problemy, chociażby kraje *„grupy ŚWIŃ”* (PIIGS — Portugalia, Włochy, Irlandia, Grecja, Hiszpania) wskutek koszmarnych zadłużeń, a Niemcy tylko przez to zyskują i ekonomicznie kwitną. Legendarny brytyjski piłkarz Gary Lineker kpił, że *„futbol to taka gra, gdzie 22 facetów biega za piłką, a na końcu wygrywają Niemcy”*. Unia Europejska to taka gra, gdzie stara się 27 państw, a w rezultacie najwięcej zysków inkasuje Berlin. Berlin — nie cała Europa. O jej słabnącym statusie mówi nawet szef Komisji Europejskiej Jean–Claude Juncker: *„ — Pozycja Europy maleje na scenie globalnej, przestajemy być mocarzem, stajemy się słabeuszem, tracąc pozycję ekonomiczną oraz demograficzną”* (2018). Europejski Zachód zachodzi. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 50a923b935

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE SMARTFON ALCATEL1 ORAZ SŁUCHAWKI BEZPRZEWODOWE BLUETOOTH+

~~357 ZŁ~~ > **260,00 ZŁ** < **OSZCZĘDNOŚĆ 373 ZŁ**

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 50a923b935